

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 178.

Cinq = Mars

ALBO

SPRZYSIĘŻENIE ZA LUDWIKĄ XIII

Hrabiego ALFREDA de VIGNY

PRZEŁOŻYŁ WITOLD ŁASZCZYŃSKI.

—
TOM I.
—

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—
1901.

Hrabia ALFRED de VIGNY.

Ozłonek Akademii Francuskiej.

CINQ - MARS

albo

SPRZYSIĘZENIE ZA LUDWIKĄ XIII

Król był, mileząc, głową tego spisku. Wielki koniuszy Cinq-Mars był jego duszą; użyto do niego imienia księcia Orleańskiego, jedyne go brata króla, a radcą był książę de Bouillon. Królowa wiedziała o zamachu i o imionach spiskowców...

Pamiętniki Anny Austryackiej
przez Panią de Motteville.

Kogoż więc tu oszukują?

PRZEŁOŻYŁ

Witold Łaszczyński.

Tom I.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.

f. 1-3/105,-

Wyp. 02

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Марта 1901 года.

66728/1



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0255700

K-168/76/66728

ROZDZIAŁ I.

PODZIĘKOWANIE.

Fare Hee well, and if for ever,
Still for ever fare thee well.
Lord Byron.

Żegnaj! a jeśli na zawsze...
Na zawsze jeszcze żegnaj...

Czy znacie tę okolicę, przezwaną ogrodem Francyi, ten kraj, gdzie się oddycha powietrzem tak czystem na równinach zieleniejących, zroszonych wielką rzeką?

Gdybyście przejeżdżali w miesiącach letnich przez piękną Turenję, tobyście długo szli brzegiem Loary spokojnej z zachwytem, żałowalibyście, że nie możecie oznaczyć z pomiędzy dwóch brzegów tego, gdziebyście wybrali sobie mieszkanie, aby tam zapomnieć o ludziach przy istocie ukochanej. Kiedy się towarzyszy fali żółtej i powolnej pięknej rzeki, nie przestaje się gubić spojrzeń w zajmujących szczegółach brzegu prawego. Doliny zaludnione ładnymi białymi domami, pośród otaczających je gaików pagórki, żółte od winogrodu, lub ubielone kwieciami drzewa wiśniowego, stare mury, okryte wschodzącymi

powojami, ogrody różane, z kądem wystrzela nagle wieża wysmukła — wszystko przypomina żywność ziemi albo starożytność jej pomników i wszystko zajmuje uwagę w dziełach przemysłnych jej mieszkańców. Nie dla nich nie było bezużytecznem: zdaje się, że w swej miłości tak pięknej ojczyzny, jedynej prowincyi francuskiej, której nie zajął nigdy obcy, nie chcieli utracić najmniejszej piędzi jej ziemi, najlżejszego ziarnka jej piasku. Sądzić, że ta stara wieża rozwalona jest zamieszkała tylko przez ohydne ptaki nocne? Nie. Na tentent waszych koni uśmiechnięta główka młodej dziewczyny wychyla się z bluszczy zapylonego, ubielonego kurzem wielkiego gościńca; jeśli wejdziecie na pagórek, lajeżony winogradem, mały dym ostrzeże was nagle, że komin jest u stóp waszych; bo nawet skała jest zamieszkała i rodziny winogradników żyją w głębokich jej podziemniach, osłonięte w nocy ziemią - karmicielką, którą uprawiają pracowicie we dnie. Poczciwi Tureńczycy są prości jak ich życie, łagodni jak powietrze, którym oddychają, a silni jak ziemia potężna, którą używiają. Nie widać na ich ciemnych rysach twarzy ani zimnej nieruchomości Północy, ani grymaśnej żywości Południa; ich oblicze ma podobnie jak charakter, coś z czystości serca prawdziwego ludu świętego Ludwika; ich włosy ciemne są jeszcze długie, zaokrąglone przy uszach, jak na kamiennych posagach starych naszych królów; ich mowa jest najczystsza francuska, bez powolności, bez szybkości, bez przyćisku; kolebka języka jest tam przy kolebce monarchii.

Ale brzeg lewy Loary okazuje się poważniejszym w swoim widoku: tu Chambord daje się dostrzedz ze swemi kopułami niebieskimi i wieżyczkami, podobny do wielkiego miasta Wschodu; tam Chanteloup, zawieszający w powietrzu swoją wytworną pagodę. Niedaleko od tych pałaców budynek zwyczajniejszy przyciąga oczy podróżnego przez swe po-

łożenie wspaniałe i zdumiewający ogromem; to zamek Chaumont. Zbudowany na wzgórzu najwynioślejszem brzegu Loary, obejmuje ten szeroki szczyt swemi wysokimi murami i ogromnemi wieżami; długie dzwonnice z łupku podwyższają je w oczach i nadają gmachowi ten wygląd eremu, ten kształt klasztorny wszystkich starych zamków, charakteryzujący poważniej krajobrazy większej części naszych prowincyi. Drzewa czarne i gęste okalają ze wszystkich stron ten dwór starożytny, i zdaleka są podobne do tych piór, co opasywały kapelusz króla Henryka; ładna wieś rozpościera się u stóp góry, na brzegu rzeki, i możnaby powiedzieć, że jej domy białe wychylają się z piasku złotego; jest ona połączona z otaczającym ją zamkiem wąską ścieżką, wijącą się po skałach; kaplica stoi pośród wzgórz; panowie zstępowali, a wieśniacy wspinali się ku jej ołtarzowi: miejscu równości, położonemu, jak miasto neutralne, między nędzą a bogactwem, które zbyt często prowadziły ze sobą wojnę.

Tam to, jednego poranku w miesiącu czerwcu 1639 roku, kiedy dzwon na zamku wybił południe, według zwyczaju godzinę obiadu zamieszkującej go rodziny, zaszły w tem starożytnem mieszkaniu rzeczy dotąd niezwykle. Liczna służba zauważyła, iż odmawiając modlitwę poranną wobec całego domu zgromadzonego, marszałkowa d'Effiat mówiła głosem mniej pewnym i ze łzami w oczach, i że zjawiła się ubrana w żałobę grubszą niż zazwyczaj. Domownicy oraz Włosi księżniczki Mantuańskiej, która wtedy schroniła się była chwilowo do Chaumont, widzieli z zadziwieniem przygotowania do wyjazdu, czynione nagle. Stary sługa marszałka d'Effiat, zmarłego przed sześciu miesiącami, wydobyl swe buty, chociaż był sobie przysięgł poprzednio porzucić je na zawsze. Ten dzielny człowiek, nazwiskiem Grandchamp, towarzyszył wszędzie głowie rodziny na wojnie i w jego pracach finansowych; był jego koniuszym na pierwszej,

a sekretarzem w drugich; powrócił z Niemiec od niedawna, aby donieść matce i dzieciom o szczegółach śmierci marszałka, który na jego rękach wyzionął ducha w Luzzelstein; był to jeden z tych wiernych sług, jakich wzory stały się zbyt rzadkie we Francyi, co cierpią z powodu nieszczęśliwej rodziny i radują się z jej wesela, pragną kojarzenia się małżeństw, ażeby mieć do wychowania młodych panów, łają działwę, a nie raz ojców, narażają się na śmierć dla nich, służą im bez płacy podczas rewolucyi, pracują, aby ich wyżywić, a w czasach pomyślnych idą za nimi i mówią: „Oto nasz szczepek winny!” powracając do zamku. Miał on twarz surową, godną wielce uwagi, cerę mocno miedzianą, włosy siwe, srebrzyste, z kilku kosmykami jeszcze czarnymi, jak jego brwi gęste, nadające mu wygląd niemiły na pierwsze wejrzenie; ale wzrok spokojny łagodził to pierwsze wrażenie. Jednakże dźwięk jego głosu brzmiał ostro. Dnia tego był on bardzo zajęty przyspieszeniem obiadu i wydawał rozkazy wszystkim ludziom zamku, ubranym czarno, podobnie do niego.

— Dalej — mówił — śpieszcie się z podawaniem, a tymczasem Herman, Ludwik i Stefan pójda siodłać konie; pan Henryk i my musimy być ztąd daleko o 8-ej godzinie wieczorem. A wy, panowie Włosi, czyście uwiadomili naszą młodą księżniczkę? Założę się, że poszła czytać ze swemi damami na koniec parku albo na brzeg rzeki. Przybywa zawsze po pierwszym daniu, ażeby kazać wszystkim wstawać od stołu.

— Ach, mój drogi Grandchamp — powiedziała cichym głosem panna służąca, która przechodziła i zatrzymała się: — nie każ pamiętać księżniczce; ona jest bardzo smutna, i sędzę, że pozostanie w swoich pokojach. *Sancta Maria!* żałuję was, iż jedziecie dziś, w piątek, 13-go dnia miesiąca i w dzień świętego Gerwazego i świętego Protazego, w dzień dwóch męczenników. Odmawiałam swój różaniec cały ranek

na intencję pana de Cinq-Mars; ale naprawdę, nie mogłam się powstrzymać, aby nie myśleć o wszystkim, o czem do was mówię; moja pani myśli o tem tak dobrze, jak ja, chociaż jest tak wielką damą; więc nie udawajcie, że się z tego śmiejecie.

Mówiąc to, młoda Włoszka pomknęła jak ptak wpoprzek wielkiej sali jadalnej i zniknęła w korytarzu przestraszona, widząc, iż otwierają się podwójnie wielkie drzwi od salonu.

Grandchamp zaledwie się spostrzegł, co powiedziała, i zdawał się zajętym jedynie przygotowaniami do obiadu; spełniał on ważne obowiązki ochmistra i rzucał spojrzenia najsurowsze na służbę, aby widzieć, czy wszyscy byli na swem stanowisku, sam zaś stanął za krzesłem najstarszego syna domu, gdy wszyscy mieszkańcy zamku wchodzili kolejno do sali: jedenaście osób, mężczyzn i kobiet, zasiadło do stołu. Marszałkowa przyszła ostatnia, prowadząc pod ramię pięknego starca, ubranego wspaniale, i posadziła go przy sobie z lewej strony. Zasiadła w wielkim fotelu złożonym pośrodku stołu, przedstawiającego swym kształtem długi czworobok. Drugie siedzenie, trochę ozdobniejsze, było po jej prawicy, lecz pozostało niezajęte. Młody markiz d'Effiat, siedzący nawprost swojej matki, musiał pomagać jej w sprawowaniu honorów domu; nie miał więcej nad lat dwadzieścia, i oblicze jego było prawie bez żadnego wyrazu; dużo powagi i wykwiniego ułożenia zdradzało jednak usposobienie towarzyskie, ale nie więcej. Jego młoda siostra, czternastoletnia, dwóch szlacheiców z prowincyi, trzech młodych panów włoskich z orszaku Maryi Gonzagi (księżniczki Mantuańskiej), panna dworska, ochmistrzyni córeczki marszałka, oraz ksiądz z sąsiedztwa, stary i bardzo głuchy — składali towarzystwo. Jedno miejsce po lewicy starszego syna było jeszcze wolne.

Marszałkowa, zanim usiadła, uczyniła znak

krzyża świętego i odmówiła głośno *Benedicite*: wszyscy odpowiedzieli nań, robiąc znak cały lub tylko na piersiach. Ten zwyczaj utrzymał się we Francyi w wielu rodzinach do rewolucyi 1789; niektóre zachowują go jeszcze, ale więcej na prowincyi, niż w Paryżu, i to nie bez pewnego zakłopotania i jakiegoś frazesu wstępnego o dobrych czasach, z dodaniem uśmiechu przeproszającego, kiedy się zjawi obcy, gdyż jest to aż nazbyt prawdziwe, że dobro rumieni się także ze wstydu.

Marszałkowa była kobietą wzrostu okazałego, miała oczy wielkie i niebieskie niezwyklej piękności. Nie zdawała się jeszcze dobiegać lat czterdziestu pięciu; ale przybita frasunkiem, chodziła powoli i mówiła z trudnością, przymykając oczy i pochylając głowę na piersi przez chwilę, gdy była zmuszona głosem podnieść. Wtedy ręka jej, oparta na łonie, wskazywała, że czuła tam ból dotkliwy. To też dostrzegła z zadowoleniem, iż osoba siedząca z lewej strony, chwytając, chociaż nie była proszona o to przez nikogo, nie rozmowy, utrzymała ją z zimną krwią niewzruszoną podczas całej biesiady. Był to stary marszałek de Bassompierre; zachował on pod swemi białemi włosami wygląd żywy i młodzieńczy, bardzo dziwny dla oka; jego ułożenie szlachetne i grzeczne miało coś z uprzejmości przestarzałej, jak jego strój, nosił bowiem kręzę à la Henryk IV i rękawy z rozporkami, zwyczajem ostatniego panowania, śmiesznym nie do wybaczenia w oczach piękniśków dworu. To nie wydaje nam się osobliwsem, niż tamto obecnie; lecz jest przyjęte, że w każdym wieku będą się wyśmiewali ze zwyczaju swego ojca, i postrzegam, że tylko mieszkańcy Wschodu nie są dołknęci tą chorobą.

Ledwie jeden ze szlachty włoskiej zagadnął marszałka, co sądzi o sposobie, w jaki kardynał ob-

chodził się z córką księcia Mantuańskiego, gdy zapytany zawołał w swoim zwykłym języku:

— Eh, do katal! do kogo mówisz, mospanie? Mogę cośkolwiek zrozumieć z tego rządu nowego, pod którym żyje Francya? My, starzy towarzysze broni nieboszczyka króla, rozumiemy źle język, którym mówi dwór nowy, on zaś nie zna już naszego. Co mówię? Nie mówią już żadnym w tym smutnym kraju, bo wszyscy tu milkną przed kardynałem; ten dumny mały wasal patrzy na nas, jak na stare portrety rodzinne, i od czasu do czasu ucina im głowę; ale godło pozostaje na nich zawsze, na szczęście. Nieprawdaż, mój drogi Puy-Laurens?

Ten współbiesiadnik był prawie takiego samego wieku, co marszałek; lecz poważniejszy i oględniejszy od niego, odpowiedział kilku słowami niewyraźnemi i dał znak swemu rówieśnikowi, aby ten mógł zauważyć przykre wzruszenie, na które naraził panią domu, przypominając niedawną śmierć jej męża i mówiąc tak o ministrze, jej przyjacielu; ale daremnie, gdyż Bassompierre, zadowolony ze znaku półprzyzwolenia, wypróżnił jednym haustem ogromną szklanicę wina, lekarstwa, zalecanego przez siebie we własnych pamiętnikach, jako znakomite przeciw zarazie, i przechylając się w tył, aby otrzymać drugą od swego pachotka, oparł się wygodniej, niż kiedykolwiek, na swem krześle i na swych pojęciach ulubionych.

— Tak, nas wszystkich jest tu zawielu; powiedziałem o tem onego dnia mojemu drogiemu księciu Gwizyuszowi, którego oni zrujnowali. Liczą minuty, pozostające nam do życia, i potraszają naszą klepsydram, aby je przyspieszyć. Gdy pan kardynał widzi w jednym kącie trzy lub cztery z naszych wielkich postaci, co nie odstępowały osoby nieboszczyka króla, czuje dobrze, iż nie może poruszyć tych posągów z żelaza, i że trzebaby do tego ręki wielkiego człowieka, przechodzi szybko i nie śmie wtrącać się do

nas, którzy się go nie boimy. Myśli zawsze, że spiskujemy, i tej godziny, podobno, naradzają się nad wsadzeniem mnie do Bastylii.

— Eh, panie marszałku, na co czekasz z wyjazdem?—odezwał się Włoch—sądzę, że tylko Flandrya może wam służyć za schronienie.

— Ah! nie znacie mnie wcale, mospanie; zamiast uciekać, udałem się do króla przed jego odjazdem i oświadczyłem mu, że przybyłem, aby nie miało trudności z odszukaniem mnie, i że gdybym wiedział, dokąd chce mnie zesałać, poszedłbym sam, aby nie potrzebowano mnie tam prowadzić. Był tak dobry, jak się tego spodziewałem, i rzekł do mnie: „Jak to, stary przyjacielu, miałbyś przypuszczać, że chciałem to uczynić? Wiesz dobrze, że kocham ciebie.”

— Ah, mój kochany marszałku, winszuję ci—powiedziała pani d'Effiat słodkim głosem — poznaję dobroć króla po tych słowach: pamięta on o przywiązaniu, które król, jego ojciec, miał dla was; zdaje mi się nawet, że przystał na wszystko, o cokolwiek prosiłicie go dla swoich — dodała z przytykiem, aby go naprowadzić na drogę pochwały i uwolnić od niezadowolonia, na jakie naraził się tak otwarcie.

— Zaiste, pani — odparł tenże — nikt lepiej nie umie ocenić jego zalet, niż Franciszek de Bassompierre; będę mu wierny aż do końca, gdyż poświęciłem siebie i swoje mienie jego ojcu; i przysięgam, że za moją zgodą przynajmniej nikt z mej rodziny nie uchybi swemu obowiązкови względem króla Francyi. Chociaż Besteinowie, to cudzoziemcy i Lotaryńczycy, garstka Henryka IV podbiła nas na zawsze; największą boleść sprawiła mi śmierć brata, zmarłego w służbie hiszpańskiej, i napisałem niedawno do swego siostrzeńca, że wydziedziczyłbym go, gdyby przeszedł do cesarza, jak obiegała o tem pogłoska.

Jeden ze szlachty, który nie jeszcze nie powiedział, a zwracał na siebie uwagę obfitością fontazi

i akselbantów, okrywających jego odzież, oraz orderem Świętego Michała, z ozdobną czarną wstęgą na szyi, ukłonił się, mówiąc, że tak właśnie twierdzić powinien każdy wierny poddany.

— Na Boga, panie de Launay, waszmość mylisz się bardzo — zaprzeczył marszałek, któremu wróciła pamięć jego przodków — ludzie naszej krwi są poddani sercem, gdyż Bóg stworzył nas takimiż panami ziem naszych, jakim król jest w swoich. Jeśli przybyłem do Francyi, to dla przechadzki, a za mną szła moja szlachta i paziowie. Postrzegam, że im dalej idziemy, tembardziej zaciera się to pojęcie, zwłaszcza na dworze. Lecz oto nadchodzi młodzieniec, w sam czas, aby mnie usłyszeć.

Drzwi otworzyły się wstocie i ujrzano wchoźącego młodzieńca, dość pięknej postawy; był blady, miał włosy ciemne, oczy czarne, wyraz twarzy smutny i niedbały: był to Henryk d'Effiat, markiz de Cinq-Mars (nazwisko wzięte od dóbr rodzinnych); jego ubiór i płaszcz były czarne, kolet koronkowy opadał mu na szyję aż do połowy piersi, małe buty mocne, bardzo szerokie u wylotu i jego ostrogi robiły dość hałasu na płytach kamiennych salonu, aby go słyszało idącego zdaleka. Szedł wprost ku marszałkowej d'Effiat, witając ją niskim ukłonem i pocałował w rękę.

— Cóż, Henryku—rzekła do niego—czy konie twoje gotowe? O której godzinie odjeżdżasz?

— Po obiedzie natychmiast, pani, jeśli pozwolisz—odpowiedział matce swojej z uroczystym szacunkiem owego czasu. I przechodząc po za nią, podał rękę panu de Bassompierre, zanim usiadł po lewicy swego starszego brata.

— A więc — zabrał głos marszałek, zajądając z wyśmienitym apetytem — odjeżdżasz, moje dziecko; udajesz się na dwór; jest to grunt śliski dziś. Żałuję dla was, że nie pozostał tem, czem był. Niegdyś dwór nie był niczem innem, jeno salonem króla,

w którym ten przyjmował swych przyjaciół naturalnych; szlachta z wielkich domów, jego parowie, którzy go odwiedzali, aby mu okazać swe poświęcenie i przyjaźń, grali z nim o swoje pieniądze i towarzyszyli mu w jego rozrywkach, ale nie brali nic od niego, prócz pozwolenia na prowadzenie swych wasalów, aby z nimi dać sobie tłuc łby na jego usługi. Zaszczyty, jakie otrzymywał człowiek urodzony, nie wzbogacały go wcale, gdyż on płacił za nie ze swego worka; sprzedałem część ziemi za każdym otrzymanym stopniem; tytuł jenerała pułkownika Szwajcarów kosztował mnie czterysta tysięcy talarów, a chrzest obecnego króla zmusił mnie do kupna sukni za sto tysięcy franków.

— Ach, tym razem zgodzisz się, waszmość! — powiedziała, śmiejąc się pani domu — że nie was do tego nie zmuszało; słyszeliśmy opowiadających o przepychu waszego stroju z pereł; ale sprawiałoby mi wielką przykrość, gdyby jeszcze było modnem nosić podobny strój.

— Ach, pani margrabino, bądź spokojna. ów czas przepychu już nie powróci. Popełnialiśmy szaleństwa, bezwątpienia, lecz one świadczyły o naszej niezawisłości; to pewna, że wówczas nie odjętoby królowi sług, których miłość jedynie przywiązywała do niego, a których korony książęce i margrabiowskie miały tyleż dyamentów, co jego korona zamknięta. I oczywiście, żądza dostojeństw nie mogła opanować wszystkich stanów, gdyż podobne wydatki wyjść mogły jeno z rąk bogatych, a złoto dobywa się z kopalni. Wielkie domy, burzone z taką zaciekłością, nie były chciwe zaszczytów, i często, nie chcąc żadnego urzędu od władzy, zajmowały swe miejsce na dworze, dzięki własnemu znaczeniu, istniały własnym bytem i mówiły, jak jeden z nich: „Księciem być nie chcę, Rohanem jestem.” Tak samo było z każdą rodziną szlachecką, której szlachectwo własne wystarczało, a którą sam król wywyższał, pisząc do jedne-

go z mych przyjaciół: „Pieniądze nie są rzeczą wspólną między szlachtą, jak wy i ja.”

— Ale, panie marszałku! — przerwał zimno i z wielką grzecznością pan de Launay, mając może zamiar go podrażnić — ta niezależność spowodziła także wiele wojen domowych i buntów, jak owe rokosze imci pana de Montmorency.

— Do kata! Nie mogę słuchać takiego gadania, mospanie! — zawołał popędliwy marszałek, podskakując na swym fotelu. — Te rokosze i wojny, mospanie, nie odejmowały nic prawom zasadniczemu państwa i nie mogły tembardziej obalić tronu, gdyby nie uczynił tego pojedynek. Ze wszystkich tych wielkich przywódców stronnictw niema ani jednego, któryby nie złożył swego zwycięztwa u stóp króla, wiedząc dobrze, że wszyscy inni magnaci opuściliby go, jako wroga prawowitego monarchy. Każdy uzbrajał się przeciw stronnictwu, a nie przeciw władzy panującej, i po usunięciu złego wszystko wracało do porządku. Ale cóżeście zrobili, nas przygniatając? Złamaliście podwaliny tronu i nie zastąpicie mu ich niczem. Tak, teraz już nie wątpię, że książę-kardynał dopełni swego planu w całości, wysoka szlachta utraci i porzuci swoje ziemie, a przestając być wielką własnością, przestanie być potęgą; dwór jest już tylko pałacem dla przyjmowania błagalnych podań; później stanie się przedpokojem, gdy składać się będzie jeno z osób królewskiego orszaku; wielkie imiona zaczną uszlachetniać podłe urzędy; lecz przez straszne oddziaływanie te urzędy dojdą do spodlenia wielkich imion. Obca swoim siedliskom, szlachta będzie odtąd czemś tylko przez stanowisko, jakie otrzyma, jeśli zaś lud, na który nie będzie wpływała więcej, zechce się zbuntować...

— Jakże dziś jesteś złowrogi, marszałku! — przerwała margrabina. — Mam nadzieję, że ani ja, ani moje dzieci nie ujrzą tych czasów. Nie poznają już waszmościnego charakteru, zaprzątniętego tą całą po-

lityką; spodziewałam się, iż usłyszę waćpana, udzielającego rad memu synowi. Ale, Henryku, co tobie? Jesteś bardzo roztargniony!

Cinq-Mars oczyma utkwionemi w wielkie okno sali jadalnej, patrzył ze smutkiem na wspaniałą krajobraz, jaki miał przed sobą. Słońce było w całym swoim blasku i barwiło złote piaski Loary i szmaragdowe murawy i drzewa; niebo było lazurowe, fale przezroczysto żółte, wyspy jasno-zielone, po za ich szczytami zaokrąglonemi widać było popodnoszone wielkie żagle łacińskie statków kupieckich, niby flotę w zasadce.

— O, przyrodo, przyrodo! — mówił sobie — piękna przyrodo, żegnaj! Wkrótce me serce nie będzie dosyć puste, aby cię odczuć i podobasz się już tylko moim oczom; to serce jest już trawione przez głęboką namiętność i opowiadanie spraw ludzkich wywołuje w niem nieznaną niepokój; trzeba więc wejść do tego labiryntu; może tam zginę, ale dla Maryi...

Ocknięty słowami matki i bojąc się okazać zbyt dziecięcy żal za swym pięknym krajem i swoją rodziną, rzekł:

— Myślałem, pani, o drodze, którą się udam do Perpignanu, a także o tej, którą powrócę do was.

— Nie zapomnij puścić się drogą na Poitiers i wstąpić do Loudunu, aby odwiedzić twego dawnego guwernera, naszego pocziwego księdza Quillet'a; udzieli ci pożytecznych rad co do dworu, jest w bardzo dobrych stosunkach z księciem de Bouillon; a zresztą, chociażby ci nie był bardzo potrzebny, będzie to dowodem należynej mu od ciebie powolności.

— A więc do oblężonego Perpignanu udajesz się, mój przyjacielu! — odezwał się stary marszałek, któremu zaczęło się zdawać, że dość długo milczał. Ach, to bardzo szczęśliwe dla ciebie. Bodaj cię! oblężenie! ładny początek; oddałbym wiele, aby mieć taki z nieboszczykiem królem za moim przybyciem na jego dwór; wolałbym raczej tam dać sobie wypuć

wnętrznosci z brzucha od turnieju, jaki odbyłem, lecz był to czas pokoju i musiałem strzelać z pistoletu do Turków, z Roswormem węgierskim, aby nie martwić rodziny swoim próżnowaniem. Poza tem życzę, aby Jego Królewska Mość przyjął cię tak łaskawie, jak mnie przyjął jej ojciec. Zaprawdę, król jest dzielny i dobry; ale przyzwyczajono go na nieszczęście do tej zimnej etykiety hiszpańskiej, która zatrzymuje wszelkie poruszenia serca: powściąga on samego siebie i innych przez to przyjęcie nieruchome i to wejście lodowate; co do mnie, przyznaję, iż oczekuję zawsze chwili odwilży, lecz napróżno. Byliśmy przyzwyczajeni do innego obejścia przez tego dowcipnego i prostego Henryka i było nam przynajmniej wolno powiedzieć mu, że go kochamy.

Cinq-Mars, utkwivszy wzrok swój w oczach de Bassompierre'a, a jakby chciał zmusić siebie do bardziej szlachetnego słuchania jego mowy, zapytał go, jaki był sposób mówienia nieboszczyka króla.

— Żywy i otwarty! — odrzekł. — W jakiś czas po moim przybyciu do Francji, grałem z nim i księżną de Beaufort w Fontainebleau, gdyż chciał, jak mówił, wygrać odemnie moje złoto i moje piękne Portugalki. Zapytał, co skłoniło mnie, żem przybył do tego kraju. „Na honor, najjaśniejszy panie, powiedziałem mu otwarcie, nie przybyłem tu wcale z zamiarem zaciągnięcia się do twej służby, lecz aby spędzić jakiś czas na twoim dworze, a później na hiszpańskim; zachwyciłeś mnie jednak tak dalece, że, nie idąc dalej, jeśli chcesz przyjąć moje usługi, najjaśniejszy panie, poświęcę ci je aż do śmierci.” Wtedy uściśkał mnie i zapewnił, że nie mogłem znaleźć lepszego pana, który kochałby mnie bardziej; niestety!... doświadczyłem go dosyć... i ze swej strony wszystko mu poświęciłem, aż do mej miłości i uczyniłbym więcej, gdyby można było uczynić więcej nad wyrzeczenie się panny de Montmorency.

Pocziwy marszałek miał oczy załzawione, ale młody markiz d'Effiat i Włosi, spoglądając na siebie, nie mogli się wstrzymać od uśmiechu na myśl, że wówczas księżna de Condé była młoda i ładna. Cinq-Mars dostrzegł te znaki porozumienia i śmiał się też, lecz gorzko.

— Jest że to prawda—mówił do siebie—iż namiętności mogą doznać losu mody i że krótki przeciąg czasu może okryć jednaką śmiesznoscia odzież i miłość? Szczęśliwy ten, kto nie przeżył swej młodości, swoich marzeń i unosi do grobu cały swój skarb!

Ale, przerywając jeszcze z wysiłkiem melancholizny bieg swoich myśli, pragnąc, aby pocziwy marszałek nie wyczytał nic nieprzyjemnego na twarzy współbiesiadników, zapytał:

— Mówiono tedy wówczas z wielką swobodą do króla Henryka? Może także na początku swego panowania musiał on zaprowadzić ten sposób obejścia, lecz gdy został panem, odmienił się?

— Nigdy, nie, przenigdy, wielki nasz król nie przestał być jednakim aż do ostatniego dnia; nie wstydział się być człowiekiem i mówił do ludzi jędrnie i tkliwie. Eh, mój Boże! widzę go jeszcze ściskającego księcia Gwizyusza w karocy, w sam dzień swojej śmierci; zrobił mi jeden ze swych dowcipnych żartów, i książę powiedział: „Jesteś według mnie jedynym z najprzyjemniejszych ludzi świata i przeznacznie chciało, abyśmy byli jeden dla drugiego; bo gdybyś był tylko człowiekiem zwyczajnym, wziąłbym cię do mej służby za jakąkolwiek bądź cenę; ale ponieważ Bóg uczynił cię wielkim królem, trzeba więc było, abym ja stał się twoim.”

— Ach, wielki człowieku! dobrze powiedziałeś!—zawołał Bassompierre ze łzami w oczach, i może trochę ożywiony pełnemi szklanicami, które sobie nalewał:— „Kiedy mnie utracicie, poznacie, co byłem wart.”

Podczas tego wystąpienia marszałka rozmaite

osoby przy stole zachowały się różnie, stosownie do swych ról w sprawach publicznych. Jeden z Włochów udawał, że rozmawia i śmieje się pocichu z córeczką marszałkowej; inny zajął się starym głuchym księdzem, który trzymając się jedną ręką za ucho, aby lepiej słyszeć, był jedynym na pozór uważnym słuchaczem; Cinq-Mars powrócił do swego melancholiznego rozróżnienia, zapominając o marszałku i patrząc gdzieindziej, jak po rzuceniu piłki z dłoni, dopóki nie powróci; jego starszy brat robił honory przy stole z tym samym spokojem; Puy-Laurens przyglądał się uważnie pani domu: był oddany księciu Orleańskiemu i lękał się kardynała; co do marszałkowej, ta miała wyraz twarzy zasmucony i niespokojny; często przykre wyrazy przypominały jej albo śmierć męża, lub odjazd syna; jeszcze częściej obawiała się o samego Bassompierre'a, aby się nie naraził i szturchnęła go kilkakrotnie, spoglądając na pana de Launay, którego znała mało, a miała pewną słuszość uważać go za oddanego pierwszemu ministrowi; lecz dla człowieka tego charakteru takie ostrzeżenia były nadaremne; zdawał się nie zważać na nie wcale i przeciwnie, przygniatając owego szlachcica swoim wzrokiem śmiałym i brzmieniem swego głosu, ze szczególnem upodobaniem zwracał się i stosował do niego cały swój dyskurs. Ów zaś przybrał minę obojętną i grzecznie zezwalającą i nie porzucił jej aż do chwili, gdy otworzyły się podwoje i oznajmiono jejmościankę księżniczkę Mantuańską.

Rozmowy, któreśmy tu tak długo opisywali, były jednak dosyć szybkie, i obiad nie dobiegł jeszcze do połowy, gdy wejście Maryi Gonzagi zmusiło wszystkich do powstania z miejsc. Księżniczka była niska, lecz bardzo dobrze zbudowana, i chociaż jej oczy i włosy miały barwę niezmiernie czarną, świeżość jej była olśniewająca, jak piękność jej cery. Marszałkowa podniosła się zlekka, ze względu na jej dostoję-

stwo, i pocałowała ją w czoło dla jej dobroci i pięknego wieku.

— Długo czekaliśmy na ciebie dziś, droga Maryo—powiedziała do niej, sadzając ją przy sobie—zostajesz mi na szczęście, aby zastąpić jedno z moich dzieci, które odjeżdża.

Młoda księżniczka zawstydzila się i spuściła głowę i oczy, aby nie widziano jej rumieńca, i odrzekła głosem nieśmiałym:

— Pani, tak być powinno, ponieważ wy zastępujecie mi matkę.

Jedno jej spojrzenie sprawiło, że Cinq Mars zbladł przy drugim końcu stołu.

To wejście zmieniło rozmowę; przestała ona być ogólną i każdy mówił cicho do swego sąsiada. Tylko marszałek opowiadał dalej o przepychu dawnego dworu, o swych wojnach w Turcji, o turniejach i o skąpstwie dworu nowego; ale ku wielkiemu jego żalowi, nikt nie zwracał uwagi na jego słowa i miano się podnieść od stołu, gdy z uderzeniem godziny drugiej na zegarze wieżowym pięć koni ukazało się na wielkim dziedzińcu: na czterech siedzieli służący, piątego rumaka, czarnego i bardzo rączego, trzymał za uzdę Grandchamp: był to koń jego młodego pana.

— Ah! ah!—zawołał Bassompierre—oto nasz rumak bojowy, osiodłany i okiełznany; dalej, młodzieńcze, trzeba śpiewać jak nasz stary Marot:

Żegnaj mi dworze, żegnajcie mi tany,
Żegnaj kadencyo i muzycka miaro,
Żegnajcie skrzypki, oboju, gitaro,
Żegnajcie, mówię wam, na czas nieznany.
Żegnajcie damy, matrony dostojne,
Żegnajcie piękne, urocze dziewczęce,
Wy czarnookie i różanolicie,
Na wojnę bowiem idziemy, na wojnę!

Te stare wiersze i mina marszałka pobudziły wszystkich za stołem do śmiechu, z wyjątkiem trzech osób.

— Jezus, Marya! zdaje mi się—ciągnął marszałek—że mam dopiero siedemnaście lat, jak on; wróci on do nas wyhaftowany; trzeba zostawić jego krzesło niezajętem.

Tu nagle marszałkowa zbladła, wstała od stołu, rozpluwając się we łzach; wszyscy podnieśli się za jej przykładem, lecz nie mogła postąpić więcej nad dwa kroki i upadła, siadając na inny fotel. Synowie jej i córki, oraz młoda księżniczka, otoczyli ją z żywym niepokojem i usłyszeli, pomimo duszności i płaczu, który chciała stłumić:

— Wybaczcie!... moi przyjaciele... to szaleństwo... to dzieciństwo... lecz jestem obecnie tak słaba, że nie byłam panią siebie. Było nas trzynaście osób przy stole i to ty byłaś tego przyczyną, moja droga księżniczko. Ale to bardzo źle, iż okazuję tyle słabości wobec niego. Żegnaj, moje dziecię, daj mi swe czoło do pocałowania, i niechaj cię Bóg prowadził! Bądź godzien swego nazwiska i swego ojca.

Poczem — jak powiedział Homer — „śmiejąc się przez łzy,” podniosła się, popychając go i mówiąc:

— Naprzód, niechaj cię widzę na koniu, piękny jeźdźcu!

Milczący młodzieniec ucałował ręce swej matki i pokłonił się jej następnie głęboko; skłonił się także przed księżniczką, nie podnosząc oczu; potem, całując swego starszego brata, ściskając dłoń marszałka i całując w czoło swoją młodą siostrę prawie jednocześnie, wyszedł i za chwilę siedział na koniu. Wszyscy pospieszyli do okien, wychodzących na dziedzińiec, wyjąwszy panią d'Effiat, jeszcze siedzącą i cierpiącą.

— Odjeżdża galopem, to dobry znak! — powiedział, śmiejąc się, marszałek.

— Ah! Boże!—zawołała księżniczka, cofając się od okna.

— Co się stało?—zapytała matka.

— To nic, to nic — odrzekł pan de Launay —

koń waszego syna potknął się u wrót, lecz on podniósł go wnet ręką; patrzcie, oto kłania się nam z drogi.

— Jeszcze jedna zła wróżba!—westchnęła marszałkowa, odchodząc do swych komnat.

Każdy ją naśladował, milknąc lub mówiąc ciicho. Dzień był smutny i wieczera milcząca na zamku Chaumont.

Gdy nadeszła godzina dziesiąta wieczorem, stary marszałek, prowadzony przez swojego kamerdynera, udał się na wieżę północną, sąsiadującą z wrotami zamku, naprzeciw rzeki. Gorąco było nadzwyczajne; otworzył tedy okno i otulając się w obszerny szlafrok jedwabny, umieścił ciężką pochodnię na stole i zapragnął pozostać sam. Okno jego wychodziło na równinę, którą księżyc w pierwszej swojej kwadrze oświetlał niepewnym tylko blaskiem; niebo obciążone było gęstymi chmurami i wszystko usposabiało do melancholii. Chociaż Bassompierre nie miał nic marzycielskiego w swym charakterze, obrót rozmowy przy obiedzie przyszedł mu na pamięć, i począł zastanawiać się nad całym swoim życiem i smutnymi zmianami, jakie przyniosło mu nowe panowanie, panowanie, które jakby zesłało nań wiatr nieszczęścia: śmierć ukochanej siostry, nierządne życie spadkobiercy jego imienia, utrata ziemi i łaski, niedawny zgon przyjaciela, marszałka d'Effiat, którego zajmował komnatę—wszystkie te myśli wyrwały zeń westchnienie mimowolne; stanął przy oknie, aby odetchnąć.

W tejże chwili zdawało mu się, że słyszy od strony lasu jakby tentent koni; ale zwiększający się wiatr odwiódł go od tej pierwszej myśli, a gdy naraż wszelki szmer ucichł, zapomniał o niej. Przyglądał się jakiś czas jeszcze ogniom zamkowym, które gasły kolejno, snując się wężykami w spiczastych łukach schodów i błakając po dziedzińcach i stajniach; następnie padł na swój wielki, wyłożony kobiercem fotel, i oparłszy łokieć na stole, oddał się zupełnie

swym rozmyślaniam; po chwili, wyjmując ukryty na piersiach medalion, zawieszony na czarnej taśmie: Pójdź mój dobry i stary panie — powiedział — pójdź porozmawiać ze mną, jak czyniłeś to często; pójdź, wielki królu, zapomnieć o twoim dworze dla śmiechu prawdziwego przyjaciela; pójdź, wielki mężu, zasięgnąć mej rady względem ambitnej Austrii; pójdź, zmienny rycerzu, opowiadać mi o dobroduszości swej miłości i o dobrej wierze swojej niewierności; pójdź, żołnierzu bohaterski, wyrzucać mi, że zasłaniam cię w boju; ah! czemu nie uczyniłem tego w Paryżu! czemu nie otrzymałem twojej rany! Z twoją krwią świat utracił dobrodziejstwa przerwanego twego panowania...

Łzy marszałka zrosiły szkło szerokiego medalionu, i właśnie osuszały je pełnemi uszanowania pocałunkami, gdy otworzone znienacka drzwi jego komnaty kazały mu porwać się do szpady.

— Kto tam? — zawołał ze zdziwieniem.

Stało się ono jeszcze większem, gdy poznał pana de Launay, który z kapeluszem w ręku zbliżył się do niego i rzekł z zakłopotaniem:

— Panie marszałku, z sercem rozdartem boleścią widzę się zmuszonym oświadczyć wam, że król rozkazał mi was aresztować. Karoca czeka na was u kraty z trzydziestu muszkietierami księcia - kardynała.

Bassompierre nie podniósł się i trzymał jeszcze medalion w lewej ręce, a szpadę w prawej; podał ją pogardliwie temu człowiekowi i odparł:

— Mospanie, wiem, że za długo żyłem, i myślałem właśnie o tem; w imię więc tego wielkiego Henryka oddaję spokojnie tę szpadę jego synowi. Proszę za mną.

Słowom tym towarzyszyło spojrzenie tak stanowcze, że de Launay był przybity i poszedł za nim z pochyloną głową, jakby on sam został aresztowany przez szlachetnego starca, który, chwytając pochodnię,

wyszedł z dziedzińca i zastał wszystkie wrota pootwierane przez straż konną, co przstraszyła mieszkańców zamku i w imieniu króla nakazała milczenie. Karoca była przygotowana i ruszyła szybko pod strażą. Marszałek, siedzący przy boku pana de Launay, zaczął drzeć, kołysany przez ruch pojazdu, gdy jakiś głos mocny zawołał do woźnicy:

— Stój!

A kiedy ów jechał dalej, padł strzał z pistoletu... Konie stanęły.

— Oświadczam, mospanie, że to się dzieje bez mego udziału — rzekł Bassompierre.

Poczem, zbliżając głowę do drzwiczek, ujrzał, że znajdował się w lasku i że droga była zbyt wąska, aby konie mogły przejść na prawo lub na lewo od pojazdu, co było wielce korzystne dla napastników, gdyż muszkietrzy nie mogli iść naprzód; usiłował dostrzedz, co się działo, gdy jakiś jeździec, mający w ręku szpadę, którą odbijał ciosy, zadawane mu przez jednego ze straży, przystąpił do drzwiczek, wołając:

— Chodź, chodź, panie marszałku!

— Jaktol to ty, nierozważny Henryku, robisz te wybryki? Panowie, panowie, zostawcie go, to dziecko.

A gdy de Launay krzyknął na muszkietarów, aby go puścili, miało czas poznać się wzajem.

— Zkąd, u diabła, tu się wzięłeś? — zapytał znów Bassompierre — myślałem, iż jesteś w Tours, a nawet znacznie dalej, gdybyś był spełnił swój obowiązek, a tymczasem ty wracasz, aby robić szaleństwo?

— Nie dla was bynajmniej wróciłem tu sam, a w sprawie tajemnej — odpowiedział Cinq-Mars ciżej — lecz, iż, jak się domyślam, wiozą was do Bastylii, jestem pewien, że nie powiecie nic o tem; to świątynia dyskrety. Jednakże, gdybyście byli chcieli — mówił dalej bardzo głośno — uwolniłbym was od tych mospanów w tym lesie, gdzie koń nie może ruszyć;

teraz już nie czas. Jeden chłop doniósł mi o znieprawdzie wyrządzonej więcej nam, niż wam, przez to porwanie w domu mego ojca.

— Stało się to z rozkazu króla, moje dziecię, i powinniśmy szanować jego wolę; zachowaj tę żarliwość na jego usługi; dziękuję ci za nią przecież z całego serca; daj rękę i pozwól mi odbywać dalej tę ładną podróż.

De Launay dodał:

— Wolno mi zresztą oświadczyć wam, panie de Cinq-Mars, że sam król polecił mi zapewnić imcipana marszałka, iż jest bardzo tem zasmucony i że tylko z obawy, aby go nie namówiono do złego, prosi go o zamieszkanie przez kilka dni w Bastylii ¹⁾.

Bassompierre odparł, śmiejąc się bardzo głośno:

— Widzisz więc, mój przyjacielu, jak to biorą młodych ludzi pod opiekę; tak tedy strzeż samego siebie.

— Dobrze, niechaj i tak będzie, więc jedźcie — powiedział Henryk — nie będę już udawał błędnego rycerza dla ludzi wbrew ich woli.

I cofając się w głąb lasu, podczas gdy karoca oddalała się wielkim kłusem, udał się bocznymi ścieżkami za drogę prowadzącą do zamku.

U stóp wieży zachodniej zatrzymał się. Był sam bez starego Grandchamp i swego małego orszaku zbrojnego, i nie zsiadł z konia; lecz zbliżając się do muru tak, aby się na nim oprzeć mocno nogą, podniósł żaluzję parterowego okna, w kształcie kraty najeżonej kolcami, jaką można jeszcze widzieć na niektórych budynkach starodawnych.

Było już po północy i księżyc się ukrył. Nikt inny, oprócz pana domu, nie potrafiłby nigdy znaleźć drogi w tak wielkiej ciemności. Wieże i dachy tworzyły jeno czarną masę, która się zaledwie odbijała

¹⁾ Pozostał w niej przez lat dwanaście.

na tle nieba trochę jaśniejszego; żadne światło nie świeciło w całym domu uspionym. Cinq-Mars, osłonięty kapeluszem o szerokich brzegach, oraz wielkim płaszczem, czekał z niepokojem.

Na co czekał? po co wrócił? Po słowa, co się dały słyszeć bardzo cicho za oknem:

— Czy to wy, panie de Cinq-Mars?

— Niestety! któżby to był? Któżby powrócił jak złoczyńca dotknąć domu rodzicielskiego, nie wchodząc doń, aby raz jeszcze powiedzieć „żegnaj” swojej matce? Któżby powrócił, aby skarżyć się na teraźniejszość, nie oczekując niczego od przyszłości, jeśli nie ja?

Słodki głos się zmieszał i łatwo było słyszeć, że żyli towarzyszyły jego odpowiedzi:

— Niestety, Henryku! na cóż się skarżycie? Czyż nie uczyniłam więcej i dużo więcej, niż powinienam? Jestże to moja wina, jeśli nieszczęście chciało, aby książę panujący był moim ojcem? Można wybrać sobie kolebkę i powiedzieć: „urodę się pasterką?” Waćpan wiesz dobrze, jakie jest całe nieszczęście księżniczki: wydzierają jej serce przy urodzeniu, cała ziemia jest powiadomiona o jej wieku, traktat odstępuje ją jak miasto i nie wolno jej nigdy płakać. Odkąd was znam, czegoż nie uczyniłam, aby się zbliżyć do szczęścia, a oddalić od tronów! Od dwóch lat walczyłam napróżno przeciw mej złej doli, która rozłącza mnie z wami, i przeciwko wam, co mnie odwodzicie z drogi powinności. Waćpan wiesz dobrze, pragnęłam, aby mnie uważano za umierającą; co mówię? pożałowałam niemal rewolucji! Może błogosławiłabym cios, któryby mi odjął moje dostojęństwo, jak dziękowałam Bogu, kiedy mój ojciec został obalony; lecz dwór się dziwi, królowa chce mnie widzieć; nasze marzenia znikły, Henryku; nasz sen trwał zbyt długo; zbudźmy się z odwagą. Nie myślcie już o tych dwóch pięknych latach: zapomnijcie o wszystkim, aby pamiętać jeno o naszym wielkim postano-

wieniu; miejcie tylko jedną myśl, bądźcie ambitni... ambitni dla mnie...

— Trzebaż więc zapomnieć o wszystkim, o Maryo! — zawołał Cinq-Mars łagodnie,

Zapytana się zawahała...

— Tak, o wszystkim, o czem ja sama zapomniałam — odrzekła. Poczem za chwilę ciągnęła z ożywieniem: — Tak, zapomnijcie o naszych szczęśliwych dniach, naszych długich wieczorach, a nawet o naszych przechadzkach nad stawem i po lesie; ale pamiętaj waćpan o przyszłości; jedź! Twój ojciec był marszałkiem, ty bądź czemś więcej, wielkim hetmanem, księciem. Jedź, jesteś młody, szlachetny, bogaty, młody, kochany...

— Na zawsze? — zapytał Henryk.

— Na życie i wieczność.

Cinq-Mars zdrzął i wyciągając rękę, zawołał:

— Więc dobrze! przysięgam na Przenajświętszą Pannę, której imię nosisz, że będziesz moja, Maryo, albo ma głowa padnie na rusztowaniu.

— Na Boga! co waćpan mówił! — zawołała, biorąc jego rękę białą rączką, która wychyliła się z okna. — Nie, twoje usiłowania nie będą nigdy występną, przysięgnij mi na to; waćpan nie zapomnisz nigdy, że król Francji jest jego panem; kochaj go nadewszystko, po tej przecież, która tobie poświęci wszystko i będzie czekała na ciebie, cierpiąc. Weź waćpan ten krzyżyk złoty; zawieś go na swym sercu, był on nieraz oblany memi łzami. Pamiętaj, że gdy byś kiedy zawinił względem króla, przelałabym ich więcej, bardziej gorzkich. Daj mi waćpan ten pierścień błyszczący na twoim palcu. O Boże! moja ręka i twoja są całe czerwone od krwi!

— Cóż to szkodził nie plynęła ona dla ciebie; czy nie słyszałaś nie przed godziną?

— Nie; ale czy teraz nie słyszysz waćpan nie sam?

— Nie, Maryo, jeśli to nie ptak nocny na wieży.

— Mówiono o nas, jestem tego pewna. Lecz skąd pochodzi ta krew? Mów waćpan prędko i jedź.

— Dobrze, jadę; oto obłok, który nam wraca noc. Żegnaj, aniele niebiański, będę cię przyzywał. Miłość wlała żądzę zaszczytów do mego serca, niby truciznę palącą; tak, czuję to po raz pierwszy, żądza dostojęństw może być uszlachetniona przez swój cel. Żegnaj, ja wypełnię swe przeznaczenie.

— Żegnaj! ale pamiętaj waćpan o mojem.

— Mogą się one rozłączyć?

— Przenigdy — zawołała Marya — chyba przez śmierć!

— Lękam się więcej jeszcze nieobecności — rzekł Cinq-Mars.

— Żegnaj! ja drzę; żegnaj! — odpowiedział głos ukochany.

Żaluzya spadła powoli na dwie ręce jeszcze złęczone.

Tymczasem czarny rumak nie przestawał grzebać nogami ziemi i miotać się, rżąc; jego pan zaniepokojony, pozwolił mu pędzić galopem, i wkrótce przybył do miasta Tours, o którym dzwony z Saint-Gatien oznajmially zdaleka.

Stary Grandchamp, nie bez szemrania, czekał na swego pana i łajał go, widząc, że nie chce iść spać. Nazajutrz cały orszak wyjechał, a w pięć dni później wszedł do starego miasta Loudunu w Poitou, w milczeniu i bez wypadku.

ROZDZIAŁ II.

U L I C A.

Zbliżałem się z trudnością i krokiem niepewnym do tego orszaku tragicznego.

Ch. Nodier, „Smarra.“

To panowanie, którego kilka lat chcemy wam odmalować, panowanie słabości, będące jakby zaćmieniem korony między świetnościami Henryka IV a Ludwika Wielkiego, zasmuca wpatrujące się w nie oczy kilku płamami krwawemi. Nie były one dziełem jednego człowieka, wielkie zgromadzenia złożyły się na nie. Smutny to widok, że w owym wieku jeszcze niepohamowanym, duchowieństwo, podobne do wielkiego narodu, miało swe pospółstwo, jak miało swoją szlachtę; swoich ciemnych i występnych, jak swoich uczonych i cnotliwych prałatów. Od owego czasu to, co mu pozostało z barbarzyństwa, zostało ukształcone przez długie panowanie Ludwika XIV, a to, co miało z zepsucia, zostało obmyte w krwi męczenników, których ofiarowała rewolucya 1793. Tak, dzięki szczerzniejszemu przeznaczeniu, wydoskonalone przez monarchię i rzeczpospolitą, złagodzone przez jedną, wychłostane przez drugą, doszło do nas takim, jakim jest dziś: ostrem dla siebie i rzadko rozwiązlem.

Czuliśmy potrzebę zatrzymać się na chwilę nad tą myślą, zanim przystąpimy do opowiadania o wypadkach, jakie przedstawiają nam dzieje owych czasów, i mimo tego pocieszającego spostrzeżenia, nie mogliśmy się wstrzymać od usunięcia szczegółów nazbyt niecznych, utyskując jeszcze nad tem, co zostało z czynów występnych, jak opowiadając o życiu zacnego starca, płaczemy nad uniesieniami jego młodości namiętnej lub skłonnościami zepsutemi jego wieku dojrzałego.

Gdy nasza kawalkata wjechała w wąskie ulice Loudunu, dziwny szum dał się na nich słyszeć, były bowiem wypełnione tłumem niezmiernym; dzwony kościoła i klasztoru dzwoniły jakby na pożar, i wszyscy, nie zwracając żadnej uwagi na podróźnych, cisnęli się do wielkiego budynku, przyległego do kościoła. Łatwo było odróżnić na rysach twarzy ślady wrażeń bardzo rozmaitych i często przeciwnych sobie. Tworzyły się liczne grupy i zbiegowiska, gwar rozmów ustawał w nich nagle i słychać było tylko jeden głos, który zdawał się zachęcać albo czytać, poczem wściekłe krzyki, zmieszane z kilku głosami pobożnemi, powstawały ze wszystkich stron; tłum się rozpraszał i widziano, że mówcą był kapucyn albo franciszkanin i że trzymając w ręku krucyfiks drewniany, wskazywał tłumowi wielki budynek, do którego się ten kierował.

— Jezus Marya! — zawołała jakaś stara kobieta — ktoby kiedykolwiek był uwierzył, że zły duch obierze sobie pocziwe nasze miasto na mieszkanie?

— I że przeznacne Urszulanki zostaną opętane? — rzekła druga.

— Mówią, że bies, miotający przełożoną, nazywa się Legion! — powiedziała trzecia.

— Co mówisz, moja droga! — przerwała jakaś zakonnica; — siedzi ich siedmiu w jej grzesznem ciele, o które niewątpliwie zawiele dbała z powodu jego wielkiej piękności; teraz ono jest przytułkiem piekła;

jego wielebność przeor Karmelitów, podczas wczorajszych egzorcyzmów, zmusił do wyjścia z jej ust złego ducha Eazasa, a czcigodny ojciec Lactance wypędził także dyabła Beherita. Lecz pięciu innych nie chciało wyjść i gdy święci egzorcysty, których niechaj Bóg wspiera! zaklinali ich po łacinie, aby się wynieśli, dyabły te odrzekły, że nie uczynią tego, dopóki nie dowiodą swej potęgi, o której hugonoci i heretycy zdają się wątpić, a zły duch Elimi, najzłośliwszy, jak wiecie, zapewniał, że dziś porwie bilet jegomości de Laubardemont i będzie go trzymał w powietrzu podczas *Miserere*.

— Ach, Panno Przenajświętsza! — odezwała się pierwsza — ja drzę już cała. I gdy pomyślę, że chodziłam wielokrotnie prosić o msze tego czarnoksiężnika Urban!...

— A ja — rzekła jakaś młoda dziewczyna, zegnając się — ja spowiadałam się u niego przed dzieśmiu miesiącami i zostałabym z pewnością opętana, gdyby nie relikwia świętej Genowefy, którą miałam na szczęście pod suknią i...

— I, nie wymawiając, Marcysia — przerwała otyła przekupka — pozostała dość długo dlatego sama z pięknym czarnoksiężnikiem.

— A więc, moja piękna, będzie teraz miesiąc, jak zostałam od niego uwolniona — powiedział młody żołnierz, który wmieszał się właśnie do rozmawiających, paląc lulkę.

Młoda dziewczyna zarumieniła się i zakryła ładną twarzyczkę kapturem swojej czarnej szuby. Stare kobiety spojrzały pogardliwie na żołnierza, a ponieważ znajdowały się wtedy przy bramie wejściowej jeszcze zamkniętej, rozpoczęły nanowo swe gawędy z zapalem większym, niż kiedykolwiek, widząc pewnością, że wejdą pierwsze i, siadając na kopcach i ławach kamiennych, gotowały się przez swe opowieści do szczęścia, jakiego miały doświadczyć, stając się

widzami czegoś niezwykłego, jakiegoś zjawiska lub przynajmniej męki.

— Czy to prawda, moja ciotko!—zapytała młoda Marcysia najstarszej—że słyszałaś, jak mówią złe duchy?

— Prawda, jak to, że cię widzę, i wszyscy obecni mogą tak samo zaświadczyć o tem, moja siostrzenico; dlatego właśnie, aby dusza twoja została zbudowana, przyprowadziłam cię tu dziś—dodała— a poznasz prawdziwie moc złego ducha.

— Jakież on ma głos, kochana ciociu?—ciągnęła młoda dziewczyna, uradowana wielce wznieceniem nonowo rozmowy, odwracającej od niej uwagę tych, co ją otaczali.

— Ma głos taki sam, jak przełożona, którą niech Najświętsza Marya Panna uderuje swą łaską. Słyszałam tę biedną, młodą kobietę wczoraj dość długo; przykro było widzieć, jak rozdierała sobie łono i wierzgała nogami i rękoma, poczem nagle skupiała je za swemi plecami. Gdy świątobliwy ojciec Lactance przybył i wymówił imię Urbana Grandier, piana wyszła z jej ust i mówiła po łacinie, jakby czytała Biblię. Więc też dobrze nie zrozumiałam i zapamiętałam tylko: *Urbanus magicus rosas diabolica*, co miało znaczyć, że czarnoksiężnik Urban zczarował ją różami, otrzymanemi od dyabła i wychodziły z jej uszów i szyi róże barwy płomiennej, które czuć było siarką do tego stopnia, iż jegomość namiestnik kryminalny wołał, że każdy zrobi dobrze, zatykając nozdrza i oczy, bo złe duchy będą wychodziły.

— A có, widzicie!—zawołały piskliwym głosem i z miną tryumfującą wszystkie zebrane kobiety, zwracając się w stronę tłumu, a szczególnie do grona mężczyzn czarno ubranych, pomiędzy którymi znajdował się młody żołnierz, co tak był im dociał, przechodząc.

— Te stare waryatki, którym się zdaje, że są

na sejmie czarownice, więcej jeszcze hałasują, niż one, gdy przyjeżdżają na sejm konno na kiju od miotły.

— Młodzieńcze, młodzieńcze!—rzekł jakiś mieszczanin smutnie—nie żartuj tak pod gołym niebem; wiatr mógłby się stać płomieniem dla ciebie, w czasie, jaki jest obecnie.

— Daję słowo, kpię sobie ze wszystkich tych egzorcystów!—odparł żołnierz.—Nazywam się Grand-Ferré, a wielu jest takich, którzyby mieli kropidło podobne do mego.

I biorąc rękojeść szpady jedną ręką, podkreślił drugą swe jasne wasy i spojrzał dokoła siebie, marszcząc brew; ale ponieważ nie dostrzegł w tłumie żadnego spojrzenia wyzywającego, odszedł powoli, wysuwając prawą nogę naprzód i przechadzał się po ulicach wązkich i brudnych, z tą niedbałością zupełną wojskowego, rozpoczynającego swój zawód, i pogardą głęboką dla wszystkiego, co nie nosi jego odzieży.

Tymczasem ośmiu, czy dziesięciu rozsądnych mieszkańców tego małego miasta przechadzało się razem w milczeniu między tłumem wzburzonym; zdawali się oni jak piorunem rażeni tą zadziwiającą i nagłą wieścią, i zadawali sobie wzajemnie pytania wzrokiem przy każdym nowem szaleństwie, uderzającym ich w oczy. To nieme niezadowolenie zasmucało ludzi z ludu, oraz licznych chłopów przybyłych ze wsi i pragnących dowiedzieć się czegoś więcej od właścicieli gruntów, swoich panów; widzieli bowiem tylko, że coś niedobrego się przygotowuje i uciekali się do jedynego środka, jakiego może użyć człowiek nieświadomy i oszukiwany: zdania się na Wolę Boską i nieczynność.

Jednakże chłop francuski ma w swym charakterze pewną szczerotę szyderską i używa jej względem sobie równych często, a zawsze względem swoich panów. Stawia on zapytania kłopotliwe dla władzy, jak

owe wieku dziecinnego dla dojrzałego; uniża się do nieskończoności, aby ten, kogo zapytuje, stanął zakłopotany we własnem wywyższeniu; podwaja nieznaczność w obejściu i szorstkość w wyrażeniach, aby lepiej widzieć tajemny cel jego myśli, wszystko nadaje mu jednak niezależnie od niego wyraz podstępny i trwogi, i to go zdradza; a jego uśmiech złośliwy, oraz ociężałość przymuszona, kiedy opiera się na swym długim kij, wskazują iż nadto, jakim nadziejom się oddaje i jaka jest podpora, na którą liczy.

Jeden z najstarszych zbliżył się na czele dziecięciu lub dwunastu młodych chłopów, swoich synów i synowców; mieli oni wszyscy wielkie kapelusze i ową koszulę niebieską, starożytny ubiór Gallów, którą lud Francji nosi jeszcze na wszelkiego rodzaju odzieży, a która nadaje się tak dobrze do jej klimatu dżdżystego i do jego pracy. Gdy zbliżył się już do osób, o których mówiliśmy, zdjął kapelusz; cała jego rodzina zrobiła taksamo; widać było wtedy jego twarz brunatną, oraz czoło obnażone i pokryte zmarszczkami, okolone włosami białymi i bardzo długimi; jego plecy były zgarbione przez wiek i pracę. Został powitany z wyrazem zadowolenia i niemal szacunku przez mężczyznę bardzo poważnego z czarnej grupy, który, nie odkrywając głowy, podał mu rękę.

— A więc, mój ojcie Wilhelmi Leroux! — rzekł do niego — wy także opuszczacie swój folwark de la Chênaie dla miasta, chociaż to nie dzień targowy? To tak, jakby nasze poczciwe woły wyprzęgły się, aby iść polować na szpaki i porzuciły oranie dla spędzenia biednego zająca.

— Dalibóg, panie hrabio du Lude! — odparł dzierzawca — nieraz zając przychodzi ledz przed wółem; powiedzieli mi, że chcą nas oszukać i przybywamy zobaczyć trochę, jakim sposobem.

— Skończmy na tem, mój przyjacielu! — odrzekł hrabia — oto imci pan Fournier, palestrant, ten was nie oszuka, gdyż zrzucił się wczoraj wieczorem ze

swego urzędu instygatora królewskiego i odtąd jego wymowa będzie służyła tylko jego szlachetnej myśli; usłyszycie go może dziś, lecz boję się tej wymowy tyleż dla niego, ile sobie jej życzę dla oskarżonego.

— Mniejsza o to, mospanie, prawda jest moja namiętnością! — powiedział Fournier.

Był to młodzieniec nadzwyczajnej bledkości, ale miał oblicze pełne godności i wyrazu; jego włosy czarne, jego oczy niebieskie, ruchliwe i bardzo jasne, jego chudość i cienka figura czyniły go zrazu młodszym, niż był nim rzeczywiście; lecz jego twarz myśląca i namiętna zapowiadała wiele wyższości i tę dojrzałość przedwczesną duszy, którą nadaje nauka i energia wrodzona. Miał suknię i płaszcz czarne, dość krótkie, według mód owego czasu, pod lewem ramieniem zwój papierów; rozmawiając, brał i ścisnął konwulsyjnie prawicą ów papier, jak wojak w gniewie chwytą gałkę swej szpady. Zdawało się, że chciał go rozwinąć i wyrzucić z niego piorun na tych, których ścigał swoim wzrokiem oburzonym. Byli to trzej Kapucyni i Franciszkanin, przechodzący właśnie w tłumie.

— Ojcie Wilhelmi! — ciągnął imci pan du Lude — dlaczego przyprowadziliście tylko swych mężkich potomków i na co te kije?

— Dalibóg, panie hrabio, nie chciałbym ci ja wcale, aby nasze córki nauczyły się tańcować, jak zakonnice; a potem, czasu nie wstrzymać, a my chłopcy umiemy lepiej ruszać się, niż białogłowy.

— Nie ruszajmy się, mój stary przyjacielu; wierz mi — rzekł hrabia — stańcie raczej wszyscy szeregiem, aby widzieć procesję, która się do nas zbliża, i pamiętajcie, że macie siedemdziesiąt lat.

— Ah! ah! — zawołał starzec, ustawiając rzędem dwunastu swoich synów, jak żołnierzy; — byłem ci ja w potrzebach z nieboszczykiem królem Henrykiem i umiałem pukać z pistoletu również dobrze, jak to związkowi robili.

Potrząsnął głową i usiadł na kopcu ze swym kijem sękatym pomiędzy nogami, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i okrywającą je białą brodą. Tak przymknął nawpół oczy, jakby się oddał całkiem swoim wspomnieniom dzieciństwa.

Przyglądano się ze zdziwieniem jego odzieży dzwirowanej, jakby z czasu króla bearnajskiego, oraz jego podobieństwu do tego księcia w ostatnich latach jego życia, chociaż jego włosy zostały pozbawione przez sztylet owej białości, której doczekała się spokojnie głowa starca. Lecz wielki odgłos dzwonów zwrócił ogólną uwagę na kraniec głównej ulicy Loudunu.

Widać było przybywającą zdaleka długą procesję, której chorągwie i piki wznosiły się nad tłumem, rozstępującym się w milczeniu, aby przyjrzeć się temu przyborowi nawpół śmiesznemu, a nawpół żłowrogiemu.

Łucznicy, ze szpiczastą brodą, w szerokich kapturach z piórami, szli naprzód w dwóch rzędach z długimi halabardami; następnie, dzieląc się na dwa szeregi, z każdej strony ulicy zamykały tę podwójną linię dwie podobne linie szarych pokutników; przynajmniej damy tę nazwę, znaną w niektórych prowincjach południowej Francji, ludziom, ubranym w długą suknię tej barwy, zakrywającą im zupełnie głowę, nakształt kaptura, i maskę z tej samej materii, wiszącą pod podbródkiem, jak długa broda, i mającą tylko trzy otwory dla oczów i ust. Zdarza się widzieć jeszcze za dni naszych pogrzeby, uczczone podobnymi ubiorami, zwłaszcza w Pirenejach. Pokutnicy loudunscy trzymali olbrzymie gromnice w ręku, a ich chód powolny i oczy, zdające się rzucać płomienie pod maską, nadawały im wygląd upiórów, zasnuwając mimowolnie.

Pomruki rozmaitego znaczenia rozpoczęły się między ludem.

— Dość jest łajdaków schowanych pod tą maską—odezwał się jakiś mieszczuch.

— I których oblicze jest brzydsze jeszcze od niej—dodał jakiś młodzian.

— Ja się ich boję!—zawołała pewna młoda kobieta.

— Ja się boję tylko o moją kieszeń—odparł jakiś przechodzień.

— Ah! Jezusie Nazareński! oto więc nasi świątobliwi bracia Penitencyaryusze—mówiła znów starszka, odchylając swój czarny płaszczyk.—Czy widzicie, jaką chorągiew oni niosą? co za szczęście, iż jest z nami! zbawi nas z pewnością; czy widzicie na wierzchu dyabła w płomieniach i mnicha, który mu wkłada łańcuch na szyję? A teraz sędziowie nadchodzą. Ah! zacni mężowie! patrzcie na ich suknie czerwone, jakie piękne! Ah! Panno Przenajświętsza! jak je dobrze dobrano!

— To są osobiści wrogowie proboszcza—rzekł pocichu hrabia de Lude do obrońcy Fourniera, robiącogo jakąś notatkę.

— Czy poznajecie ich dobrze wszyscy?—ciągnęła stara, uderzając pięścią swoje sąsiadki i szczypiąc w ręce sąsiadów aż do krwi, aby zwrócić ich uwagę—to ten pocziwy imćpan Mignon, co mówi pocichu do panów radców najwyższego trybunału w Poitiers; niech Bóg zleje swoje święte błogosławieństwo na nich!

— To Roatin, Richard i Chevalier chcieli złożyć go z urzędu przed rokiem—ciągnął półgłosem imćpan du Lude do młodego obrońcy, który pisał ciągle pod swym płaszczem, otoczony i ukryty przez czarną grupą mieszczan.

— Ah! patrzcie, patrzcie, stańcież w końcu szeregiem! Oto jego wielbność Barré, proboszcz od Świętego Jakóba de Chinon—powiedziała stara.

— To człowiek święty—rzekł ktoś inny.

— To obłudnik—odezwał się głos mężki.

- Patrzcie, jaki wychudzony postem!
- Jaki blady od wyrzutów sumienia!
- To on zmusza dyabłów do ucieczki.
- To on im podpowiada.

Tu rozmowa została przerwana przez okrzyk ogólny:

- Jaka ona piękna!

Przełożona Urszulanek postępowała na czele wszystkich swoich zakonnic; biały jej welon był podniesiony. Aby lud mógł widzieć rysy opętanych przez dyabła, sześć innych siostr miało także lica odsłonięte. Nic jej nie odróżniało w stroju, prócz ogromnego różańca o czarnych ziarnkach, zwieszającego się od jej szyi do stóp i zakończonego złotym krzyżem; lecz jaśniejsza białosć jej lic, którą podnosiła jeszcze szara barwa kaptura, przyciągała naprzód wszystkie spojrzenia; czarne jej oczy zdawały się odbiciem głębokiej i palącej namiętności; były one nakryte doskonałemi łukami dwóch brwi, które natura narysowała z taką starannością, z jaką Czerkieski zaokrąglają je pendzlem; lecz mała zmarszczka między niemi zdradzała silne wzruszenie myśli. Jednakże udawała wielki spokój we wszystkich swych ruchach i w całej swej postaci; jej kroki były powolne i miarowe, obie jej ręce złożone, a tak białe i nieruchome, jak u marmurowych posągów, co modła się wiecznie na grobowcach.

— Oh! czy poznajesz, moja ciotko — zapytała młoda Marcysia — siostrę Agnieszkę i siostrę Klarę, które przy niej płaczą?

— Siostrzenico moja, one się martwią, że są pastwą złego ducha.

— Albo żałują — odezwał się tensam głos mężki — iż oszukały Boga.

Tymczasem głębokie milczenie zapanowało wszędzie i żadne poruszenie nie wstrząsnęło ludem; zdawało się, że został nagle zdjęty jakimś urokiem, gdy po zakonnicach ukazał się, pośród czterech pokutni-

ków, którzy go trzymali uwiązanego na łańcuchu, proboszcz kościoła Świętego-Krzyża, ubrany w suknię duchowną; szlachetność jego oblicza była godna uwagi i nie nie mogło dorównać słodyczy jego rysów; nie okazując niepokoju, patrzył z dobrocią i zdawał się szukać na prawo i lewo, czy nie spotka się z rozrzuconym wzrokiem przyjaciela; dojrzał go i poznał, i to ostatnie szczęście człowieka, który widzi zbliżającą się ostatnią swą godzinę, nie zostało mu odmówione; usłyszał nawet jakieś łkania, widział wyciągnięte ku sobie ręce, a niektóre nie były bez broń; lecz on nie odpowiadał na żaden znak; spuścił oczy, nie chcąc gubić tych, którzy go kochali, i przebieść na nich w spojrzeniu swego nieszczęścia. Był to Urban Grandier.

Nagle procesya zatrzymała się na znak ostatniego człowieka, który szedł za nią i zdawał się dowodzić wszystkimi. Był on wysoki, chudy, blady, ubrany w długą suknię czarną; miał głowę nakrytą biretem tej samej barwy, twarz Bazylego, spojrzenie Nerona. Dał znak straży, aby go otoczyła, widząc z przestraczem czarną grupę, o której mówiliśmy, i że chłopci cisną się blisko, aby go usłyszeć, kanonicy i kapucyni stanęli koło niego, on zaś odczytał piskliwym głosem następujący niezwykły wyrok:

„My, imćpan de Laubardemont, referendarz w radzie stanu, wysłany i subdelegowany, zaszczycony władzą nieograniczoną w sprawie czarnoksiężnika Urbana Grandier, aby go sądzić ze wszystkich punktów oskarżenia, w przytomności czeigodnych ojców; Mignon, kanonika; Barré, proboszcza od Świętego-Jakóba de Chinon; ojca Lactance, oraz wszystkich sędziów, powołanych do sądzenia tegoż czarnoksiężnika: zawyrokowaliśmy uprzednio co następuje: *Primo*: mniemane zgromadzenie właścicieli-szlachty, obywateli miasta, oraz ziem okolicznych, zostaje zniesione, jako zmierzające do ogólnego buntu; jego akty będą uznane za nieważne, a mniemany list do króla, oskar-

zający nas, sędziów, przejęty i spalony na placu publicznym, jako oczerniający przeznacne Urszulanki, oraz wielbnych ojców i sędziów. *Secundo*: będzie wzbronione mówić publicznie lub prywatnie, że wymienione wyżej mniszki nie są wcale opętane przez złego ducha, i wątpić o władzy egzorcystów, pod groźbą dwudziestu tysięcy liwrów grzywny i kary cielesnej.

„Naczelnicy wojenni okręgów i ławnicy zastępują się do tego. Dan 18 czerwca roku Pańskiego 1639.”

Zaledwie skończył to czytanie, gdy fałszywy odgłos trąb ozwał się przed ostatnią sylabą jego słów i zagłuszył, chociaż niezupełnie, ścigające go szemrania; przyspieszył pochód procesyi, która weszła pośpiesznie do wielkiego budynku, przylegającego do kościoła: był to dawny klasztor o zapadłych w ruinę piętrach, i tworzył już tylko jedną ogromną salę, zdatną do użytku, jaki chciano z niej zrobić. Laubardemont nie czuł się bezpiecznym, dopóki tam nie wszedł i nie usłyszał, że się ciężkie i podwójne wrota zamknęły, skrzypiąc na tłum, który wydawał jeszcze wściekle okrzyki.

ROZDZIAŁ III.

DOBRY KAPŁAN.

Człowiek spokojny mówił tak do mnie.
Wikary Sabaudzki.

Teraz, gdy procesya dyabelska weszła do sali swego widowiska, i podczas, gdy przygotowuje swoje krwawe przedstawienie, zobaczmy, co uczynił Cinq-Mars pośród zaniepokojonych widzów. Oczywiście był on obdarzony wielkim taktem i czuł, że nie dojdzie łatwo do swego celu, aby znaleźć księdza Quilleta w chwili, gdy wzburzenie umysłów było u szczytu. Pozostał więc na koniu ze swymi czterema służącymi w małej ulicy bardzo ciemnej, wychodzącej na plac, mógł tedy widzieć łatwo wszystko, co zaszło. Nikt nie zwracał z początku na niego uwagi; ale gdy ciekawość ogólna nie miała już się nasycić czem innym, stał on się celem wszystkich spojrzeń. Zmęczeniu tylu scenami mieszkańcy patrzyli nań z dudem niezadowoloniem, i zapytywali siebie półgłosem, czy to nie jeszcze jeden egzorcysta; kilku chłopom zaczęło się nawet zdawać, że zacieśniał ulicę swojemi pięciu końmi. Czuł, że czas coś postanowić, i wy-

bierając bez wahania ludzi najlepiej ubranych, jak uczyniłby każdy na jego miejscu, zbliżył się ze swym orszakami i z kapeluszem w ręku do czarnej grupy, i zwracając się do osoby, która wydała mu się najznakomitszą, rzekł:

— Wasze miłość, gdzie mogę widzieć księdza Quilleta?

Słyszając to nazwisko, wszyscy spojrzeli na niego z rodzajem przestachu, jakby wymówił imię Lucyfera. Jednakże nikt nie miał miny obrażonego z tego powodu; zdawało się przeciwnie, że to pytanie zrodziło przychylnie mniemanie dla niego w umysłach. Zresztą przypadek posłużył mu dobrze w wyborze. Hrabia de Lude zbliżył się do jego rumaka, witając go:

— Zsiądźcie z konia, mości panie, a będę wam mógł udzielić o nim mogących się na coś przydać wiadomości.

Pomówiwszy bardzo cicho, obydwa rozstali się z wyszukaną grzecznością owego czasu. Cinq-Mars dosiadł znów czarnego swego wierzchowca i przebywając wiele uliczek znalazł się wkrótce ze swym orszakiem po za tłumem.

— Jakżem szczęśliwy! — mówił, jadąc — ujrzę przynajmniej na chwilę tego dobrego i miłego księdza, który mnie wychował; przypominam sobie jeszcze jego rysy, spokojny wyraz twarzy i głos pełen słodyczy.

Gdy myślał o tem wszystkim z rozrzewnieniem, znalazł się w uliczce nader brudnej, którą mu wskazano; była ona tak wązka, że nakolanki jego butów dotykały obydwoch murów. Odszukał w końcu drewniany dom jednopiętrowy i w swym pośpiechu zastukał kilkakrotnie.

— Kto idzie? — ozwał się jakiś głos gwałtowny.

I prawie natychmiast otwierające się drzwi po-

zwoliły widzieć małego otyłego człowieka, kusego i całego czerwonego, mającego na sobie czarny biret, ogromną białą kryzę, buty ze sztylpami, pochłaniające jego małe nogi w swych ogromnych rurach, i dwa pistolety łekowe w ręku.

— Drogo sprzedam swoje życie! — wołał — i...

— Zwolna, księże, spokojnie — rzekł doń jego uczeń, biorąc go za rękę — to wasi przyjaciele.

— Ah! moje biedne dziecko, to ty! — powiedział starowina, odrzucając pistolety, które podniósł ostrożnie służący, uzbrojony także od stóp do głów. — I po co tu przybywasz? Wszystko tu obrzydło i oczekuję nocy, aby wyjechać. Wejdz szybko, mój przyjacielu, ty i twoi ludzie; wziąłem was za łuczników Laubardemonta i, dalibóg, o mało się już nie zapomniałem. Widzisz te konie; jadę do Włoch, aby się połączyć z naszym przyjacielem, księciem de Bouillon. Janie, Janie, zamknij prędko wielkie wrota za tymi dzielny mi służącymi i poleć im, aby za wiele nie hałasowali, chociaż niema żadnego mieszkania w pobliżu.

Grandchamp spełnił rozkaz nieustraszonego księżyny, który uściskał czterokrotnie Cinq-Marsa, stając na końcu swych butów, aby dosięgnąć środka jego piersi. Poprowadził go bardzo szybko do wąskiego pokoju, wyglądającego jak strych opuszczony, i siadając z nim na kufrze z czarnej skóry, zawołał żywo:

— Cóż, moje dziecko, dokąd jedziesz? O czemże myśli pani marszałkowa, że pozwoliła ci tu przybyć? Nie widzisz-li dobrze wszystkiego, co się robi na zgubę jednego nieszczęśliwego? Ah! dobry Boże! Takież to miał widowisko zobaczyć mój drogi uczeń? Ah! Boże! gdy oto jesteś w tym wieku prześlicznym, gdy przyjaźń, czułe przywiązanie, słodkie zaufanie powinny cię otaczać, gdy wszystko powinno ci dać dobre mniemanie o ludziach, o bliźnich, przy twojem wejściu w świat! co za nieszczęście! ah! mój Boże! po co przybyłeś?

Kiedy pocciwy ksiądz tak jęczał, ściskając serdecznie obie ręce młodego podróżnego w swoich rękach, czerwonych i pomarszczonych, Cinq-Mars miał wreszcie czas powiedzieć mu:

— Ależ, czy nie zgadujesz, mój drogi księże, że ponieważ jesteś w Loudunie, dlatego tu przybyłem? Co do tych widowisk, o których mówisz, to wydały mi się one tylko śmieszne i przysięgam ci, że niemniej dlatego kocham rodzaj ludzki, o którym twoje cnoty i dobre nauki dały mi doskonale wyobrażenie, a że pięć lub sześć waryatek...

— Nie traćmy czasu; opowiem ci o tem szaleństwie, wytłómaczę ci je. Ale odpowiedz, dokąd jedziesz? w jakim celu?

— Jadę do Perpignan, gdzie księżę kardynał ma przedstawić mnie królowi.

Tu dobry i porywczy ksiądz podniósł się ze swego kufra, i chodząc, albo raczej biegnąc wzdłuż i wszer po pokoju i tupiąc nogami:

— Kardynał! kardynał!—powtarzał, dusząc się, czerwieniąc i ze łzami w oczach:—biedne dziecko! oni go zgubią! Ah! mój Boże! jakąż rolę każą mu tam odgrywać? Ah! kto ustrzeże cię, mój przyjacielu, w tym kraju niebezpiecznym? — powiedział, siadając znów i biorąc obie ręce swego ucznia w swoje z ojcowską troską i usiłując czytać w jego oczach.

— Ja sam nie wiem—rzekł Cinq Mars, patrząc w sufit—sądzę, że kardynał de Richelieu, który był przyjacielem mego ojca...

— Ah! mój drogi Henryku, lękam się o ciebie, moje dziecko; on cię zgubi, jeśli nie będziesz jego powolnym narzędziem. Ah! czemuż nie mogę iść z tobą! Niestety! nie, byłbym dla ciebie niebezpieczny; przeciwnie, trzeba, abym się ukrył. Lecz będziesz miał przy sobie imcipana de Thou, mój synu, nieprawdaż? — powiedział, usiłując się uspokoić — to twój przyjaciel od dziecka, nieco starszy od ciebie,

słuchaj go, moje dziecko, to rozsądny młodzieniec, ma swoje poglądy i charakter wyrobiony.

— Oh! tak, mój drogi księże, licząc na moje przywiązanie do niego; nie przestałem go kochać...

— Lecz niezawodnie przestałeś pisywać do niego, nieprawdaż? — odparł uśmiechając się pocciwy ksiądz.

— Proszę mi wybaczyć, mój dobry księże; napisałem do niego kiedyś... i wczoraj, aby mu oznajmić, że kardynał wzywa mnie na dwór.

— Jakto! on sam zapragnął cię widzieć!

Wtedy Cinq-Mars pokazał list księcia-kardynała do swej matki; powoli jego dawny guwerner uspokoił się i udobruchał.

— No, no—powiedział zcicha—no, to nieźle, to obiecująco: kapitanem gwardyi w dwudziestym roku, to nieźle.

I uśmiechnął się,

A młodzieniec, uniesiony widokiem tego uśmiechu, który zgadzał się na koniec ze wszystkimi jego nadziejami, rzucił się na szyję księdza i uściśkał go, jakby owładnął całą przyszłością rozkoszy, chwały i miłości.

Jednakże, uwalniając się z trudem od tego gorącego uściśnienia, dobry kapłan powrócił do swej przechadzki i rozmyślań. Kaszlał często i potrzasał głową, a Cinq-Mars, nie śmiejąc rozpocząć nanowo rozmowy, wodził za nim oczyma i posmutniał, widząc go znów poważnym.

Starzec usiadł w końcu i zaczął stanowczym głosem przemowę następującą:

— Mój przyjacielu, moje dziecko, oddałem się po ojcowsku twoim nadziejom; muszę ci jednak powiedzieć, nie dlatego wcale, aby cię zasmucić, że wydają mi się one przesadnymi i mało naturalnymi. Gdyby kardynał miał na celu tylko złożyć świadectwo przywiązania i wdzięczności dla twojej rodziny, nie sięgałby tak daleko w swoich łaskach, ale prawdo-

podobnie zwrócił na ciebie uwagę. Według tego, co mu powiedziano, wydajesz mu się odpowiednim do odegrania takiej a takiej roli, niemożliwej do odgrywania, a której zakres oznaczył w najgłębszej skrytości swej myśli. Chce w nim ciebie wychować, wytresować, daruj mi to wyrażenie ze względu na jego słuszność i pomyśl o tem poważnie, gdy czas będzie potemu. Ale nic nie szkodzi, sądzę, że w podobnym stanie rzeczy uczynisz dobrze, korzystając z tego szczęścia; w taki sposób wielkie fortuny wzięły początek, chodzi tylko o to, aby się nie dać zaślepić i rządzić. Staraj się, aby cię łaski nie odurzyły, moje biedne dziecko, i aby wyniesienie nie zawróciło ci w głowie; nie bój się tego podejrzenia, to się wydarzyło starszym od ciebie. Pisz do mnie często, również jak do swej matki; zobacz się z imcipanem de Thou, a będziemy się starali dobrze ci radzić. Tymczasem, mój synu, bądź łaskaw zamknąć to okno, zkąd wiatr wieje mi na głowę, a opowiem ci, co się tu stało.

Henryk, spodziewając się, że strona moralna rozprawy została skończona i widząc w drugiej tylko opowieść, zamknął szybko stare okno, okryte pajęczynami, i milcząc, wrócił na swoje miejsce.

— Teraz, gdy mam się lepiej zastanowił, myślę, że może nie będzie dla ciebie nieużytecznem, iż wstąpię tu; smutne to dla ciebie doświadczenie, lecz ono uzupełni to, czego ci nie dopowiedziałem niegdyś o przewrotności ludzi; mam zresztą nadzieję, że koniec nie będzie krwawy i że list, któryśmy napisali do króla, będzie miał czas dojść.

— Słyszałem, że został przejęty — rzekł Cinq-Mars.

— Więc już po nim — powiedział ksiądz Quillet — proboszcz zgubiony. Ale posłuchaj mnie uważnie. Bogdajbym, moje dziecko, to nie ja był, twój dawny nauczyciel, co chce burzyć swoje własne dzieło i zadać cios twojej dobrej wierze. Zachowaj ją

zawsze i wszędzie, tę wiarę prostą, której twoja szlachetna rodzina dała ci przykład, której ojcowie nasi mieli więcej od nas samych, a której najwięksi wodzowie naszych czasów się nie wstydzieli. Nosząc swoją szpadę, pamiętaj, iż ona poświęcona jest Bogu. Ale także, gdy będziesz pośród ludzi, staraj się nie dać oszukać przez obłudnika; on cię ujmie, uderzając, synu mój, w słabą stronę twojego serca naiwnego, przemawiając do twego uczucia religijnego, a będąc świadkiem szaleństw jego żarliwości przesadzonej, będziesz się czuł przy nim oziębłym, będzie ci się zdawało, że twoje sumienie świadczy przeciw tobie samemu; lecz nie jego to głos będziesz słyszał. Jakiżby ono krzyk podniosło, jakże bardziej byłoby oburzone na ciebie, gdybyś się przyczynił do stracenia niewinności, wzywając przeciwko niej samo niebo na fałszywe świadectwo!

— O, mój ojcze! jestże to możliwe? — zapytał Henryk d'Effiat, składając ręce.

— Aż nadto prawdziwe — ciągnął ksiądz — widziałeś, co się tu działo dziś rano. Daj Boże, abyś nie był świadkiem większych okropności! Ale słuchaj dobrze: cokolwiek bądź zobaczysz, jakkolwiek bądź zbrodnię odważą się popełnić, zaklinam cię na matkę twoją i wszystko, co ci jest drogie, nie mów ani słowa, miej usta zamknięte i myśl ukrytą. Znam twój charakter gorący, odziedziczyłeś go po marszałku, swym ojcu; umiarkuj go, lub jesteś zgubiony; wszelka popędliwość daje mało zadowolenia, sprowadza natomiast wielkie klęski; widziałem cię nazbyt skłonny do uniesień; gdybyś ty wiedział, ile spokój daje wyższości nad ludźmi! Starożytni wyryli go na czoło bóstwa, jako najpiękniejszy jego symbol, gdyż obojętność na wszystko świadczyła o istocie, umieszczonej ponad naszymi obawami, naszymi nadziejami, naszymi ucieshami i naszymi cierpieniami. Pozostań więc również obojętnym na sceny, jakie będziesz widział, moje drogie dziecko; ale patrz na nie, to po-

trzebne; bądź obecny przy tem sądzeniu nieszczęsnem; co do mnie, doznam skutków mej głupoty uczniowskiej. Oto ona przekona cię, że z łysą głową można być jeszcze dzieckiem, jak przy twoich pięknych włosach ciemnych.

Tu książd Quillet ujął jego głowę w swoje obie ręce i tak ciągnął dalej:

— Tak, byłem ciekawy zobaczyć dyabła Urszulanek, jak każdy inny, mój drogi synu, a wiedząc, iż obiecywali mówić wszystkimi językami, popełniłem nieroztropność, że porzuciłem łacinę i zadałem im kilka pytań po grecku; przełożona jest bardzo ładna, lecz nie mogła odpowiedzieć w tym języku. Lekarz Duncan wyraził głośno swoje zdziwienie, że zły duch, który nie jest nieświadom niczego, popełnia barbarzyzny i solecymy, i nie może odpowiedzieć po grecku. Młoda przełożona, która leżała wtedy na swem paradnem łóżku, odwróciła się do ściany, aby płakać, i rzekła pociechu do ojca Barré: — Panie! nie wytrzymam dłużej! — Powtórzyłem to głośno i doprowadziłem do wściekłości egzorcystów; wykrzykiwali, że powinienem wiedzieć, iż są złe duchy głupsze od chłopów i powiedzieli, że o ich potędze i sile fizycznej nie możemy wątpić, ponieważ duchy, nazwane: Grad Tronów Aman potęgi i Asmodeusz, przyrzekły porwać biret imci pana de Laubardemont. Przygotowywały się do tego, gdy chirurg Duncan, człowiek uczony i prawy, ale dość szydreczy, ośmielił się pociągnąć za sznurek, który odkrył przywiązany do kolumny i przykryty obrazem świętym tak, że spadał, niewidziany, bardzo blisko referendarza; tym razem narzwaro go hugonotem i zdaje mi się, że gdyby marszałek de Brézé nie był jego orędownikiem, nie wyszedłby z tego cały. Imiępan hrabia du Lude zbliżył się wtedy ze zwykłą sobie zimną krwią i prosił egzorcystów, aby działali przy nim. Ojciec Lactance, ów kapucyn, którego twarz jest tak czarna, a wzrok tak surowy, zajął się siostrą Agnieszką i siostrą Kla-

ra; podniósł swe obie ręce, patrząc na nie, jakby waż patrzył na dwa gołębie, i zawołał strasznym głosem: — *Quis te misit Diabole?* — obie zaś dziewczyny odpowiedziały jak najzgodniej: *Urbanus*. Chciał mówić dalej, gdy imiępan du Lude, wyjmując, niby ze skruczą, złotą szkatułkę, powiedział, że trzyma w niej relikwię, pozostawioną przez swych przodków, i że nie wątpiąc o opętaniu, chciał ją wypróbować. Ojciec Lactance, zachwycony, porwał szkatułkę, ledwo zaś dotknął nią czoła dwóch dziewczyn, gdy te zaczęły robić skoki nadzwyczajne, wykrzywiając nogi i ręce; Lactance wrzeszczał swemi egzorcyzmami, Barré padł na kolana ze wszystkimi staremi kobietami, Mignon i sędziowie klaskali. Laubardemont, zupełnie spokojny, czynił znak krzyża świętego.

Gdy imiępan du Lude odebrał swą szkatułkę, zakonnice uspokoiły się.

— Nie lękam się — powiedział dumnie Lactance — abyście wąpili o prawdziwości swoich relikwii!

— Nie więcej, niż o prawdziwości opętania — odparł imiępan du Lude, otwierając swoją szkatułkę. Była ona próżna.

— Mości panowie, wy z nas kpicie — powiedział Lactance.

Byłem oburzony temi komedjami i rzekłem do niego:

— Tak, mospanie, jak wy dworujecie z Boga i ludzi. Dlatego to widzisz mnie, mój drogi przyjacielu, w siedmiomilowych butach, tak wielkich i ciężkich, i z długimi pistoletami za pasem; bo przyjaciel nasz Laubardemot kazał mnie aresztować.

— Ależ — zawołał Cinq-Mars — czyż on jest tak potężny?

— Więcej, niż o nim sądzą i niżby o nim można sądzić; wiem, że ksieni opętana jest jego sio-

strzenicą i że jest uppełnomocniony uchwałą rady nakazującej mu sądzić, nie czekając na żadne odwołania, wnoszone do parlamentu, któremu kardynał nie pozwala rozpoznawać sprawy Urbana Grandier.

— Lecz w końcu, jakież są jego winy?—zapytał młodzieniec już niezmiernie zaciekawiony.

— Winy duszy silnej i geniuszu wyższego: jego niezachwiana wola podrażniła potęgę przeciw niemu, a głęboka namiętność porwała jego serce i zmusiła go do popełnienia jedynego grzechu śmiertelnego, jaki, sądzę, może mu być wyrzucany, ale tylko naruszając tajemnicę jego papierów, wydzierając je, Joannie d'Estièvre, osiemdziesięcioletniej jego matce; dowiedziano się i rozgłoszono o jego miłości dla pięknej Magdaleny de Brou; ta młoda panna nie chciała iść za mąż i zapragnęła zostać zakonnicą. Obyż ów welon zakonny zasłonił jej widowisko dzisiejsze! Wymowa Urbana i jego piękność anielska zapalały często kobiety, które przybywały zdaleka, aby go usłyszeć; widziałem takie, co mdlały na jego kazaniach; inne wołały, że to anioł, dotykały jego sukni i całowały jego ręce, gdy schodził z ambony. To pewna, iż wyjawszы jego piękność, nie dorównywało wzniosłości jego kazań, zawsze natchnionych: czysty miód Ewangelii sączył się w jego ustach z płomieniem iskrzącem prorocत्व i odczuwano po dźwięku jego głosu serce pełne świątobliwej litości dla występków człowieka i brzemienne łzami, gotowemi spłynąć na nas.

Dobry kapłan zatrzymał się, bo sam miał łzy w głosie i oczach; jego twarz okragła i naturalnie wesółą była bardziej wzruszająca, niż samo opowiadanie, gdyż smutek, zdawało się, nie mógł jej dosięgnąć. Cinq-Mars, coraz bardziej wzruszony, uściśnął mu rękę, nie nie mówiąc, z obawy, aby mu nie przebrać. Książd wyciągnął chustkę czerwoną, otarł nią oczy, utarł sobie nos i mówił dalej:

— Ta przerażająca napaść wszystkich nieprzyjaciół Urbana jest wtórą; był on już oskarżony o czarowanie zakonnice i badany przez świątobliwych prałatów, sędziów oświeconych, lekarzy, uczonych, którzy go uniewinnili i wielce oburzeni, nakazali milczenie owym złym duchom wyrobu ludzkiego. Dobry i pobożny arcybiskup z Bordeaux poprzestał na wybraniu przez siebie samego egzaminatorów dla mniemanych egzorcyстів, a jego rozkaz zmusił do ucieczki owych proroków i do milczenia ich piekło. Lecz upokorzeni przez jawność rozpraw, zawstyżeni, widząc, że Grandier został dobrze przyjęty od naszego dobrego króla, gdy rzucił się do jego stóp w Paryżu, zrozumieli, że gdyby on tryumfował, oni byliby zgubieni i uważani za oszustów; już klasztor Urszulanek zdawał się jeno teatrem niegodnych komedyj, zakonnice aktorkami bezwstydnymi; przeszło sto osób rozjątrzonych przeciwko proboszczowi, skompromitowało się w nadziei, że go zgubią; ich sprzysiężenie, dalekie od rozwiązania, odzyskało siły po pierwszym niepowodzeniu; oto środki, użyte przez nieubłaganych jego nieprzyjaciół.

Czy znasz człowieka, przezwanego Szarą Eminencją, tego strasznego kapucyna, którego kardynał używa do wszystkiego, radzi się często i którym gardzi zawsze? Do niego to zwrócili się kapucyni z Londunu. Jedna kobieta tego kroju i z gminu, nazwiskiem Hamona, miała szczęście podobać się królowej, gdy ta przejeżdżała przez ów kraj, i została przez nią przyjęta do służby. Wiesz, jaka nienawisć rozdziela jej dwór i kardynała, wiesz, iż Anna Austriacka i imię pan de Richelieu współubiegali się o względy króla i że Francya nie wiedziała nigdy wieczorem, które z tych dwojga słońce świecić będzie nazajutrz. W chwili zaćmienia kardynała ukazała się satyra, pochodząca z systematu planetarnego królowej; miała ona za nagłówek „Szewcowa królowej-matki”; była podle napisana i wyrażona, lecz zawierała rze-

czy tak obelżywe o urodzeniu i osobie kardynała, że nieprzyjaciele tego ministra pochwycili ów świstek i zjednali mu rozgłos, który go drażnił.

Odsłaniano w nim podobno wiele intryg i tajemnic, uważanych przezeń za niedocieczone; czytał on to dzieło bezimienne i chciał dowiedzieć się o jego twórcy. Było to w tym samym czasie, gdy Kapucyni tego małego miasta napisali do ojca Józefa, że korespondencya nieustanna między Urbanem a Hamoną nie pozostawia im żadnej wątpliwości, iż on jest twórcą tego złośliwego świstka. Napróżno ogłosił był poprzednio książki religijne z modlitwami i rozmyślaniami, których styl sam powinien go uwolnić od oskarżenia, jakoby przyłożył rękę do paszkwilu, napisanego w języku jarmarcznym; kardynał, oddawna uprzedzony przeciw Urbanowi, chciał tylko widzieć w nim winnego; przypomniał mu, że kiedy jeszcze był je-no przeorem w Cousay, Grandier walczył z nim o pierwszeństwo, otrzymał je nawet przed nim; omylę się bardzo, jeśli to pierwszeństwo nie zaprowadzi go do grobu...

Smutny uśmiech towarzyszył temu słowu na ustach dobrego księdza.

— Co? sądzicie, że zato skażą go na śmierć?

— Tak, moje dziecko, na śmierć; zabrano już wszystkie akty i wyroki, uwalniające oskarżonego i mogące służyć mu za obronę, mimo oporu jego biednej matki, która je przechowywała jako glejt, dany jej synowi; ze szczególnem upodobaniem odczytywano jedno dzieło przeciwko celibatowi kapłanów, znalezione w jego papierach, jako przeznaczone do rozpowszechniania schizmy. Jest ono bardzo występne bez wątpienia, a miłość, która je poddała, jakkolwiek mogła być czysta, jest błędem ogromnym w człowieku, poświęconym Bogu samemu; lecz ten biedny kapłan był daleki od chęci podtrzymywania herezy i napisał je podobno, aby uspokoić wyrzuty sumienia panny de

Brou. Wiedzano doskonale, że te winy prawdziwe nie wystarczą, aby go skazać na śmierć, wyciągnięto więc oskarżenie o czarnoksiężstwo, uśpione oddawna, a kardynał, udając, jakoby w to wierzył, ustanowił w tem mieście nowy trybunał i w końcu postawił na jego czele Laubardemonta; to znak śmierci. Ach, daj Boże, abyś nie poznał nigdy, co zepsucie rządów nazywa zamachem stanu.

W tej chwili krzyk straszliwy rozległ się z po-za małego muru dziedzińca; ksiądz przerażony wstał, Cinq-Mars uczynił to samo.

— To krzyk kobiecy—powiedział starzec.

— Jakże rozdzierający! — rzekł młodzieniec. — Cóż to jest?—zawołał do swych ludzi, którzy wybiegli na dziedziniec.

Odpowiedzieli, że nie słysząc nic więcej.

— To dobrze, to dobrze!—zawołał ksiądz—nie róbcie już hałasu.

Zamknął okno i położył obie ręce na swych oczach.

— Ach, co za krzyk, moje dziecko!—powiedział, a był bardzo błydy—co za krzyk! przeszył mi duszę; to jakieś nieszczęście. Ach, mój Boże! pomieszał mi zmysły, nie mogę już mówić do ciebie. Trzebaż było, abym go usłyszał, gdy mówiłem o twojej przyszości! Moje drogie dziecko, niech Bóg cię błogosławi! Ukłękni.

Cinq-Mars upadł na kolana i po chwili uczuł pocałunek na swych włosach: to starzec go błogosławił.

— Teraz śpiesz, mój przyjacielu, godzina się zbliża; mogliby znaleźć cię ze mną, jedź; zostaw swych ludzi i konie tu; owiń się w płaszcz i jedź. Mam dużo do pisania, zanim ciemność pozwoli mi udać się w drogę do Włoch.

Uściskali się po raz wtóry, przyrzekając do siebie pisać. Henryk się oddalił. Ksiądz, ścigając go jeszcze oczyma przez okno, zawołał:

— Bądź bardzo roztropny, cokolwiek się zdarzy — i posłał mu jeszcze raz swe błogosławieństwo ojcowskie, mówiąc:—Biedne dziecko!

ROZDZIAŁ IV.

P R O C E S.

Ohi vendeta di Dio, quanto tu dei
Esser temuta da ciascun che legge
Gio, che fu manifesto agli occhi miei!
Dante.

O, pomsto Boża, jakże ty musisz
być straszną dla tego, ktokolwiek prze-
czyta to, co się objawiło moim oczom!

Pomimo odbywania posiedzeń tajnych, mających wówczas moc obowiązującą z woli Richelieu'go, sędziowie proboszcza z Loudunu chcieli, aby sala była otwarta dla ludu i wkrótce zaczęli tego żałować. Lecz zrazu sądzili, że dość zaimponowali tłumowi swemi kuglarstwami, trwającemi około sześciu miesięcy; brali oni wszyscy udział w zgubie Urbana Grandier, ale pragnęli, aby oburzenie kraju poniekąd uszczęśliwiło przygotowywany wyrok śmierci, który mieli rozkaz wykonać, jak powiedział dobry kapłan swojemu uczniowi.

Laubardemont był to rodzaj ptaka drapieżnego, którego kardynał posyłał zawsze, gdy jego zemsta potrzebowała agenta pewnego i szybkiego i przy tej sposobności usprawiedliwił wybór, uczyniony ze swej

osoby. Popęłnił tylko jeden błąd, zezwalając na posiedzenie publiczne, wbrew zwyczajowi; miał zamiar onieśmielić i przerazić; przeraził, ale wywołał zgrozę.

Tłum, który zostawiliśmy u bramy, przestał tam dwie godziny, podczas gdy głuchy łoskot młotów zwiastował, że kończono wewnątrz wielkiej sali nieznane i naprędce czynione przygotowania. Łucznicy poruszyli z trudem na zawiasach ciężkie wrota od ulicy, a lud chętnie rzucił się ku nim.

Młody Cinq-Mars został wtłoczony do wnętrza razem z ciżbą i stanął za filarem bardzo ciężkim tego budynku, aby widzieć, nie będąc widzianym. Zauważył z przykrością, że czarna grupa mieszczan była blisko niego; lecz gdy wrota zamknięto, całą tę część sali, gdzie się lud znajdował, ogarnęły takie ciemności, że nie można go było poznać. Chociaż to było dopiero południe, pochodnie oświetlały salę, ale zostały wszystkie prawie umieszczone na krańcu, gdzie się wznosiła estrada sędziów, siedzących rzędem za stołem bardzo długim; fotele, stoły, stopnie, wszystko było przykryte czarnem suknem i rzucało na twarze sine odbłaski. Ławka, przeznaczona dla oskarżonego, stała z lewej strony, a na okrywającym ją kirze wyhaftowane były złote płomienie, wyrażające powód oskarżenia. Grandier siedział na niej, otoczony przez łuczników, z rękoma związanymi na łańcuch, które dwaj mnisi trzymali z udanym strachem, odskakując na bok za najmniejszym jego poruszeniem, jakby trzymali na smyczy tygrysa lub wilka wściekłego, albo jakby płomień miał uchwycić się ich sukni. Starali się także pilnie, aby lud nie mógł widzieć jego oblicza.

Imci pan de la Laubardemont, dziwnie obojętny, zdawał się panować nad sędziami swego wyboru; wyższy prawie o całą głowę, zajmował najwyższe miejsce za stołem, każde jego spojrzenie przyćmione i niespokojne było dla nich rozkazem. Ubrany w długą i szeroką suknię czerwoną, siedział w czarnym bire-

cie na głowie, zajęty porządkowaniem papierów. które kazał wręczać sędziom, ci zaś podawali je sobie z rąk do rąk. Oskarżyciele, wszyscy duchowni, zasiadali po prawicy sędziów, przyodziani w alby i stule; odróżniano ojca Lactance'a po prostocie jego habitu kapucyńskiego, po jego tonsurze i po ostrości jego rysów. W jednej trybunie był ukryty biskup z Poitiers; inne trybuny pełne były zastawionych kobiet. U stóp sędziów ohydny tłum kobiet i mężczyzn z motłochu miotał się po za sześciu młodem zakonnicami, Urszulankami, budząc w nich widoczną odrazę; byli to świadkowie.

Resztę sali zapełniał tłum niezmierny, ponury, milczący, zawieszony u gzymsów, wrót i belek i przejęty lękiem, udzielającym się nawet sędziom, bo to osłupienie pochodziło ze współczucia ludu dla oskarżonego. Oddział łuczników, uzbrojonych w długie piki, okalał ten posępny obraz w sposób godny tej dzikiej tłuszczy.

Na znak przewodniczącego usunięto świadków, którym woźny otworzył wazkie drzwiczki. Zauważono, że przełożona Urszulanek, przechodząc koło imci pana de Laubardemont, rzekła dosyć głośno:

— Oszukaliście mnie, panowie!

Pozostał obojętny; przełożona wyszła.

Głębokie milczenie zapanowała nad zgromadzeniem.

Podnosząc się z powagą, lecz z widocznym pomieszaniem, jeden z sędziów, nazwiskiem Houmain, namiestnik kryminalny z Orleanu, odczytał rodzaj aktu oskarżenia głosem bardzo cichym i tak ochryplym, że nie można było zrozumieć ani słowa. Mówił tylko wtedy wyraźnie, gdy to, co miał do powiedzenia, powinno było oddziaływać na umysł ludu. Podzielił dowody na dwa rodzaje: jedne, wypływające z postanowień siedemdziesięciu dwóch świadków; drugie, i to najpewniejsze, z egzorcyzmów wielebnych ojców tu obecnych, zawołał, czyniąc znak krzyża.

Ojcowie: Lactance, Barré i Mignon ukłonili się głęboko, powtarzając także ów znak święty.

— Tuk, mości panowie!—powiedział, zwracając się do sędziów—uznano i złożono przed wami ten bukiet z róż białych i ten rękopis, podpisany krwią czarnoksiężnika, odpis paktu, który zawarł z Lucyferem i który zmuszony był nosić na sobie, aby zachować swą potęgę. Czyta się jeszcze z przerażeniem te słowa, pisane u spodu pergaminu: „Dan w piekle, w gabinecie Lucyfera.”

Wybuch śmiechu, zdający się wychodzić z silnej piersi, rozległ się w tłumie. Przewodniczący zaczerwienił się i dał znak łucznikom; lecz napróżno szukano wicherzyciela. Sprawozdawca ciągnął dalej:

— Złe duchy zostały zmuszone do wyjawienia swych imion przez usta swoich ofiar. Te imiona oraz ich czyny są wykonane w tym spisie, nazywają się oni: Astaroth, z zakonu Serafinów; Easas, Celsus, Acaos, Cédron, Asmodeusz, z zakonu Tronu; Alex, Zabulon, Cham, Urjel, Achas i t. d., gdyż liczba ich jest nieskończona. Co do ich czynów, któż z nas nie był onych świadkiem?

Długie szemranie wyszło ze zgromadzenia; nakazano milczenie, kilka halabard groźnie się wysunęło i wszystkie ucichło.

— Widzieliśmy z boleścią młodą i czcigodną przełożoną Urszulanek, jak rozdierała swe łono własnymi rękoma i tarzała się w pyłe; inne siostry, Agnieszkę, Klarę i t. d., jak zapominały o skromności płci swojej, czyniąc ruchy szalone i śmiejąc się nieumiarkowanie. Gdy bezbożni nie wierzyli w obecność złych duchów i kiedyśmy sami czuli, że przekonanie nasze jest zachwiane, ponieważ nie chciały tłumaczyć się przed nieznanymi bądź po grecku, bądź po arabsku, wielelni ojcowie pokrzepili nas przez łaskawe wyjaśnienie, że ze względu na nadzwyczajną złośliwość złych duchów, nie było zadziwiającem, iż udawały tę nieświadomość, aby mniej były dręczone py-

taniami; że popełniały nawet w swych odpowiedziach barbaryzmy, tołeczmy i inne omyłki, aby niemi pogardzano i aby przez wzgardę świątobliwości doktorzy zostawili je w spokoju, że dalej nienawiść ich była tak silna, iż, mając zamiar zrobić jedną ze swych zadziwiających sztuczek, zawiesiły sznur u pułapu, aby dać powód do oskarżenia osób tak czcigodnych, gdy tymczasem zostało stwierdzone pod przysięgą przez osoby godne poszanowania, że nigdy nie było sznura w tem miejscu.

Ale, mości panowie, podczas kiedy niebo tłómaczyło się tak cudownie przez swych świątobliwych wykładowców, inne światło ujrzeliśmy niebawem: w tej samej chwili, gdy sędziowie byli pogrążeni w swych głębokich rozmyślaniach, wielki krzyk został usłyszany w pobliżu sali posiedzeń; po zejściu na miejsce wypadku znaleźliśmy ciało młodej panienki wysokiego rodu; dopiero co wydała ostatnie tchnienie na otwartej drodze, na rękach wielebnego ojca Mignon, kanonika; dowiedzieliśmy się od tego samego ojca, tu obecnego, i od wielu innych poważnych osób, że podejrzewając tę dziewczeczkę, iż jest opętana z powodu pogłoski, jaka się była oddawna rozeszła, o uwielbieniu Urbana Grandier dla niej, miał szczęśliwą myśl, aby ją wybać i rzekł do niej nagle, podchodząc: „Grandier został skazany na śmierć;” na co ona wydała tylko jeden wielki krzyk i padła martwa, pozbawiona przez złego ducha czasu niezbędnego dla otrzymania pomocy naszej świętej matki Kościoła katolickiego.

Szmer oburzenia podniósł się w tłumie, w którym wyraz „morderca” został wymówiony; woźni nakazali głośno milczenie, lecz sprawozdawca przywrócił je sam, zabierając głos znów, albo raczej ciekawość ogólna triumfowała.

— Rzecz haniebna, mości panowie! — ciągnął, usiłując wzmocnić się przez wykrzykniki.—Znaleziono przy niej to dzieło, pisane ręką Urbana Grandier.

I wyciągnął ze swych papierów książkę oprawną w pergamin.

— Boże! — zawołał Urban ze swej ławki.

— Strzeżcie się! — wykrzyknęli sędziowie do łuczników, którzy go otaczali.

— Zły duch niewątpliwie zacznie się objawiać — powiedział ojciec Lactance głosem złowrogim — ścisnijcie jego więzy.

Spełniono rozkaz.

Namiestnik kryminalny ciągnął:

— Nazywała się ona Magdalena de Brou, miała lat dziewiętnaście.

— Boże! Boże! tego zawiele! — zawołał oskarżony, padając zemdlony na podłogę.

Zgromadzenie poruszyło się, mając zdania podzielone, była chwila zamieszania.

— Nieszczęsny! on ją kochał — mówili niektórzy.

— Panienska taka dobra! — mówiły kobiety.

Litość zaczęła brać górę. Polano wodą zimną Urbana, nie wyprowadzając go, i przywiązano do ławki. Sprawozdawca ciągnął:

— Nakazano nam odczytać początek tej książki w sądzie.

I czytał co następuje:

„Dla ciebie to, słodka i piękna Magdaleno, aby uspokoić twoje sumienie zaniepokojone, odmalowałem w książce tylko jedną myśl mojej duszy. Wszystkie one należą do ciebie, córko boża, gdyż wracają do ciebie, jako do celu całego mego istnienia; ale ta myśl, którą tobie posyłam, jak kwiat, pochodzi od ciebie, istnieje tylko przez ciebie, i wraca do ciebie samej.

„Nie bądź smutna dlatego, że mnie kochasz; nie bądź zasmucona dlatego, że cię uwielbiam. Cóż robią anieli z nieba? a duszom błogosławionych cóż było obiecano? Czyż jesteśmy mniej czyści od aniołów? czyż nasze dusze są mniej oderwane od ziemi,

niż po śmierci? O Magdaleno! cóż jest w nas, czemu by się Pan zgorszył? Czy to, kiedy modlimy się razem i dotykając czołem pyłu przed Jego ołtarzami, pożądamy blizkiej śmierci, któraby nas zaścięła pośród młodości i miłości? Czy to, gdy marząc sami pod drzewami grobowemi cmentarza, szukaliśmy podwójnej mogiły, uśmiechając się do naszej śmierci, a płacząc nad naszym życiem? Byłoby to, kiedy przychodzisz klęknąć przedemną samym w trybunale pokuty, i gdy mówiąc w obliczu Boga, nie możesz nic znaleźć złego, aby mi wyjawić, tak dalece podtrzymałem twoją duszę w czystych sferach nieba? Kto mógłby więc obrazić naszego Stwórcę? Może, tak, może tylko wierzę temu, jaki duch z nieba mógłby mi zazdrościć mego szczęścia, gdy w dzień Wielkanocny widziałem cię padającą na twarz przedemną, oczyszczoną przez umartwienia z odrobiny skalania, jakie mogła była zostawić na tobie plama grzechu pierworodnego. Jakże byłeś piękna! twój wzrok szukał twego Boga w niebie, a moja ręka przyniosła Go na twe czyste usta, których nigdy warga ludzka nie śmiała dotknąć. Istoto anielska, ja jeden dzieliłem tajemnice Pana, albo raczej jedyną tajemnicę czystości twojej duszy; ja cię łączyłem z twym Stwórcą, który zstępował także na moje łono. Związku niewysłowionego, którego Przedwieczny był sam kapłanem, ty byłeś jeden dozwolony między Najświętszą Panną a Pasterzem; jedyną rozkoszą każdego z nas było widzieć, jak wieczność szczęścia zaczyna się dla innego, i oddychać razem zapachami niebiańskimi, słuchać już tej zgody i być pewnymi, że nasze dusze, odświeżone Bogu samemu i nam, były godne uwielbiać go razem.

„Jakaż wątpliwość ciąży jeszcze na twojej duszy, o, moja sestro? Czy nie sądzisz, iż oddałem cześć zbyt wielką twojej enocie? Czy się obawiasz, aby tak czyste uwielbienie nie odwróciło mnie od uwielbiania Boga?...”

Ledwo Houmain odczytał te słowa, gdy drzwi, któremi byli wyszli świadkowie, otworzyły się nagle. Sędziowie, zaniepokojeni, zaczęli coś mówić sobie do ucha. Laubardemont, niepewny, dał znak ojcom, że chce wiedzieć, czy to jaka scena wykonana z ich rozkazu; lecz umieszczeni w pewnej odległości od niego i zdziwieni sami, nie mogli mu dać do zrozumienia, że to nie oni wcale przygotowali tę przerwę. Zresztą, zanim ich spojrzenia zostały zamienione, ujrano, ku wielkiemu zdumieniu zgromadzenia, trzy kobiety w koszuli, z nogami bosemi, ze sznurem na szyi, z gromnicą w ręku, zbliżające się na środek estrady. Była to przełożona, za którą szły siostry Agnieszka i Klara. Obiedwie płakały; przełożona była bardzo blada, lecz jej postawa była pewna, a jej oczy nieruchome i śmiałe; uklękła, obie siostry ją naśladowały; wszyscy byli tak zmieszani, że nikt nie myślał jej zatrzymać, gdy głosem czystym i stanowczym wymówiła te słowa, co się rozległy po wszystkich zakątkach kraju.

— W imię Trójcy Przenajświętszej, ja, Joanna de Belfiel, córka barona de Cose, ja, niegodna przełożona klasztoru Urszulanek w Loudunie, proszę o przebaczenie Boga i ludzi za zbrodnię, którą popełniłam oskarżając niewinnego Urbana Grandier. Moje opętanie było udane, moje słowa wypowiedziane, wyrzut sumienia mnie dręczy...

— Brawo! — wykrzyknęły trybuny i lud, klaszcząc rękami.

Sędziowie się podnieśli, łucznicy, niepewni, spojrzeli na przewodniczącego; drżał na całym ciele, lecz pozostał nieruchomy.

— Proszę o ciszę! — rzekł cierpkim głosem — łucznicy, pełnijcie waszą powinność.

Ten człowiek czuł się podtrzymany ręką tak potężną, że nic go nie przerażało, bo myśl o Bogu nie przyszła mu nigdy do głowy.

— Moi ojcowie, co sądzicie? — powiedział, dając znak mnihom.

— Że zły duch chce ocalić swego przyjaciela... *Obmutesce, Satanas!* — zawołał ojciec Lactance okropnym głosem, jakby egzorcyzmował jeszcze przełożoną.

Nigdy ogień przyłożony do prochu nie wywołał skutku szybszego, niż ten, tem jednym słowem. Joanna de Belfiel podniosła się nagle, stanęła w całej swej piękności lat dwudziestu, którą straszliwa jej nagość powiększała jeszcze, rzecby można, że to dusza wymknęła się z piekła i ukazała swojemu kusicielowi; powiodła swymi czarnymi oczyma po mniachach; Lactance spuścił oczy; zrobiła dwa kroki ku niemu, a bosa jej noga wywołała głuchy odgłos w rusztowaniu; gromnica zdawała się w jej ręku mieczem anioła.

— Milcz, oszuście! — powiedziała z energią — zły duch, co mnie opętał, to ty! Oszukałeś mnie, on nie miał być sądzony; od dziś dopiero wiem, że jest inaczej; od dzisiejszego dnia przewiduję jego śmierć; będę mówiła.

— Kobieto, zły duch wprowadza cię w błąd!

— Powiedz, że mnie żal oświeca; dziewczęta, jak ja nieszczęśliwe, wstańcie; czyż on nie jest niewinny?

— Przysięgamy na to! — odparły, klęcząc jeszcze, dwie młode siostry, ale rozpluwając się we łzach, gdyż nie były ożywione postanowieniem tak silnem, jak przełożona. Nawet Agnieszka, ledwie wypowiedziała to słowo, zaraz, zwracając się w stronę ludu, zawołała:

— Ratujcie mnie, oni mnie ukarzą, oni mnie uśmiercą!

I pociągając swą towarzyszkę, rzuciła się pomiędzy tłum, który je przyjął łaskawie; tysiąc głosów przysięgło im opiekę, podniosły się złorzeczenia, mężczyźni miotali swymi kijami o ziemię; nie śmiano

przeszkodzić ludowi w podawaniu ich sobie z rąk do rąk aż na ulicę.

Podczas tej nowej sceny, sędziowie wprawieni w osłupienie, szeptali, Laubardemant patrzył na łuczników, zalecając im baczność; często wskazywał palcem czarną grupę. Oskarżyciele spoglądali na trybunę biskupa z Poitiers, lecz nie znaleźli żadnego wyrazu na jego twarzy odrętwiałej. Był to jeden z tych starców, którzy umierają na dziesięć lat przed ustaniem wszelkiego w nich ruchu; jego wzrok zdawał się zamglony pół-snem; jego usta rozwarłe przeżuwały jakieś wyrazy nieokreślone i zwykłe miłości ojcowskiej, nie mające żadnego znaczenia; pozostało mu dosyć pojęcia o rzeczy, aby odróżnić najsilniejszego z pomiędzy ludzi i być mu posłusznym, nie zastanawiając się nawet za jaką cenę. Podpisał tedy wyrok doktorów z Sorbony, orzekający opętanie zakonnic, nie domyślając się jednak, że następstwem tego będzie śmierć Urbana; reszta wydawała mu się jednym z tych obrządków mniej więcej długich, na które nie zwracał żadnej uwagi, przyzwyczajony na nie patrzeć i żyć pośród ich wspaniałości, będąc nawet ich częścią i sprzętem nieodzownym. Nie dał więc żadnego znaku życia przy tej sposobności, lecz zachował tylko postawę skończenie szlachetną i nie nie znaczącą.

Tymczasem ojciec Lactance, przyszedłszy po chwili do siebie, zwrócił się do przewodniczącego i rzekł:

— Oto prawdziwie zesłany nam z nieba wyraźny dowód opętania, gdyż nigdy jejmość pani przełożona nie zapomniiała o skromności i surowości swego zakonu.

— Czemuż cały świat nie jest tu, aby mnie widzieć! — zawołała Joanna de Belfiel, zawsze również stanowcza. — Nie mogę być więcej upokorzona na ziemi, a niebo mnie odtrąci, gdyż byłam twoją spółniczką.

Pot wystąpił na czoło Laubardemonta. Jednakże usiłując przyjść do siebie, rzekł:

— Co za baśń niedorzeczna! i kto cię do tego zmusił, moja siostrzo?

Głos młodej dziewczyny stał się grobowym, skupiła wszystkie siły, oparła rękę na sercu, jakby chciała je wyrwać, i patrząc na Urbana Grandier, odpowiedziała:

— Miłość!

Dreszcz przeszedł zgromadzenie; Urban, który od swego zemdenia pozostał był z głową pochyloną i jak nieżywy, podniósł wolno swe oczy na nią i wrócił zupełnie do życia, aby podległ nowej boleści.

Młoda pokutnica ciągnęła dalej:

— Tak, miłość, którą on odepchnął, której nie poznał nigdy w całości, którą oddychałam w jego mowach, którą oczy moje czerpały w jego spojrzeniach niebiańskich, którą jego rady nawet spotęgowały. Tak, Urban jest czysty, jak anioł, ale dobry, jak człowiek, który kochał; nie wiedziałam, że kochał! To wy! — rzekła wtedy gwałtowniej, wskazując Lactance'a, Barrégo i Mignona, i przechodząc od namietności do oburzenia — to wy powiedzieliście mi, że on kocha, wy pomściliście mnie zbyt okrutnie, zabijając moją rywalkę jednym wyrazem! Niestety! chciałam ich tylko rozłączyć. Była to zbrodnia; lecz jestem Włoszką przez moją matkę; pragnęłam gorąco, byłam zazdrosna; wy pozwalaliście mi widywać Urbana, uważać go za przyjaciela i rozmawiać z nim codzień...

Umilkła, potem zawołała:

— Ludzie, on jest niewinny! Męczenniku, przebac mi! całuję twoje nogi!

I padła do stóp Urbana, zalewając się łzami.

Urban wzniósł związane silnie ręce i, udziela-

jąc jej swego błogosławieństwa, rzekł głosem słodkim, ale słabym:

— Idź, moja siostró, przebaczam ci w imię Tego, którego ujrzę wkrótce; powiedziałem ci kiedyś i widzisz to teraz, namiętności robią wiele złego, gdy się nie usiłuje zwrócić ich ku niebu!

Rumieniec wystąpił po raz drugi na twarz Laubardemonta.

— Nieszczęsny! — zawołał — ty wymawiasz słowa Kościoła.

— Nie porzuciłem jego łona! — powiedział Urban.

— Niech uprowadzą tę dziewczynę! — rzekł przewodniczący.

Kiedy łucznicy chcieli wypełnić rozkaz, spostrzegli, że z taką siłą zacisnęła sznur na swojej szyi, iż stała się czerwona i była prawie bez życia. Trwoga zmusiła wszystkie kobiety do opuszczenia zgromadzenia, wyniesiono wiele zemdlonych; ale sala nie mniej była pełna, rzędy się ścieśniły, a lud z ulicy wtargnął do wnętrza.

Sędziowie przerażeni wstali, przewodniczący kazał opróżnić salę; lud jednak, nakrywając głowy, stał w przerażającej nieruchomości; łucznicy nie byli już dość liczni, trzeba było ustąpić; Laubardemont zmieszczonym głosem oświadczył, że rada oddała się na pół godziny. Zawiesił posiedzenie; publiczność, ponura, pozostała.

ROZDZIAŁ V.

MĘCZENNIK.

Tortura zapytuje, a ból odpowiada.
Templaryusze.

Spółczucie dla bohatera tego pół-procesu, czynione przygotowania i przerwy, wszystko trzymało umysł ogólny na takim stopniu uwagi, że żadna poszczególne rozmowa nie mogła się zawiązać. Jakieś krzyki zostały podniesione, ale jednocześnie tak, iż żaden widz nie mógł się domyśleć, jakie były wrażenia jego sąsiada, ani usiłował nawet odgadnąć lub podzielić się swojami. Jednakże, gdy publiczność została pozostawiona sama sobie, nastąpił jakby wybuch słów hałaśliwych. Odróżniano wiele głosów w tym zamęcie, panujących nad hałasem ogólnym, jak głos trąb panuje nad basetlą, grającą nieustannie w orkiestrze.

Było jeszcze w owej epoce dość prostoty pierwotnej w ludziach z ludu, aby przekonywały ich tajemnicze baśnie agentów, którzy nad tem pracowali, tak dalece, iż nie śmiano wydać sądu według rzeczywistości, i większość oczekiwała ze strachem powrotu

sędziów, mówiąc sobie półgłosem te słowa, wypowiedziane z pewną miną tajemniczą i znaczącą, co jest zwykle cechą lekliwej głupoty:

— Nie wiadomo, co o tem sądzić, mosanie!

— Doprawdy, mości panie, oto się dzieją nadzwyczajne rzeczy!

— Żyjemy w czasie bardzo osobliwym.

— Byłbym się domyślił jednej części tego wszystkiego, ale, dalibóg, nie byłbym wypowiedział, i nie uczynię tego jeszcze!

— Kto dożyje, ten zobaczy i t. d.

Rozmowy głupie tłumu, służące tylko za wskazówkę, iż ten odda się pierwszemu, co go silnie pochwyci. To była basetla, grająca nieustannie; lecz od strony grupy czarnej słyszano co innego:

— Czyż pozwolimy, aby tak postępowano sobie z nami? Co! posunąć śmiałość aż do spalenia naszego listu do króla! Gdyby król o tem wiedział!—Barbarzyńcy! oszucili z jaką zręcznością został uknuty ich spisek! czyż mord spełni się przed naszymi oczami? będziemy się lękali tych łuczników? Nie, nie, nie.—To były trąby i najwyższy ton tej hałaśliwej orkiestry.

Zauważono młodego obrońcę, jak wszedłszy na ławkę, porwał na tysiąc kawałków zeszyt papieru, poczem, podnosząc głos, zawołał:

— Tak, rwę i rzucam na wiatr obronę, którą był przygotował dla oskarżonego; zniesiono rozprawę, nie pozwolono mi mówić za nim; mogę jeno mówić do ciebie, narodzie, i winszuję sobie tego; widzieliście tych sędziów bezecznych: któryż z nich może jeszcze słyszeć prawdę? który jest godzien wysłuchać człowieka uczciwego? który będzie śmiał wytrzymać jego spojrzenie? Co mówię? oni ją znają w całości tę prawdę, noszą ją w swoim łonie występem; ona trawi ich serce jak wąż; oni drżą w swych jaskiniach, gdzie pozerają bezwątowania swoją ofiarę; drżą, bo słyszeli

krzyki trzech kobiet oszukanych. Ah! cóż miałem uczynić? miałem mówić w obronie Urbana Grandier! Jakaż wymowa dorównałaby wymowie tych nieszczęśliwych? jakież słowa dałyby wam lepiej widzieć jego niewinność? Niebo stanęło w jego obronie, przywołując je do żalu za grzechy i do poświęcenia, niebo dokona swego dzieła.

— *Vade retro Satanas!*—wymówiły głosy, dające się słyszeć przez okno dosyć wzniesione.

Fourier na chwilę umilkł:

— Czy słyszycie—rzekł znów—te głosy, parodyujące mowę boską? Myle się bardzo, lub te narzędzia mocy piekielnej przygotowują w tym śpiewie jakieś nowe złodziejstwo.

— Więc — zawołali wszyscy ci, którzy go otaczali — prowadź nas, zobaczmy, co oni z nim zrobili?

— Zostańcie tu, stójcie spokojnie, bądźcie cicho—odparł młody obrońca—bezwładność narodu jest wszechpotężna, w tem jest jego mądrość, na tem polega jego siła. Patrzcie w milczeniu, a będą drżeli.

— Nie będą śmieli bezwątowania znów się ukazać—rzekł hrabia de Lude.

— Chciałbym bardzo raz jeszcze zobaczyć tego wielkiego łajdaka czerwonego—powiedział Grand-Ferré, zwracający baczną uwagę na wszystko, co się wkoło niego działo.

— I tego dobrego jegomości proboszcza — mruknął stary ojciec Wilhelm Leroux, poglądając z dumą ojcowską na swoich synów, którzy mówili do siebie pociechu, mierząc i licząc łuczników. Dworowali sobie nawet z ich stroju i zaczęli wytykać ich palcami.

Cinq Mars, wsparty o filar, za którym stanął owinięty w czarny swój płaszcz, pożerał oczyma wszystko, co się działo, nie tracąc ani słowa z tego, co mówiono i napełniał serce swoje żółcią i gory-

czą; gwałtowne pragnienia krwi i zemsty, nieokreślona żądza bicia, ogarniały go mimowolnie; to pierwsze wrażenie, wywołane przez zło na duszy młodzieńca; później smutek zastępuje gniew; potem następuje obojętność i pogarda; jeszcze później wyrachowany zachwyt dla wielkich złoczyńców, którym się powiodło; ale to wtedy, gdy z dwóch pierwiastków człowieka błoto przeważa w nim nad duszą.

Tymczasem, z prawej strony sali i w pobliżu estrady, wzniesionej dla sędziów, grupa kobiet zdawała się bardzo zajęta ośmioletnim dzieckiem, co się odważyło wejść na gzyms za pomocą ramion swej siostry Marcyanny, z której, jak widzieliśmy, drwił do najwyższego stopnia młody żołnierz Grand-Ferré. To dziecko, nie mając już na co patrzeć po wyjściu trybunału, podniosło się za pomocą nóg i rąk, aż do małego okienka w dachu, przepuszczającego bardzo słabe światło, spodziewając się tam znaleźć gniazdo jaśkółek lub jaki inny skarb dla siebie; lecz gdy stanęło dobrze obiema nóżkami na gzymsie muru i uchwyciło się rączkami drążka starożytnego relikwiarza świętego Hieronima, chciało naraz uciec daleko i krzyknęło:

— Oh! moja siostró, moja siostró, daj mi rękę, abym mógł zejść!

— Cóż ty tam widzisz?—zapytała Marcyanna.

— Oh! nie śmiem tego powiedzieć, ale chcę zejść.—I zaczęło płakać.

— Zostań, zostań—zawoływały wszystkie kobiety—zostań, moje dziecko, nie bój się i powiedz nam, co widzisz.

— Dobrze; położono proboszcza między dwie deski wielkie, ściskając mu nogi; wokoło desek zakładają sznury.

— Ah! to tortura—powiedział jakiś mieszczanin. — Patrz dobrze, mój przyjacielu, co widzisz jeszcze?

Dziecko, uspokojone, nachyliło się do okienka z większą ufnością; po chwili, cofając głowę, odparło:

— Nie widzę już proboszcza, bo wszyscy sędziowie stoją dokoła niego i patrzą, a ich obszerne suknie zasłaniają go niemal zupełnie. Są także Kapucyni i nachylają się, aby mówić do niego pociechu.

Ciekawość zgromadziła więcej ludzi u stóp chłopczyka, a każdy milczał, oczekując z obawą jego pierwszego słowa, jakby życie wszystkich od tego zależało.

— Widzę—zaczął nanowo chłopczyk—jak kat wsadza cztery kawałki drzewa między sznury, a Kapucyni świecą... młoty i gwoździe... Ah! mój Boże! moja siostró, jakie oni mają zagniewane miny, dlatego, iż on nie mówi... Mamo, mamó, daj mi rękę, chcę zejść.

Zamiast matki, chłopczyk, odwróciwszy się, ujrzał już same twarze mężczyzn, którzy patrzyli na niego ze smutną chęćością i dawali znak, aby mówił dalej. Nie śmiał więc zejść i drżąc, wrócił do okna.

— Oh! widzę ojca Lactance'a i ojca Barrégo, jak wsadzają inne kliny, ściskające mu nogi. Oh! jakież on blady! zdaje się modlić do Boga; lecz oto głowa jego pada w tył, jakby umierał. Ah! weźcie mnie ztąd...

I upadł na ręce młodego obrońcy, imcipana de Lude i Cinq-Marsa, którzy się zbliżyli, aby go podtrzymać.

— *Deus stetit in synagoga deorum in medio autem Deus dijudicat...*—śpiewały głosy mocne i nosowe, wychodząc jakby z tego okienka, ciągnęły one długo zwyczajny śpiew kościelny z psalmów, przerywany uderzeniami młota; piekielne dzieło znaczyło takt śpiewów niebiańskich. Można by sądzić, że się jest w pobliżu jaskini kowala; lecz uderzenia były

głuche i pozwalały dobrze odczuć, że za kowadło służyło ciało człowieka.

— Milczenie!—rzekł Fournier—on mówi; śpiewy i uderzenia ustają.

Słaby głos odezwał się rzeczywiście zwolna:

— O, moi ojcowie! złagódźcie surowość waszej katuszy, bo przyprowadzicie moją duszę do rozpacz i będę usiłował pozbawić się życia.

Tu rozległ się i wzbił aż pod sklepienia jeden wielki krzyk z tysiąca piersi ludu; mężczyźni rzucając się z wściekłością na estradę i druzgocząc ją swym natarciem; łucznicy nie wiedzą narazie co czynić; tłum bez bronii pcha ich, przyciska do muru, dusi i obezwładnia; jego fale uderzają w drzwi, prowadzące do izby tortury, i gniotąc je z trzaskiem pod swym ciężarem, grożą wysadzeniem; obelga rozbrzmiewa tysiącem strasznych głosów i sieje trwogę wśród sędziów.

— Uciekli, unieśli go z sobą!—woła jakiś człowiek.

Tłum wstrzymuje się natychmiast i zmieniając kierunek, ucieka z tego miejsca nienawistnego i rozpierzcha się szybko po ulicach. Niezwykłe na nich zamieszanie zapanało.

Noc zapadła podczas długiego posiedzenia i deszcz ulewny padał z nieba. Ciemność była przerażająca: krzyki kobiet, ślizgających się po bruku lub tratowanych kopytami końskimi straży, głuche złorzeczenia rozwścieczonych mężczyzn, nieustanne odgłosy dzwonów, zwiastujące mękę powtarzanymi uderzeniami konania, pomruki dalekiego grzmotu, wszystko przyczyniało się do zamieszania. Jeśli ucho było zdziwione, niemniej zdziwione były także oczy; kilka żałobnych pochodni, zapalonych przy rogach ulic i rzucających grymasne światło, pozwalało widzieć zbrojnych i na koniu, jak pędzili cwałem, tratując tłum, aby się połączyć na placu Świętego Piotra; dachówki leciały na

nich niekiedy z góry, lecz nie mogąc osiągnąć odalonego winowajcy, padały na niewinnego przechodnia.

Zamieszanie było nadzwyczajne, a stało się jeszcze większe, gdy lud, wdzierając się wszystkimi ulicami na tak zwany rynek Świętego Piotra, ujrzał, że plac ze wszech stron zabarykadowany i wypełniony konną strażą i łucznikami. Wozy, przywiązane do kopców ulicznych, zamykały wszystkie wyjścia, a żołnierze, uzbrojeni w rusznice, stali w pobliżu na warcie. Na środku placu wznosił się stos, ułożony z olbrzymich belek, kładzionych jedna na drugą tak, że tworzyły doskonały czworobok; nakrywało je drzewo bielsze i lżejsze; ogromny słup wznosił się pośród tego rusztowania. Człowiek ubrany czerwono i trzymający pochodnię pochyloną, stał przy słupie, podobnym do masztu i widocznym już zdaleka. Olbrzymie naczynie z ogniem, nakryte blachą żelazną z powodu deszczu, było u jego stóp.

Na ten widok trwoga wywołała wszędzie głębokie milczenie; przez chwilę słychać było tylko szum deszczu, który lał strumieniami, i łoskot zbliżającego się grzmotu.

Tymczasem Cinq-Mars, w towarzystwie imcipanów du Lude i Fourniera, oraz wszystkich najznaczniejszych osób, schronił się przed burzą pod kolumnadę kościoła Świętego-Krzyża, wzniesionego na dwudziestu stopniach kamiennych. Stos stał nawprost kościoła i z tej wysokości można było widzieć plac w całej rozległości. Był on całkiem pusty, i tylko woda z szerokich kanałów płynęła po nim; ale wszystkie okna domów oświeślały się powoli i uwydatniały w ciemności głowy mężczyzn i kobiet, którzy się cisnęli na balkonach. Młody d'Effiat poglądał ze smutkiem na to groźne przygotowanie; wychowany w poczuciach honoru i daleki bardzo od wszystkich owych myśli czarnych, jakie nienawiść i buta mogą zrodzić

w sercu człowieka, nie rozumiał, że tyle złego mogło być uczynione bez jakiegoś powodu potężnego i tajemnego; śmiałość takiego skazania wydawała mu się tak nie do wiary, że to okrucieństwo nawet zaczynało usprawiedliwiać je w jego oczach; tajemniczy przestrach wślizgnął się do jego duszy, tensam, co zmuszał lud do milczenia; zapomniał prawie o ciekawości, którą natchnął go nieszcześny Urban, aby zbadać, czy nie było możebne, iż jakieś tajemne porozumienie z piekłem wywołało słusznie tak wielką surowość; i zeznania jawne zakonnice i opowieści jego czeigodnego guwernera osłabły w jego pamięci, tak powodzenie jest potężne nawet w oczach istot znakomitych, tak siła zwodzi człowieka, mimo głosu jego sumienia! Młody podróżny zapytywał już siebie, czy nie było prawdopodobne, że tortura wydobyla jakicś potworne wyznanie od skazanego, gdy ciemność, w której pograżony był kościół, ustała nagle; otworzono dwoje wielkich drzwi i przy świetle nieskończonej ilości pochodni ukazali się wszyscy sędziowie i duchowni, otoczeni strażą; pośród nich postępował Urban, podtrzymywany albo raczej niesiony przez sześciu ludzi, ubranych jako czarni pokutnicy, gdyż jego nogi związane i opasane bandażami zakrwawionymi, były jak zbite i niezdolne go podtrzymać. Od dwóch godzin co najwyżej Cinq-Mars go nie widział, a jednak trudno mu było poznać twarz, którą zauważył na posiedzeniu: wszystka barwa, całe ciało z niej znikło; śmiertelna bladość okrywała skórę żółtą i świecąca jak kość słoniowa; zdawało się, iż krew uszła ze wszystkich jego żył i tylko resztką życia pozostaje w czarnych jego oczach, lecz jakby dwa razy większych; omdlewającym wzrokiem wodził dokoła siebie; jego ciemne włosy były rozrzucone na jego szyi i na białej koszuli, która okrywała go całego; ten rodzaj sukni o szerokich rękawach miał odcień żółtawy i nie miała woń siarki; długi i mocny sznur opasywał jego

szyję i spadał mu na piersi. Podobny był do widma-męczennika.

Urban zatrzymał się, albo raczej został zatrzymany u kolumnady kościoła: kapucyn Lactance dał mu w prawą rękę gorejącą pochodnię i rzekł do niego z nieugiętą surowością:

— Wyznaj, żeś zblądził, i proś Boga o przebaczenie za twoją zbrodnię czarnoksięztwa.

Nieszcześnie podniósł głos z trudnością i wy-rzekł, patrząc w niebo;

— W imię Boga żywego, zapożyczam cię za trzy lata, Laubardemont, sędzio przeniewierczy! Oddalono mego spowiednika i byłem zmuszony przelać moje błędy na łono Boga samego, gdyż moi nieprzyjaciele otaczają mnie: biorę na świadka tego Boga miłosierdzia, nie byłem nigdy czarnoksiężnikiem; znałem jeno tajemnice wiary katolickiej, apostołskiej i rzymskiej, w której umieram; grzeszyłem wiele przeciwko sobie, ale nigdy przeciwko Bogu i Naszemu Panu...

— Nie kończ! — wykrzyknął kapucyn, udając, że zatyka mu usta przed wymówieniem imienia Zbawiciela; nędzniku zatwardziały, wróć do czarta, który cię posłał!

Na dany znak czterej księża zbliżyli się z kropidlami w rękę i egzorcyzmowali powietrze, którem czarnoksiężnik oddychał, ziemię, której się dotykał, i drzewo, które miało go spalić. Podczas tej ceremonii namiestnik kryminalny odczytał naprędce wyrok pod datą 18 sierpnia 1639 r., „ogłaszający Urbana Grandiera za należycie przekonanego o zbrodni czarnoksięztwa, urzeczenia, opętania, na osobach niektórych zakonnic Urszulanek z Loudunu i innych, ludzi świeckich” i t. d.

Lektor, oślepiiony błyskawicą, zatrzymał się na chwilę, i zwracając się do imcipana de Laubardemont, zapytał go, czyby ze względu na niepogodę, egzeku-

cya nie mogła być odłożona na dzień następny, na co ów odparł:

— Wyrok zaleca egzekucję w przeciągu dwudziestu czterech godzin; nie obawiajcie się tego ludu niewiernego, zostanie przekonany...

Cinq Mars i wszystkie najznakomitsze osoby, stojące pod kolumnadą, wysunęły się naprzód, aby lepiej słyszeć.

— ...Czarnoksiężnik nie mógł nigdy wymówić imienia Zbawiciela i odtrąca jego wizerunek.

Lactance wyszedł w tejże chwili z pośród pokutników, trzymając w ręku z wielką ostrożnością i poszanowaniem ogromny żelazny krucyfiks, i zbliżył go do ust skazanego na śmierć, który istotnie rzucił się w tył i zebrawszy wszystkie swoje siły, wytrącił krzyż z rąk kapucyna.

— Widzicie — zawołał tenże — obalił krucyfiks!

Podniosło się szemranie, lecz jego znaczenie było niepewne.

— Profanacya! — krzyknęli kapłani.

Postąpiono ku stosowi.

Tymczasem Cinq-Mars, wślizgnąwszy się za filar, patrzył na wszystko chciwem okiem; widział ze zdziwieniem, że krucyfiks, spadając po stopniach, wystawionych bardziej na deszcz, niż pomost, parował i wywołał syk lanego ołowiu, wrzuconego do wody. Gdy więc uwaga ogólna skierowała się gdzieindziej, podszedł i sięgnął po niego ręką, lecz uczuł wnet ból szalony.

Zdjęty oburzeniem i całą wściekłością serca prawego, bierze krucyfiks w fałdy swego płaszcza, zbliża się do Laubardemonta i uderza go w czoło:

— Złoczyńco — woła — noś piętno rozpalonego tego żelaza!

Tłum słyszy te słowa i rzuca się naprzód.

— Chwytajcie tego szaleńca! — woła napróżno niegodny sędzia.

Został sam pochwycony przez ludzi, którzy wołali:

— Sprawiedliwości! w imię króla!

— Jesteśmy zgubieni! — powiedział Lactance — na stos! na stos!

Pokutnicy wloką Urbana na plac, podczas gdy sędziowie i łucznicy wracają do kościoła i szamocą się z rozwścieczonymi obywatelami; kat, nie mając czasu przywiązać ofiary, położył ją poprostu na stosie i podłożył ogień. Lecz deszcz lał strumieniami i każda belka ledwo zapalona, gaśła, dymiąc. Napróżno Lactance i inni kanonicy sami wzniecali ognisko, nic nie mogło przemódz wody padającej z nieba.

Tymczasem zgiełk z pod kolumnady kościoła rozszedł się dokoła placu. Wołanie sprawiedliwości powtarzało się i krążyło z wieścią o dokonaniem odkryciu; dwie barykady zostały zniesione i pomimo trzech salw z rusznic, strzelcy zostali powoli odparci na środek placu. Daremnie nacierali końmi: tłum ścisnął ich rosnącą swoją ławą. Pół godziny trwała ta walka; straż cofała się wciąż ku stosowi, który zastaniała, skupiając się coraz bardziej.

— Naprzód, naprzód — mówił jakiś człowiek — my go oswobodzimy; nie uderzajcie na żołnierzy, niech się tylko cofają. Widzicie, Bóg nie chce, aby on umarł. Stos gaśnie. przyjaciele, jeszcze jeden wysiłek. Dobrze. Obalić tego konia. Naprzód! naprzód!

Straż została wreszcie odparta i powalona z koni; lud rzuca się, wyjąc, na stos; lecz ognia już nie było; wszystko znikło, nawet kat. Wyrrywają, rozrzucają deski; jedna z nich paliła się jeszcze, a jej blask pozwolił dostrzedz pod kupą popiołu i zakrwawionego błota, zezerniałą rękę; uchronioną od ognia

przez ogromną bransoletę z żelaza i łańcuch. Jakaś kobieta odważyła się ją otworzyć; palce ścisnęły krzyżyk z kości słońskiej i wizerunek świętej Magdaleny.

— Oto jego szczątki! — rzekła, płacząc.

— Powiedz: relikwie męczennika — odparł jakiś mężczyzna.

ROZDZIAŁ VI.

S E N.

Znikomy dar fortuny, kapryśna to pani,
Na piasku ten buduje, co buduje na niej;
Tem więcej niebezpieczeństw, im stoi kto wyżej.
Wielkie sosny najłatwiej huragan poniży...

Racan.

W zanikających sadach, spragnionych z gorąca,
Ogołocone z liści wiatr gałęzie strąca,
Jakby zima na chwilę nie schodziła z nieba.

Marya, Juliusz Lefèvre

Tymczasem Cinq-Mars, pośród wywołanego przez swoje uniesienie zamieszania, uczuł, że za lewe ramię pochwyciła go twarda, jak żelazo ręka, i wyciągnąwszy z tłumu aż ku dolnym stopniom, odrzuciła po za kościół, i tu dopiero pozwoliła mu ujrzeć czarną postać starego Grandchamp, mówiącego porywczym głosem:

— Panie, to było nie uderzyć na trzydziestu muszkieterów w lesie Chaumont, bo myśmy znajdowali się o kilka kroków od was, chociaż nie wiedzieliście o tem, że bylibyśmy wam pomogli w potrzebie, a zresztą mieliście do czynienia z ludźmi honoru; ale

tu co innego. Oto wasze konie i ludzie na krańcu ulicy: proszę, abyście dosiedli konia i wyjechali z miasta, lub odesłali mnie do pani marszałkowej, gdyż jestem odpowiedzialny za wasze ręce i nogi, które uarażacie bardzo nierozważnie.

Cinq-Mars, choć trochę oszołomiony tym nagłym sposobem oddawania usługi, nie gniewał się wcale za takie wydobycie go z matni, zdążywszy zastanowić się nad nieprzyjemnością, jakiejby doznał, gdyby został poznany i gdyby doniesiono, że to on uderzył naczelnika władzy sądowej i agenta samego kardynała, który miał go przedstawić królowi. Zauważył także, że zgromadził się koło niego tłum ludzi z motochu, a w takim towarzystwie wstyd mu było się znajdować. Poszedł więc bez szemrania za swym starym służącym i zobaczył wistocie trzech innych służących, czekających na niego w pobliżu. Mimo deszczu i wiatru, wsiadł na konia i znalazł się wkrótce na wielkim trakcie ze swym orszakiem, jadąc cwałem, aby nie być ściganym.

Zaledwie wyjechał z Loudunu, piasek na drodze, poorany przez głębokie koleje, wypełnione całkowicie wodą, zmusił go do zwolnienia biegu. Deszcz lał dalej strumieniami i jego płaszcz był prawie przemoknięty. Wtem uczuł jakiś ciężar na swoich barkach: to jego stary kamerdyner okrył go własnym płaszczem i otoczył macierzyńską swą opieką.

— A więc, Grandchamp, teraz, gdy oto jesteśmy zdala od tego rwetesu, powiedzże mi, jak się tam znalazłeś — zapytał Cinq-Mars — kiedy ci kazałem pozostać u księdza?

— Do kroćset! panie — odparł, zrzędząc stary sługa — czy sądzicie, że słucham was więcej, niż imcipana marszałka? Gdy nieboszczyk mój pan powiedział mi, abym został w jego namiocie, a ujrzał mnie za sobą śród dymu dział, nie skarżył się, bo miał konia na zmianę, gdy jego rumak został zabity, i lajał mnie tylko z rozmysłem. To prawda, że przez

czterdzieści lat, jak mu służyłem, nie widziałem nigdy, aby zrobił coś podobnego do tego, co wy czynicie od piętnastu dni, jak jestem z wami. Ah! — dodał, wzdykając — dobrze nam się wie dzie, a jeśli tak pójdzie dalej, będę musiał oglądać piękne rzeczy, jak się zdaje.

— Ale czy wiesz, Grandchamp, że ci szelmi rozpalili do czerwonoci krucyfiks i że każdy ucziwy człowiek oburzyłby się tak samo, jak ja.

— Wyjawszy imcipana marszałka, nieboszczyk wasz ojciec z pewnością nie zrobiłby tego, co wy robicie, panie.

— A cóżby on zrobił?

— Pozwoliłby najspokojniej spalić tego proboszcza przez innych proboszczów i powiedziałby do mnie: „Grandchamp, bacz, aby moje konie miały owies, i aby go nie wyciągano”; albo też: „Grandchamp, pilnuj dobrze, aby deszcz nie okrył rdzą mojej szpady w pochwie i nie zmoczył podsypki moich pistoletów”; bo imćpan marszałek myślał o wszystkim, a nie mieszał się nigdy do nieswoich rzeczy. Była to jego główna zasada; a ponieważ był dzięki Bogu równie dobrym żołnierzem, jak wodzem, troskał się zawsze o swą broń, jak pierwszy lepszy lancknecht, i nie stanąłby sam przeciw trzydziestu młodym chłopom ze szpadką do tańca.

Cinq-Mars czuł doskonale cięte przycinki przeciwnca i obawiał się, czy ten nie poszedł za nim dalej, niż do lasu Chaumont; ale nie chciał mu tego dać poznać z obawy, aby nie być zmuszonym się tłumaczyć, lub popełnić kłamstwa, albo zalecić milczenie, co byłoby wyznaniem i zwierzeniem; postanowił spać konia ostrogą i jechać przed swoim starym sługą; ale ten nie skończył, i zamiast postępować z prawej strony swego pana, wrócił na lewą i prawił dalej:

— Czy sądzicie, panie, na przykład, że pozwalam wam iść, dokąd chcecie, nie idąc za wami? Nie, panie, mam zawiele naprzód w duszy szacunku, należnego pani margrabinie, aby dopuścić do usłyszenia: „Grandchamp, mój syn poległ od kuli lub od szpady; dlaczego nie zasłoniłeś go swoją piersią?” albo też: „Został pchnięty sztylblem od Włocha, gdyż chodził nocą pod okno wielkiej księżniczki; dlaczego nie zatrzymałeś mordercy?” To byłoby nader nieprzyjemne dla mnie, panie, i nigdy nie miano mi nie podobnego do zarzucenia. Raz imćpan marszałek przydał mnie swemu siostrzeńcowi, imćpanu hrabiemu, dla odbycia wyprawy wojennej do Niderlandów, ponieważ mówię po hiszpańsku; i wyszedłem z tego z honorem, jak czynię to zawsze. Gdy imćpan hrabia dostał kulą armatnią poniżej brzucha, przyprowadziłem sam jego konie, jego muły, jego namiot i całe obłogi, tak, że nie brak było jednej chustki, panie; i mogę was zapewnić, że konie były tak dobrze wychodżone i okulbaczone, wracając do Chaumont, jakby imćpan hrabia gotów był do wyjazdu na polowanie. Otrzymałem też same powinszowania od całej rodziny, a lubię słuchać, gdy mi je mówią.

— To bardzo dobrze, mój przyjacielu — rzekł Henryk d'Effiat, może dam ci kiedy konie do oprowadzenia; ale tymczasem wielki worek złota, o małym go już nie zgubił dwa, czy trzy razy, będziesz płacił za mnie wszędzie; to mnie tak nudzi!

— Imćpan marszałek nie robił tego, panie. Ponieważ był naczelnym nadzorcą skarbu, liczył pieniądze swoją ręką i sądzę, że wasze majątki nie byłyby w tak pomyślnym stanie, a wy nie mielibyście tyle złota do liczenia sami, gdyby czynił był inaczej; bądźcie więc tak łaskawi zachować swój miecz, którego nie znacie napewno dokładnie zawartości.

— Dalibóg nie!

Grandchamp westchnął głęboko na ten lekceważący wykrzyk swego pana.

— Ach! panie margrabiol panie margrabiol! gdy pomyślę, że wielki król Henryk przed memi oczyma schował do kieszeni swe rękawiczki gienkowe, bo deszcz im szkodził; gdy pomyślę, że imćpan de Rosny odmawiał mu pieniędzy, kiedy za dużo ich wydał; gdy pomyślę...

— Kiedy myślisz, jesteś bardzo nudny, mój przyjacielu—przerwał jego pan — i zrobiłbyś lepiej, gdybyś mi powiedział, co to za czarna postać idzie, zdaje się, za nami.

— Sądzę, że to jakaś uboga chłopka i chce prosić o jałmużnę; łatwo jej iść za nami, bo nie jedziemy prędko; biedne nasze konie brną po przegub w piasku. Może pojedziemy kiedy do Landów, panie, a zobaczycie wtedy kraj, jak ten, pełen piasków i jodeł zupełnie czarnych; tam nieustanny ementarz z prawej i lewej strony drogi, a tu jego próbka. Macie, teraz gdy deszcz ustał i trochę widać, spojrzycie na te wszystkie mgły i tę wielką równinę bez wioski, ani jednego domu. Nie wiem, doprawdy, gdzie przepędzimy noc; ale jeśli mi, panie, zawierzycie, utniemy gałęzi z drzew i będziemy obozowali pod gołym niebem; zobaczycie, jak umiem robić barak z ziemi; ciepło pod nim jak w dobrym łóżku.

— Wolę jechać dalej aż do tego światła, które spostrzegam na widnokręgu—powiedział Cinq-Mars—gdyż czuję, zdaje mi się, że mam gorączkę i chcę mi się pić. Ale jedź sobie z tyłu, chcę być sam; łącz się z tamtymi i jedź za mną.

Grandchamp spełnił rozkaz i pocieszył się udzieleniem Hermanowi, Ludwikowi i Stefanowi lekcji o sposobie rozpoznawania drogi w nocy.

Jednak młody jego pan upadał ze znużenia. Gwałtowne wzruszenia z dnia wstrząsnęły do głębi jego duszą, a ta długa podróż konna, te dwa dni ostatnie prawie bez pożywienia, z powodu nagłych wypadków, żar słońca, zimno lodowe nocy, wszystko

przyczyniało się do powiększenia jego choroby, do złamania wątłego jego ciała. Przez trzy godziny jechał w milczeniu przed swymi ludźmi, mimo to światło, które spostrzegł był na widnokręgu, nie zdawało się przybliżać; w końcu nie sięgał go już oczyma; gło-
wa, stawszy się cięższą, opadła mu na piersi, puścił cugle zmęczonego rumaka i skrzyżowawszy ręce, pozwolił się kołysać przez jednostajny ruch swego towarzysza podróży, potykającego się często o grube kamienie rozrzucone po drodze. Deszcz ustał, również jak głosy służących, których konie szły rzędem za panem. Młodzieniec oddał się bez przeszkody goryczy swoich myśli; zapytywał siebie, czy świetny cel jego nadziei nie będzie od niego uciekał w przyszłości z dnia na dzień, jak uciekało przed nim na każdym kroku to fosforyczne światło na widnokręgu. Było-li podobnem do prawdy, że ta młoda księżniczka, ściągnięta prawie siłą na zalotny dwór Anny Austriackiej, odmawiała zawsze oświadczy-
czynom, być może królewskim, z jakimi się do niej zwracano? Pod jakim pozorem zrzekła się tronu, aby czekać, aż wybryk fortuny ziści romansowe nadzieje i wyniesie młodzieńca z ostatnich prawie stopni armii na takie stanowisko, zanim wiek miłości przejdzie! Kto zapewnił go, że same życzenia Maryi Gonzagi były szczere? — Niestety! — mówił sobie — może ona sama zdołała oszołomić się swemi własnymi uczuciami; samotność wsi przygotowała jej duszę do przejścia się głębokimi wrażeniami. Zjawiłem się, sądziła, że byłem tym, o którym marzyła; nasz wiek i nasza miłość dokonali reszty. Lecz gdy na dworze nauczy się lepiej, przez zażyłość z królową, patrzeć z góry na wielkość, o jakie się ubiegam, jakie widzę dopiero z dołu; kiedy ujrzy nagle w swoich rękach całą swoją przyszłość i zmierzy jednym rzutem oka drogę, którą mam przebiec; gdy będzie słyszała dokoła siebie przysięgi, podobne do moich, a wygłaszane przez tych, których jedno słowo wystarczy, aby

mnie zgubić i zniszczyć oczekiwanego jej przyszłego męża i pana. Ach! jakże byłem szalony. Zobaczy cały swój obłęd i będzie ją gniewało moje szaleństwo. Tak to największe nieszczęście miłości, zwątpienie, zaczęło rozdzierać jego serce chore, czuł, że krew uderza mu do głowy i robi ją ocieżałą; często padał na szyję ustającego swego rumaka; sennosć obciążała jego powieki; czarne jodły, ciągnące się brzegiem drogi, wydawały mu się olbrzymiemi trupami, przechodzącymi koło niego; widział, lub zdawało mu się, że widział, jak ta sama kobieta czarno ubrana, którą pokazywał staremu Grandchamp, zbliżyła się do niego tak blisko, że dotykała grzywy jego konia, ściągnęła z niego płaszcz i uciekła, śmiejąc się szyderczo; piasek na drodze wydawał mu się rzeką, płynącą przeciw niemu jakby do swego źródła; ten widok dziwaczny osłupił jego oczy osłabione; zamknął je i zasnął na swym rumaku.

Wkrótce uczuł, że go zatrzymano; ale zimno go przejęło. Widział jak przez mgłę chłopów, pochodnie, rudere, wielką komnatę, do której go przeniesiono, obszerne łóżko, nad którym Grandchamp opuścił ciężkie firanki, i usnął odurzony gorączką, brzęczącą mu w uszach.

Sny, szybsze niż ziarenka piasku, pędzone wiatrem, wirowały pod jego czołem; nie mógł ich zatrzymać i rzucał się na posłaniu. Urban Grandier, wzięty na męki, jego matka we łzach, jego uzbrojony guwerner, Bassompierre obciążony łańcuchami, przesuwali się, żegnając go; podniósł rękę do głowy śpiąc i wstrzymał sen, co się zdawał rozszerzać przed jego oczyma, jak obraz wirującego piasku.

Plac publiczny, zapełniony ludem obcym, ludem z Północy, wydającym okrzyki radosne, lecz dzikie; dalej szpaler straży, srogich żołnierzy; ci byli Francuzami.

— Pójdź ze mną—rzekła słodko Marya Gonza-

ga, biorąc go za rękę. — Czy widzisz, mam dyadem; oto twój tron, pójdź ze mną.

I ściągnęła go za sobą, a lud krzyczał ciągle. Szedł, szedł długo.

— Czemu więc jesteś smutna, będąc królową? — zapytał, drżąc. Lecz ona była biała i uśmiechnęła się, nie nie mówiąc. Weszła wyżej, po stopniach na tron i usiadła: — Wejdz — rzekła, wyciągając silnie rękę. Ale jego nogi obalały ciągle ciężkie belki i nie mógł wejść.

— Ulituj się nad miłością — odparła.

I ręka silniejsza podniosła go w górę. Cud, krzyczał. Schylił się, aby ucałować tę rękę niosącą pomoc, tę rękę uwielbianą... była to ręka kata!

— O Boże! — zawołał Cinq-Mars, wydając głębokie westchnienie.

I otworzył oczy: lampa drżącym światłem oświećlała zniszczoną izbę zajazdu; zamknął powieki, bo zobaczył siedzącą na łóżku kobietę, zakonnicę, tak młodą, tak piękną! Sądził, że jeszcze marzy, lecz ona ścisnęła silnie jego rękę. Odemknął palące oczy i utkwilił je w tej kobiecie.

— O, Joanno de Belfiel! tyżeś to? Deszcz zmoczył twój welon i twoje czarne włosy; co robisz tu, nieszczęśliwa kobieto!

— Milez, nie budź mego Urbana; on jest w sąsiedniej izbie i śpi ze mną. Tak, moja głowa mokra, a moje nogi, spójrz na nie, moje nogi były kiedyś tak białe! Patrz, jak błoto je skalało. Lecz uczyniłam ślub, obmyję je tylko u króla, kiedy mi da ułaskawienie Urbana. Pójdę do obozu, ażeby go znaleźć; będę do niego mówiła, jak Grandier nauczył mnie mówić do niego, a on mu przebaczy; ale słuchaj, będę go prosiła także o łaskę dla ciebie; bo wyczytałam z twoich lic, że jesteś skazany na śmierć. Biedne dziecko! za młody jesteś, aby umrzeć, twoje włosy fryzowane są piękne; a jednak jesteś skazany,

bo masz na czole linię, która nie zawodzi nigdy. Człowiek, którego uderzyłeś, zabije ciebie. Zanadto użyłeś krzyża, to właśnie przyniesie ci nieszczęście; uderzyłeś nim, a nosisz go na szyi z włosami... Nie kryj głowy pod prześcieradłem! Czyżbym ci powiedziała coś, co by cię zasmuciło? a może kochasz, młodzieńcze? Ach! bądź spokojny, nie powiem tego wszystkiego twojej przyjaciółce; jestem szalona, lecz dobra, bardzo dobra, a przed trzema jeszcze dniami byłam bardzo piękna. Czy ona także piękna? Och, jak ona będzie płakała kiedyś! Ach! jeśli może płakać, będzie bardzo szczęśliwa. Tu Joanna zaczęła nagle odmawiać modlitwę za umarłych głosem jednostajnym i nadzwyczaj prędko, siedząc ciągle na łóżku i przebierając palcami ziarnka długiego różańca.

Wtem drzwi się otwierają; Joanna patrzy i ucieka wejściem, zrobionem w przepierzeniu.

— Cóż to za dyabeł? Czy to zły duch, czy anioł odprawia mszę żałobną nad wami, panie? bo leżycie pod swemi prześcieradłami, jak pod całunem.

Był to gruby głos starego Grandchamp, który się tak zdziwił, iż upuścił szklankę z niesioną limonadą. Widząc, że jego pan nie odpowiada, przestraszył się jeszcze bardziej i podniósł koldrę. Cinq-Mars był bardzo czerwony i zdawał się spać; lecz stary służący sądził, że krew, uderzywszy do głowy, dusi jego pana, i chwytając naczynie pełne wody zimnej, wylał mu na czoło. Ten środek wojskowy rzadko chybia celu i Cinq-Mars przyszedł do siebie, zrywając się ze snu.

— Ach, to ty, Grandchamp! Jakież okropne sny miałem przed chwilą!

— Bodaj je, panie, wasze sny są bardzo ładne, przeciwnie, widziałem ogon ostatniego, wybieracie bardzo dobrze!

— Co ty mówisz, stary waryacie?

— Nie jestem wcale waryatem, panie, mam dobre oczy i widziałem to, co widziałem. Ale z pewnością, będąc, jak wy, chorym, imci pan marszałek nie...

— Pleciesz trzy po trzy, mój kochany, daj mi pić, bo gorączka mnie pożera. O, Boże, jakaż noc! widzę jeszcze wszystkie owe kobiety!

— Wszystkie owe kobiety, panie? A ileż ich tu było?

— Mówię ci o śnie, niedołęgo! Dokąd będziesz tam stał, jak słup, zamiast dać mi pić!

— To mi wystarcza, panie; zażądam innej limonady.

I zbliżając się do drzwi, zawołał:

— Ej, Herman, Stefan, Ludwik!

Oberżysta odpowiedział:

— Zaraz, panie, zaraz; dopiero co mi pomogli ścigać obłąkaną.

— Jaką obłąkaną?—zapytał Cinq-Mars, wychylając się z łóżka.

Oberżysta wszedł i zdejmując swą czapkę bawelnianą, powiedział z szacunkiem:

— To nic, panie margrabio, ta obłąkana przybyła tu pieszo dziś w nocy; pozwoliłem jej przespać się obok tej izby, lecz uciekła przed chwilą i nie mogliśmy jej dogonić.

— Jako — rzekł Cinq-Mars, jakby wracając do siebie i przecierając ręką oczy—więc mi się nie śniło? A moja matka, gdzież ona? a marszałek, a... Ach! To sen okropny. Wyjdźcie wszyscy.

Jednocześnie odwrócił się do ściany i ściągnął jeszcze kołdrę na głowę.

Oberżysta osłupiały, uderzył się trzy razy końcem palca w czoło, patrząc na starego kamerdynera, jakby chciał go zapytać, czy jego pan nie gadał tak-że od rzeczy.

Grandchamp dał mu znak, aby wyszedł w milczeniu; sam zaś postanowił czuwać do końca nocy przy Cinq-Marsie, głęboko uspionym; zasiadł tedy w wielkim fotelu kobiercowym i wyciskał cytryny nad szklanką wody, z miną tak poważną i tak surową, jak Archimedes, liczący płomienie swoich zwierciadeł.

ROZDZIAŁ VII.

G A B I N E T.

Ludzie mają rzadko odwagę być
zupełnie dobrymi lub zupełnie złymi.
Machiavel.

Zostawmy naszego młodego podróżnego, pogrążonego we śnie. Wkrótce będzie on odbywał spokojnie długą i piękną drogę. Ponieważ mamy łatwość przebiegania swemi oczyma po wszystkich miejscach leżącej przed nami karty, zatrzymujemy je nad miastem Narbonną.

Spojrzyjcie na morze Śródziemne, rozlewające w pobliżu swe modre fale na brzegi piaszczyste. Wejdźcie do tego starego miasta, podobnego do Aten; lecz aby znaleźć tego, co w niem panuje, idźcie tą ulicą nierówną i ciemną, wejdźcie po stopniach starego arcybiskupstwa do pierwszej i najobszerniejszej z sal.

Była ona bardzo długa, lecz oświetlona szeregiem wysokich okien, w kształcie łuku śpiczastego; tylko górna ich część zachowała witraże niebieskie, żółte i czerwone, rozlewające tajemniczy blask po sali. Olbrzymi stół okrągły wypełniał całą jej sze-

rokość od strony kominka; wokoło tego stołu, pokrytego pstrym kobiercem i założonego papierami i tekami, siedzieli pochylonych nad piórem ośmiu sekretarzy, zajętych przepisywaniem listów, jakie im podawano ze stołu mniejszego. Inni, stojąc, układali papiery na półkach biblioteki, której książki czarno oprawne nie wypełniały całkiem, i chodzili ostrożnie po zaścielającym salę kobiercu.

Mimo takiej ilości zebranych osób, byłoby można usłyszeć przelatającą muchę. Jedyne szmer, jaki się odzywał, wydawały pióra, biegnące szybko po papierze, oraz głos, dyktujący z przerwami, z powodu kaszlu. Wychodził on z ogromnego fotelu, o wielkich poręczach, umieszczonego przy kominku, w którym się paliło naprzekór upałom pory i kraju. Był to jeden z owych foteli, jakie się widzi jeszcze w niektórych starych zamkach; fotele te wydają się zrobione po to, aby w nich zasnąć, czytając, jakakolwiek byłaby to książka, tak każda poręcz jest wykończona; obrączka z piór podtrzymuje w nim łędwie; jeśli się głowa zwiesi, policzki jej oprą się na poduszeczkach jedwabnych, a poduszka do siedzenia wystaje tak po za łokcie, że należy przypuszczać, iż przewidujący tapicerzy naszych ojców mieli na celu uniknąć, aby książka nie robiła hałasu i nie budziła ich upadając.

Ale porzućmy to zbaczanie od przedmiotu, aby rzec o człowieku, który siedział w fotelu, lecz nie spał bynajmniej. Miał on czoło szerokie i trochę włosów bardzo białych, oczy wielkie i łagodne, twarz bladą i długą; śpiczasta biała bródka nadawała jej ową subtelność, dającą się zauważyć na wszystkich wizerunkach Ludwika XIII. Usta prawie bez wargi (Lavater uważa ten znak jako niewątpliwy dowód złości), lecz wymuskane, były oprawne w dwa wąsiki szpakowate i hiszpankę, ozdobę wówczas modną, a dosyć podobną swym kształtem do przecinka. Starzec ten siedział w czerwonym birecie na głowie, owinięty w obszerny szlafrok i miał pończochy z jedwabiu

purpurowego, a nie był to kto inny, jeno Armand Duplessis, kardynał de Richelieu.

Miał on bardzo blisko siebie, wokoło najmniejszego stołu, o którym była mowa, czterech młodzieńców od piętnastu do lat dwudziestu; byli to paziowie albo czeladź, podług wyrażenia ówczesnego, co znaczyło wtedy poufały przyjaciel domu. Ten zwyczaj był pozostałością z patronatu feodalnego, przechowanego w naszych obyczajach. Młodsza szlachta z najwyższych rodzin otrzymywała „pensję” od wielkich magnatów i była im oddana we wszelkich okolicznościach, wyzywając na pojedynek pierwszego lepszego na najmniejsze życzenie swego orędownika. Wspomnieni przez nas paziowie układali listy, do których treści udzielał im kardynał, i po rzuceniu na nie okiem przez pana, podawali je sekretarzom do przepisania na czysto. Księżę-kardynał ze swej strony pisał na kolanie tajne notatki na arkusikach papieru, poczem wsadzał je do wszystkich niemal paczek i pieczętował własną ręką.

Od kilku chwil pisał, wtem spostrzegł w zwierciadle, umieszczonem wprost siebie, najmłodszego ze swoich paziów, kreślącego kilka linii, przerywanych na arkuszu rozmiaru mniejszego od papieru ministerjalnego; skreślił na nim kilka słów z pośpiechem, poczem wsunął go szybko pod wielki arkusz, który musiał wypełnić ku wielkiemu swemu żalowi; lecz siedząc po za kardynałem, spodziewał się, iż jego trudność w odwracaniu się, przeszkodzi mu w dostrzeżeniu małego podstępu, wykonanego, jak się zdawało, z pewną zręcznością.

Nagle Richelieu, zwracając się do niego, sucho zawołał:

— Chodź-no tu, mości panie Olivierze!

Te dwa słowa były jakby uderzeniem pioruna dla tego biednego dziecka, zdającego się mieć zaledwie lat szesnaście. Chłopiec podniósł się jednak

bardzo prędko i stanął wnet przed ministrem, z rękoma zwieszonemi i pochyloną głową.

Inni paziowie i sekretarze nie poruszyli się więcej, niż żołnierze, gdy jeden z nich padnie, ugodzony kulą, tak byli przyzwyczajeni do tego rodzaju wołania. To przecież zapowiadało się żywiej niż inne.

— Co tam piszesz?

— Jaśnie oświecony panie... to, co wasza prze-wielebność mi dyktuje.

— Co takiego?

— Jaśnie oświecony panie... list do don Juana Braganckiego.

— Bez wykrętów, mości panie, piszesz co innego zupełnie.

— Jaśnie oświecony panie!—rzekł wtedy paż ze łzami w oczach — był to list do jednej z moich krewniaczek.

— Pokaż mi go.

Natenczas paż zaczął drżeć i musiał się oprzeć o kominek, mówiąc półgłosem:

— To niemożliwe.

— Mości panie Olivierze d'Entraigues!—powiedział minister, nie zdradzając najmniejszego wzruszenia—nie masz już u mnie miejsca.

I paż wyszedł; wiedział, że nie było nic do odpowiedzenia; wsunął swój list do kieszeni i, otworzywszy drzwi o dwóch skrzydłach tak, aby jeno było dość dla niego miejsca, wślizgnął się pomiędzy nie, jak ptak, co ucieka ze swej klatki.

Minister robił dalej notatki, kreśląc je na kolanie.

Sekretarze podwoili milczenie i gorliwość, gdy drzwi otworzyły się nagle z każdej strony i ujrano stojącego między dwoma skrzydłami onych Kapucyna, który, skłoniwszy się ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, oczekiwał jakby jałmużny lub rozkazu. Miał cerę przyciemnioną, głęboko zoraną przez ospę; oczy dość łagodne, lecz trochę zezowate i okryte brwiami,

łączącemi się na środku czoła; na ustach uśmiech przebiegły, złośliwy i złowrogi; brodę płaską i rudą na końcu, oraz strój zakonu św. Franciszka w całej swojej okropności, z trepkami i bosemi nogami, niegodnemi jakby otarcia się o kobierzec.

Pomimo to osobnik ten zdawał się robić wielkie wrażenie w całej sali, gdyż, nie kończąc zdania, linii lub słowa zaczętego, każdy pisarz podniósł się i wyszedł drzwiami, w których ów stał ciągle, przytem jedni witali go w przejściu, inni odwracali głowę, młodzi paziowie zatykali sobie nos, ale ztyłu za nim, bo zdawali się lękać potajemnie. Gdy wszyscy przeciągnęli koło niego, wszedł nakoniec, składając głęboki ukłon, bo drzwi jeszcze były otwarte; lecz jak tylko zostały zamknięte, idąc bez ceremonii, usiadł w pobliżu kardynała, który, poznawszy go po ruchu, jaki się zrobił, kiwnął mu głową sucho i w milczeniu, patrząc na niego ciągle, jakby oczekiwał wiadomości, i nie mogąc się wstrzymać od zmarszczenia brwi, jak na widok pajaka lub jakiegoś innego nieprzyjemnego stworzenia.

Kardynał nie mógł się oprzeć temu ruchowi niezadowolenia, bo czuł się zmuszony obecnością swego ajenta powrócić do tych rozmów głębokich i utrudzających, od których odwykł przez kilka dni w kraju, gdzie czyste powietrze i niezmierna cisza uśmierzły nieco dolegliwości jego choroby; zamieniła się ona w powolną gorączkę, lecz jej przerwy były dość długie, ażeby mógł zapomnieć w czasie jej nieobecności, iż musi powrócić. Dając więc nieco wypoczynku swej wyobraźni, dotąd niestrudzonej, czekał bez niecierpliwości, pierwszy raz w życiu może, na powrót gońców, których był wysłał na wszystkie strony, jak promienie słońca, nadającego życie i ruch Francji.

Nie spodziewał się odwiedzin swego powiernika tak rychło, i widok jednego z tych ludzi, których „maczał w krwi,” według swego własnego wyraże-

nia, uczynił wszystkie zwykłe niepokoje życia jego przytomniejszymi, nie rozpędzając zupełnie chmury melancholii, co zaciemniła jego myśli.

Początek rozmowy był zabarwiony ciemnym kolorem ostatnich jego marzeń; ale wkrótce stał się bardziej ożywiony i silniejszy niż kiedykolwiek, gdy moc jego ducha wróciła z konieczności do świata rzeczywistego.

Jego powiernik, widząc się zmuszony przerwać milczenie pierwszy, uczynił to dość nagle:

— I cóż! monsignorze, o czemże myślicie?

— Niestety! Józefie, o czemże powinniśmy wszyscy myśleć, ilu tylko nas jest, jeśli nie o naszem szczęściu przyszłem w życiu lepszem od tego? Rozmyślałem od wielu dni nad tem, że sprawy ludzkie odwiodły mnie zanadto od tej jedynej myśli i żałuję, że użył kilku chwil wolnych na dzieła świeckie, takie, jak moje tragedye „Europa” i „Mirame”, pomimo sławy, jaką z nich osiągnąłem między najpiękniejszymi naszymi umysłami, sławy, co się rozwija w przyszłości.

Ojciec Józef, pełen nowości, zebranych skrzętnie dla kardynała, był zrazu zdziwiony tym wstępem; ale znał zbyt dobrze swojego pana, aby to dać po sobie poznać, i wiedząc dobrze, którądy nawróci go do innych myśli, poszedł bez wahania swoją drogą.

— Zasługa ich jest przecież bardzo wielka — rzekł jakby z żalem — i Francya będzie ubolewała nad tem, że te niesmiertelne dzieła nie mają podobnych sobie więcej.

— Tak, mój drogi Józefie, napróżno ludzie tacy, jak Boisrobert, Claveret, Colletet, Corneille, a zwłaszcza słynny Mairet, ogłosili te tragedye za najpiękniejsze ze wszystkich tych, jakie przez czasy obecne i ubiegłe widziane były na scenie; wyrzucam je sobie, jak prawdziwy grzech śmiertelny, i zajmuję się w godzinach spoczynku tylko moją „Metodą dysput”

i książką o „Doskonałości chrześcijańskiej”. Pamiętam, że mam pięćdziesiąt sześć lat i chorobę nie do wyleczenia.

— To są rachuby, które wasi nieprzyjaciele robią tak dokładnie, jak wasza przewielebność—powiedział ojciec Józef, nabierając dzięki tej rozmowie humoru i chcąc skończyć ją jak najprędzej.

Rumieniec wystąpił na twarz kardynała.

— Wiem o tem dobrze, wiem o tem dobrze — powiedział — znam całą ich szkaradę i spodziewam się wszystkiego. Ale cóż nowego?

— Zgodziliśmy się już, monsignorze, co do zastąpienia panny d’Hautefort; oddaliśmy ją, jak pannę de la Fayette, bardzo dobrze; lecz miejsce jej nie zajęte, a król...

— I cóż?

— Królowi przychodzą do głowy myśli, jakich nie miał jeszcze.

— Doprawdy? a które nie pochodzą odemnie? Otóż masz—rzekł minister z szyderstwem.

— Zatem, monsignorze, pocóż zostawiać przez sześć dni całych miejsce ulubienicy niezajętem? To nieroztropnie, pozwólcie sobie powiedzieć.

— Przychodzą mu myśli, myśli!—powtarzał Richelieu, jakby z przerażeniem; i jakież to?

— Mówił o przywołaniu królowej-matki — rzekł kapucyn cichym głosem—o przywołaniu jej z Kolonii.

— Marya Medycejska! — zawołał kardynał, uderzając w poręcz fotela swemi dłońmi.—Nie, na Boga żywego! ona nie wróci do Francji, z kąd wypędziłem ją bezpowrotnie! Anglia nie śmiała przygarnąć wypędzonej przezemnie; Niderlandy lękały się, ażeby nie runąć pod nią, a moje królestwo miałoby ją przyjąć! Nie, nie, ta myśl nie mogła mu przyjść sama z siebie. Przywołać mego wroga, przywołać jego matkę, co za wiarołomstwo! Nie, on nie śmiałby nigdy pomyśleć o tem...—Poczem, po chwili zastano-

wienia, dodał, utkwivszy wzrok przenikliwy i pełen jeszcze ognia swego gniewu w ojcu Józefie:

— Ale... w jakich wyrazach wypowiedział to życzenie? Powtórz mi słowa dokładnie.

— Powiedział dość otwarcie i w obecności brata królewskiego: „Czuję dobrze, iż jednym z pierwszych obowiązków chrześcijanina jest być dobrym synem i nie będę się długo opierał podszeptom mojego sumienia”.

— Chrześcianin! sumienie! to nie są jego wyrażenia; to ojciec Caussin, to jego spowiednik mnie zdradza—zawołał kardynał.—Przewrotny jezuito! przebaczyłem ci twoją intrygę z panną de La Fayette; ale nie przepuszczę ci twych rad potajemnych. Każę wypędzić tego spowiednika, Józefie, to wróg państwa, widzę to dobrze. Ale też działałem od kilku dni nie-dbale; niedość przyspieszyłem przybycie tego małego d’Effiat, któremu się powiedzie bezwątpienia; jest dobrze ułożony i bystrego dowcipu podobno. Ach, jaki błąd! zasługiwałem sam na dobrą niełaskę. Zostawić przy królu tego lisa jezuitę, nie udzieliwszy mu tajnych moich instrukcyj, nie mając zakładnika, rękojmi jego wierności w spełnianiu mych rozkazów! jakie zapomnienie! Józefie, weź pióro i pisz prędko, co ci podyktuję do innego spowiednika, a tym razem wybierzemy go lepiej. Myślę o ojcu Sirmondzie...

Ojciec Józef usiadł przed wielkim stołem, gotów do pisania, a kardynał podyktował mu owe obowiązki nowego rodzaju, które wkrótce ośmielił się doreczyć królowi; ten zaś przyjął je, uszanował i nauczył się ich na pamięć, jak przykazań Kościoła. Zostały one jako pomnik zatrzważający władzy, do jakiej człowiek może dojść z czasem przez intrygi i śmiałość.

I. Panujący powinien mieć pierwszego ministra, a ten pierwszy minister trzy zalety: 1-o, aby ko-

chał tylko swego monarchę; 2-o, aby był zdolny i wier-
ny; 3-o, aby był duchownym.

II. Panujący powinien bardzo kochać swojego
pierwszego ministra.

III. Nie powinien nigdy zmieniać swego pierw-
szego ministra.

IV. Powinien mówić mu o wszystkim.

V. Dać mu wolny wstęp do swojej osoby.

VI. Dać mu najwyższą władzę nad ludem.

VII. Wielkie godności i wielkie majątki.

VIII. Panujący nie może mieć bogatszego skar-
bu, niż pierwszy jego minister.

IX. Panujący nie powinien dawać wiary temu,
co mówią przeciw jego pierwszemu ministrowi, ani
lubić słuchać źle mówiących o nim.

X. Panujący powinien wyjawiać swemu pierw-
szemu ministrowi wszystko, co przeciwko niemu po-
wiedziano, chociażby nawet wymagano od panującego,
aby zachował tajemnicę.

XI. Panujący powinien nie tylko przekładać do-
bro swego państwa, lecz i swego pierwszego ministra
ponad swoich wszystkich krewnych.

Takie były przykazania bożka Francyi, mniej
zadziwiające jeszcze, niż okropna naiwność, która ka-
zała jemu samemu przekazać te rozkazy potomności,
jak gdyby ona również powinna w niego wierzyć.

Kiedy dyktował swą instrukcję, czytając ją z ar-
kusika papieru zapisanego własnoręcznie, głęboki
smutek zdawał się ogarniać go przy każdym słowie;
a kiedy doszedł do końca, padł w głąb swego fotelu
z rękoma skrzyżowanymi i zwieszoną głową.

Ojciec Józef, przerywając swoje pisanie, pod-
niósł się i chciał go zapytać, czy nie zasnął, gdy usły-
szał wychodzące z głębi jego piersi te słowa ponure
i pamiętne:

— Jak wielkie utrapienie! jakie nieokreślone
niepokoje! gdyby chciwy zaszczytów mnie ujrzał, toby
uciekł na puszcze. Czemże jest moja potęga? Nędz-

nym odbłaskiem władzy królewskiej; a ile pracy, aby
skierować na moją gwiazdę ten promień, chwiejący
się nieustannie! Od dwudziestu lat kuszę się o niego
daremnie. Nie pojmuje wcale tego człowieka! nie
śmie uciec odemnie; ale mi go porywają: ślizga mi
się pomiędzy palcami... Ileż to mógłbym uczynić,
gdybym posiadał dziedziczne jego prawa! Lecz użyć
tyle wyrachowań, ażeby się utrzymać w równowadze!
coż pozostanie genialnego dla przedsięwzięć? Trzy-
mam Europę w swych rękach, a jestem zawieszony
na włosku, który drży. Co mi z tego przyjdzie, że
patrzę na karty świata, gdy wszystkie moje sprawy
są zamknięte w moim ciasnym gabinecie? Jego sześć
stóp obszaru sprawia mi więcej trudności w rządach,
niż cała ziemia! Oto czym jest pierwszy minister!
Zazdroście mi teraz moje strażel!

Jego rysy były tak zmienione, że można się
było obawiać jakiegoś wypadku, porwał go bowiem
kaszel gwałtowny i długi, zakończony lekkim plunię-
ciem krwią. Spostrzegł, iż ojciec Józef, przestraszony,
sięgnął po złoty dzwonek, stojący na stole, i pod-
nosząc się nagle z rzeźkością młodzieńca, zatrzymał
go i rzekł doń:

— To nic, Józefie, oddaję się niekiedy zniechę-
ceniu; ale te chwile są krótkie i staję się po nich
silniejszy, niż przedtem. Co do mego zdrowia, znam
je doskonale; lecz nie o to chodzi. Co zrobiłeś w Pa-
ryżu? Jestem zadowolony, że król przybył do Béaru,
jak tego chciałem; będziemy nad nim lepiej czu-
wali. Cóż mu podsunął, aby go skłonić do wy-
jazdu?

— Bitwę pod Perpignanem.

— Proszę, to nieźle. A więc możemy mu ją
urządzić; tyle warte to zastosowanie, co każde inne
obecnie. Lecz młoda królowa, młoda królowa, coż
ona mówi?

— Wścieka się jeszcze na was. Jej kore-

spondencya odkryta, indagacya, której kazałeś ją poddać!...

— Bahl! jeden madrygał i jedna chwila uległości dadzą jej zapomnieć, że rozłączyłem ją z jej domem austriackim i z krajem jej Buckingham. Ale cóż ona robi?

— Nowe intrygi z bratem królewskim. Ale ponieważ te wszystkie zwierzenia są w naszej mocy, oto z nich raporty dzień po dniu.

— Nie zadam sobie trudu, aby je czytać; dopóki książę de Bouillon będzie we Włoszech, nie boję się niczego; może ona marzyć o małych spiskach z Gastonem przy kominku; poprzestaje on zawsze na pięknych zamiarach, miewanych niekiedy, i wykonywa dobrze tylko swoje wymarsze z królestwa, właśnie odbywa trzeci. Ułatwię mu czwarty, kiedy będzie chciał; on nie wart wystrzału pistoletowego, na który pozwoliłeś hrabiemu de Soissons. Ten biedny hrabia nie miał przecież wcale więcej energii.

Tu kardynał, sadowiąc się w swym fotelu, zaczął się śmiać dosyć wesoło, jak na męża stanu.

— Będę się śmiał całe życie z ich wyprawy do Amiens. Trzymali mnie tam obydwaj. Każdy miał pięćset szlachty koło siebie, uzbrojonej od stóp do głów i gotowej wysłać mnie na tamten świat, jak Concini; ale wielkiego Vitry już tam nie było; pozwolili mi mówić przez godzinę najspokojniej z sobą o polowaniu i święcie Bożego Ciała, i ni jeden ni drugi nie śmiał dać znaku wszystkim tym rozbójnikom. Dowiedzieliśmy się później przez Chavigny'ego, że czekali dwa miesiące na tę szczęśliwą chwilę. Co do mnie, prawdę mówiąc, nie zauważyłem nic zupełnie, z wyjątkiem tego łotrzyka księdza de Gondi, który włóczył się koło mnie i wyglądał, jakby coś ukrywał w swym rękawie; to zmusiło mnie wsiąść do karocy.

— Ale, ale! monsignorze, królowa chce go zrobić koadjutorem ¹⁾ koniecznie.

— Szalona! on ją zgubi, jeśli się ona do tego przyłoży; to niedoszły muszkietier, dyabeł w sutannie; czytaj jego „Historię Fiesque'a”, a zobaczysz w niej jego samego. Nie będzie on niczem, dopóki ja żyć będę.

— Jakże to! wydajecie tak dobre sądy, a wprowadzacie innego żadnego zaszczytów w jego wieku?

— Co za różnica! To będzie lalka, mój przyjacielu, prawdziwa lalka z tego młodego Cinq-Marsa; będzie myślał tylko o swej kryzie i swych akselbantach; jego ładny kształt ciała ręczy mi zato, i wiem, że jest łagodny i słaby. Przełożyłem go dlatego nad starszego jego brata; będzie robił, co zechcemy.

— Ah! monsignorze — rzekł ojciec powątpiewająco. — Nie dowierzałem nigdy ludziom, których zachowanie bywa tak spokojne; płomień wewnętrzny jest w nich tem niebezpieczniejszy. Przypomnijcie sobie marszałka d'Effiat, jego ojca.

— Ale, powtarzam, to jeszcze dziecko i ja go wychowam; de Gondi jest już buntownikiem skończonym, zuchwalcem, którego nic nie wstrzyma; on śmiał spółubiegać się ze mną o panią de la Meilleraie, rozumiesz? czy to prawdopodobne, ze mną? Mały księżyna, którego jedynymi zaletami są: cienkie szczelibotanie i wygląd zuchowaty. Szczęściem, że mąż sam się postarał, aby go oddalić.

Ojciec Józef jeszcze mniej lubił, gdy jego pan mówił o swych umizgach do płci pięknej, niż o swoich wierszach, i zrobił grymas, mający być wytwornym, naprawdę zaś tylko brzydki i krzywy; wyobrażał sobie, że wyraz jego ust, wykrzywionych, jak u małpy, oznaczał: Ah! kto może oprzeć się jasnie

¹⁾ Koadjutor—pomocnik biskupa.

oświeconemu panu? Lecz jasnie oświecony wyczytał z nich: Jestem pedlem, który nie wie nic o wielkim świecie i bez przejścia rzekł nagle, biorąc ze stołu list z doniesieniem:

— Książę de Rohan umarł, to dobra wiadomość; hugonoci zgubieni. Szczęście sprzyjało mu bardzo: kazałem go skazać przez parlament Tuluzy na rozerwanie czterema końmi, on zaś umiera spokojnie na polu bitwy pod Rheinfeldem. Ale cóż to szkodzi? wynik ten sam. Oto znów jedna wielka głowa na ziemi! Jakżeż one padały po Montmorencym! Nie widzę już ani jednej, któraby się nie ugięła przedemną. Ukaraliśmy już prawie wszystkich naszych oszustów wersalskich; to pewna, że nie mają mi nic do wyrzucenia; stosuję do nich prawo odwetu i postępuję z nimi, jak oni chcieli postępować ze mną w radzie królowej-matki. Stary gaduła de Bassompierre przypłacił to więzieniem dożywotniem, również jak i morderca marszałek de Vitry, ponieważ głosowali tylko za tą karą na mnie. Co do Marillaca, który radził śmierć, będzie ją miał przy pierwszej niezhętności i polecam ci, Józefie, przypomnieć mi o tem. Pozostaje na nogach jeszcze ten książę de Bouillon, dumny swoim Sedanem, lecz ja mu go odbiorę. To zadziwiająca rzecz to ich zaślepienie! Zda im się wszystkim, że mogą spiskować, a nie widzą, że tylko harcują na końcu nitek, które trzymam w ręku i tylko wydłużam niekiedy, aby im dać powietrza i przestrzeni. A z powodu śmierci swego kochanego księcia hugonoci, jak jeden mąż, musieli podnieść krzyk wielki?

— Mniejszy, niż z powodu sprawy w Loudunie, zakończonej jednak szczęśliwie.

— Co? szczęśliwie? Mam nadzieję, że Grandier nie żyje?

— Tak, to właśnie chciałem powiedzieć. Wasza przewielebność powinna być zadowolona; wszystko skończyło się w dwadzieścia cztery godziny, nie my-

śla już o tem. Tylko Laubardemont postąpił trochę nierozważnie, czyniąc posiedzenie publicznem, to bowiem wywołało małe zamieszanie, ale mamy rysopisy wicherzycieli, którzy są ścigani.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Urban był człowiekiem zanadto wyższym, aby można go tak pozostawić; zwracał się do protestantyzmu; założyłbym się, że byłby skończył na odszczepieństwie; jego dzieło przeciwko bezżeństwu kapłanów kazało mi to przypuszczać; a w wątpliwości, zapamiętaj to, Józefie, trzeba zawsze lepiej ściąć drzewo, nim wyda owoc. Ci hugonoci, widzisz, to prawdziwa rzeczpospolita w państwie, gdyby kiedy mieli większość we Francji, monarchia byłaby zgubiona, ustanowiliby jakiś rząd narodowy, któryby mógł być trwałym.

— A ileż to głębokich trudności przyczyniają codziennie naszemu Ojcu Świętemu, papieżowi! — zawołał Józef.

— Ah! — przerwał kardynał — widzę, do czego zmierzasz: chcesz mi przypomnieć jego upór, że nie daje ci kapelusza. Bądź spokojny, pomówię o tem z nowym ambasadorem, którego wysyłamy do Rzymu. Marszałek d'Estrés otrzyma, ręczę, odrazu to, co się ciągnie od lat dwóch, gdyśmy ciebie przedstawili do kardynalstwa; zacznym również przypuszczać, że w purpurze będzie ci do twarzy, bo nie widać na niej śladów krwi.

I obaj zaczęli się śmiać: jeden jako pan, który przygniata całą swą pogardą najętego siepacza, drugi jako niewolnik, przygotowany na wszystkie upokorzenia, mogące go wywyższyć.

Śmiech, wywołany krwawym żartem starego ministra, trwał jeszcze, gdy drzwi gabinetu się otworzyły i paż oznajmił wielu gońców, przybywających naraz z miejsc rozmaitych; ojciec Józef podniósł się i stojąc z plecami opartymi o mur, jak mumia egipska, zdradzał swoją twarzą jeno głupowate zamyslenie. Dwunastu posłów weszło kolejno w rozmaitych

przebraniach: jeden wyglądał na żołnierza szwajcarskiego, drugi jak markietan, trzeci jak majster mularski; wprowadzani do pałacu schodami i korytarzem potajemnym, wychodzili z gabinetu drzwiami nawprost tych, którymi wchodzili, nie mogąc się spotkać ani udzielić sobie nic ze swych doniesień. Każdy z nich składał paczkę papierów zwiniętych lub złożonych na wielkim stole, rozmawiał przez chwilę z kardynałem we framudze okna i odchodził. Richelieu powstał nagle przy wejściu pierwszego posłannika, a ponieważ wszystko zawsze sam robił, przyjął więc wszystkich, wysłuchał i zamknął własnoręcznie za nimi drzwi wyjściowe. Po wyjściu ostatniego dał znak ojcu Józefowi i nie mówiąc słowa, obaj otworzyli albo raczej rozerwali paczki z doniesieniami i powiedzieli sobie w krótkości, co zawierały owe listy.

— Książę Wejmarski nie ustaje w swych zwycięstwach, książę Karol został pobity, usposobienie naszego generała dosyć dobre, oto dowcipy, którymi sypał przy obiedzie. Jestem zadowolony.

— Monsignorze, wicehrabia Tureniusz odebrał miejsca obronne Lotaryngii; oto jego rozmowy osobiste...

— Ah! pomiń, pomiń to: nie mogą być niebezpieczne. Będzie to zawsze dobry i uczciwy człowiek, nie wtrąca się bowiem wcale do polityki; byle mu dano małe wojsko do rozporządzenia, jak w party szachów, wszystko jedno przeciw komu, jest zadowolony; będziemy zawsze dobrymi przyjaciółmi.

— Oto Długi Parlament, trwający jeszcze w Anglii. Izba deputowanych prowadzi dalej swój projekt; oto rzeź w Irlandyi... Hrabia Strafford został skazany na śmierć.

— Na śmierć! to okropność!

— Czytam: „Jego Królewska Mość Karol I nie miał odwagi podpisać wyroku, ale wyznaczył czterech komisarzy...”

— Słaby królu, opuszczam ciebie. Nie dosta-

niesz już od nas pieniędzy. Giń, bo jesteś niewdzięczny!... Oh, nieszczęsny Wenworth!

I łza zabłysła w oku Richelieu'go; ten sam człowiek, co igrał z życiem tylu innych, płakał nad ministrem, opuszczonym przez swojego monarchę. Stosunek tego położenia do własnego dziwnie go uderzył, i oto samego siebie opłakiwał w tym obcym.

Przestał czytać głośno depesze i przejrzał z sumienną uwagą wszystkie raporty szczegółowe czynności najdrobniejszych i najtajniejszych każdej osobistości nieco ważnej; raporty owe kazał zawsze dołączać do swych wiadomości przez swoich zręcznych szpiegów. Dodawano je do depesz króla, które musiały wszystkie przechodzić przez ręce kardynała, potem starannie składano je napowrót, nim doszły do panującego w takiej postaci, w jakiej chciano mu je dać do czytania. Uwagi osobiste zostały po przeczytaniu spalone przez ojca Józefa. Kardynał jednak nie zdawał się wcale zadowolony: chodził wzdłuż i wszerz po sali niespokojnie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł goniec trzynasty. Ten nowy posłannik wyglądał na dziecko czternastoletnie zaledwie; trzymał on pod pachą paczkę z czarną pieczęcią dla króla i podał kardynałowi bilecik, na którym Józef mógł dostrzedz ukradkiem tylko cztery słowa. Richelieu zadrżał, podał go na drobne kawałki i, nachylając się do ucha dziecka, mówił do niego dosyć długo bez odpowiedzi i tylko Józef dosłyszał ostatnie słowa kardynała, gdy ten już wyprowadzał chłopca z sali:

— Zwracaj na to dobrze uwagę, nie przedzej, niż za dwanaście godzin.

Podczas tego na stronie ojciec Józef był zajęty chowaniem niezliczonej ilości paszkwilów, nadsyłanych z Flandryi i Niemiec, które minister chciał widzieć, jakkolwiek były przykre dla niego. Udawał w tym względzie filozofa, chociaż był od niego daleki, i aby dać złudzenie tym, co go otaczali, udawał nie-raz, że nie odmawia swym wrogom zupełnie słuszno-

ści i że się śmieje z ich żartów; tymczasem ci, co byli świadomi lepiej jego charakteru, poznawali głęboką wściekłość pod tem udaniem umiarkowaniem i wiedzieli, że był zadowolony dopiero, gdy kazał skazać przez parlament wrogą książkę na spalenie na placu w Paryżu, gdzie tracono winowajców, jako obelżywą dla króla w osobie jego ministra, przewielebnego kardynała, jak świadczą wyroki owego czasu, i że jedynie żałował tego, iż autor nie zastępował dzieła; takie zadośćuczynienie sprawiał sobie, kiedy mógł, jak zrobił to z Urbanem Grandier.

Tak to mścił się za swą olbrzymią pychę, nie przyznając się do tego przed sobą samym i pracując długo, przez rok czasami, aby wmówić w siebie, że tu dobro państwa było zagrożone. Dowcipny w połączeniu swych spraw osobistych z interesami Francji, wmówił sam w siebie, że krwawiła się ranami, które otrzymywał. Józef, bardzo uważny, aby nie wyzywać jego złego humoru w tej chwili, odłożył na bok i ukrył książkę pod nagłówkiem: „Tajemnice polityczne kardynała z Roszelli”, oraz przypisywane jakimś mnichowi z Monachium: „Płaskie dowcipy, zastosowane do czasu obecnego i bezbożność krwawa bożka Marsa.” Przezacny palestrant Aubry, który nam zostawił jedną z najwierniejszych historyj przewielebnego kardynała, oburza się na sam nagłówek pierwszej z tych książek i woła, że „wielki minister miał słuszny powód szczycić się, że ci nieprzyjaciele, natchnieni wbrew swej woli tym samym zachwytem, co pozwalał udzielać wyroczni oślicy Balaama, Kaiffe, oraz innym, zdającym się być jeszcze mniej godnymi daru proroctwa, nazywali go kardynałem Roszelli, gdyż on w trzy lata później opanował to miasto, tak jak Scipion został nazwany Afrykańskim za podbicie tej prowincyi.”

Mało brakowało, aby ojciec Józef, oczywiście piastujący te same idee, nie wyraził w tych samych wyrazach swego oburzenia, bo przypominał sobie

z boleścią śmieszną stronę swego udziału w oblężeniu Roszelli, która nie będąc wcale prowincją, jak Afryka, pozwoliła sobie stawić opór przewielebnemu kardynałowi, chociaż ojciec Józef chciał przeprowadzić wojska przez kanał, mając pretensję do pewnej zdolności w sztuce wojennej. Jednakże wstrzymał się i miał czas jeszcze ukryć paszkwil szyderski w kieszeni szarej swojej sukni, zanim minister odprawił swego młodego posłannika i wrócił odedrzwiz do stołu.

— W drogę, Józefie, w drogę! — powiedział. — Otwórz drzwi całemu temu dworowi, który mnie oblega i jedźmy do Perpignan, gdzie król mnie oczekuje; trzymam go teraz na zawsze.

Kapucyn wyszedł i wkrótce paziowie, otwierając podwójne drzwi złoczone, oznajmili kolejno największych magnatów owej epoki, przybyłych za zgodą króla w celu pozdrowienia ministra; niektórzy nawet pod pozorem choroby lub spraw służbowych pojechali ukradkiem, aby nie być ostatnimi w jego przedpokoju i smutny monarcha znalazł się w takim osamotnieniu, w jakim inni królowie widzą zwykle siebie tylko na łożu śmierci; ale zdawało się, iż tron był jego łożem śmiertelnym, jego panowanie ciąglem konaniem, a jego minister groźnym następcą. Dwóch paziów z najlepszych domów Francji stało przy drzwiach, gdzie woźni oznajmiali każdą osobistość, którą w sali przedniej witał już ojciec Józef. Kardynał, siedzący ciągle w swym wielkim fotelu, pozostawał nieruchomy dla ogółu dworzan, witał skinięciem głowy najznakomitszych i tylko wobec książąt pomagał sobie obiema rękami, aby się trochę podnieść; każdy dworzanin kłaniał mu się nisko i stając przed nim przy kominku, czekał, aż do niego przemówi, następnie, stosownie do znaku danego przez kardynała, obchodził dalej salę, aby wyjść temi samymi drzwiami, które wchodził, pozostawał przez chwilę, aby się pożegnać z ojcem Józefem, miłują-

cym swego pana i przezwanym dlatego Szarą eminen-
cya, i wychodził w końcu z pałacu, albo też stawał
rzędem za fotelem kardynała, jeśli ten go zapraszał,
co było oznaką największej łaski. Pozwolił przejść
naprzód kilku osobistościom nieznacznym i wielu za-
sługom zbyt cennym i zatrzymał tę procesję dopiero
na marszałku d'Estrées, który, jadąc jako poseł do
Rzymu, przybył go pożegnać; wszystko, co szło za
nim, stanęło w pochodzie. Ten zwrot uwiadomił prze-
dnią salę, że się zawiązała dłuższa rozmowa; ojciec
Józef, ukazując się, zamienił z kardynałem spojrze-
nie, mówiące z jednej strony: Pamiętajcie o przyrzeczeniu,
uczynionem mi niedawno, z drugiej: Bądź spokojny.
Jednocześnie zręczny Kapucyn dał poznać swemu
panu, że trzyma pod ramię jedną z jego ofiar i przy-
gotowuje, aby została uległem narzędziem; był to
młody szlachcic, ubrany w płaszcz zielony, bardzo
krótki i kaftan tej samej barwy, w spodnie czerwone,
bardzo obcisłe, spięte u dołu złotemi podwiązkami;
zwykły ubiór paziów brata królewskiego. Ojciec Jó-
zef mówił do niego bardzo pocichu, ale wcale nie
w sprawie swego pana, marzył tylko, aby zostać
kardynałem i przygotowywał sobie inne poparcie
w razie zdrady ze strony pierwszego ministra.

— Powiedzcie bratu królewskiemu, aby nie ufał
pozorom i że nie ma wierniejszego nademnie sługi.
Kardynał zaczyna opadać na siłach i uważam za obo-
wiązek mego sumienia uwiadomić o jego błędach te-
go, co mógłby odziedziczyć władzę królewską pod-
czas małoletności. Aby dać waszemu wielkiemu księ-
ciu dowód mojej dobrej wiary, powiedzcie mu, iż
chcą kazać aresztować Puy-Laurensa, który mu jest
oddany, niechaj go ukryje, bo kardynał wsadzi go
także do Bastylii.

Podczas gdy sługa zdradzał tak swego pana,
pan nie pozostawał w tyle i zdradzał swego sługę.
Jego miłość własna i reszta szacunku dla Kościoła
sprawiały mu cierpienie na myśl ujrzenia godnego

agenta, ubranego w ten sam kapelusz, co był koroną
dla niego, i siedzącego tak wysoko, jak on sam, do
tego przy czasowym urzędzie ministra. Mówiąc tedy
półgłosem do marszałka d'Estrées:

— Nie jest konieczne — rzekł mu — uprzykrzać
się dłużej Urbanowi VIII dla tego Kapucyna, którego
tam widzicie; dość już, iż Jego Królewska Mość ra-
czyła przedstawić go do kardynałstwa, pojmujemy od-
razę jego Świątobliwości do okrycia tego żebraka pur-
purą rzymską.

Potem, przechodząc do rzeczy ogólnych:

— Nie wiem doprawdy, co mogło oziębic Ojca
Świętego względem nas; cóżesmy uczynili, coby nie
było dla chwały naszej świętej matki, Kościoła kato-
lickiego? Ja sam odprawiłem pierwszą mszę w Ro-
szelli i widzicie to swemi oczyma, panie marszałku,
nasz habit jest wszędzie, nawet w waszym wojsku;
kardynał de la Valette dowodził właśnie chwalebnie
w Palatynacie.

— I właśnie wykonał bardzo ładny odwrót —
powiedział marszałek, kładąc lekko nacisk na wyrazie
odwrót.

Minister ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na
to słówko zazdrości zawodowej, i podnosząc głos:

— Bóg okazał, że nie odmawia ducha zwycięż-
stwa swoim Lewitom, bo książę wejmarski nie przy-
czynił się potężniej do zawojowania Lotaryngii, niż
ten pobożny kardynał, a nigdy nasza armia morska
nie była dowodzona lepiej, niż przez naszego arcypi-
skupa z Bordeaux pod Roszellą.

Wiedziano, że wówczas minister był dosyć roz-
goryczony na tego prałata, którego wyniosłość i buta
wywołały dwie sprawy dość nieprzyjemne w Bordeaux.
Przed czterema laty książę d'Épernon, ówczesny wiel-
korządca Guyenny, na czele wszystkiej swojej szlachty
i swoich żołnierzy, spotkawszy idącego pośród kleru
w procesyi, nazwał go obelżywie i zadał mu dwa ude-
rzenia laską bardzo silne, za co arcybiskup rzucił na

niego klątwę; a niedawno jeszcze, mimo tej nauki miał sprzeczkę z marszałkiem de Vitry, od którego dostał dwadzieścia uderzeń laską lub kijem, jak wam się podoba, pisał książkę kardynał do kardynała de la Valette, dodając: „zdaje mi się, że on chce zapęlić Francję wyklętymi.” Wistocie, rzucił klątwę jeszcze na kij marszałka, przypominając sobie, że niegdyś papież zmusił księcia d'Épernon, aby prosił go o przebaczenie; ale Vitry, który kazał zamordować marszałka d'Ancre, był za bardzo dobrze widziany na dworze z tego powodu, i arcybiskup został pobity, a nadto złajany przez ministra.

Imci pan d'Estrées pomyślał więc dosyć trafnie, że mogło być nieco szyderstwa w owych pochwałach kardynała dla zdolności wojennych i morskich arcybiskupa i odpowiedział najspokojniej:

— Rzeczywiście, monsignorze, nikt nie może powiedzieć, iż on właśnie na morzu został pobity.

Jego przewielebność nie mogła wstrzymać się od uśmiechu; ale widząc, iż elektryczne wrażenie tego uśmiechu wywołało wesołość na sali, oraz szepty i domysły, powrócił do całej swojej powagi natychmiast, i biorąc poufale marszałka pod ramię, odezwał się:

— No, no, panie ambasadorze, macie dobrą odpowiedź. Z wami nie bałbym się kardynała Albornosa, ani wszystkich Borgiów świata, ani wszystkich usiłowań Hiszpanii przy Ojcu Świętym.

Poczem, podnosząc głos i patrząc wokoło siebie, jakby dla zwrócenia się do sali milczącej i zniewolonej:

— Spodziewam się—ciągnął dalek—że nie będą już nas prześladowali, jak ongi, za wejście w słuszne przymierze z jednym z największych ludzi naszego czasu, lecz Gustaw Adolf umarł, król katolicki nie będzie już miał powodu prosić usilnie o rzucenie klątwy na króla arcychrześcijańskiego. Czyż nie jesteście mojego zdania, mój drogi panie?—rzekł, zwraca-

jąc się do kardynała de La Valette, który się zbliżał i na szczęście nie słyszał nic o sobie.—Mości panie d'Estrées, zostańcie przy naszym fotelu, mamy wam jeszcze wiele do powiedzenia, a nie jesteście zbyt tacy we wszystkich naszych rozmowach, gdyż nie mamy tajemnic; nasza polityka jest otwarta i jasna; dobro Jego Królewskiej Mości i państwa-oto wszystko.

Marszałek złożył ukłon głęboki, stanął za siedzeniem ministra i ustąpił swego miejsca kardynałowi de La Valette, który, nie przestając bić czołem i pochlebiać, i przysięgać poświęcenia, i zupełnego posłuszeństwa Richelieu, jakby dla odpokutowania za sztywność ojca swego, księcia d'Épernon, otrzymał także od kardynała kilka tylko słów nieznaczących i wyrzeczonych z roztargnieniem, bo Richelieu nie przestawał patrzeć na drzwi, jaka osoba następowała po nim.

Na domiar złego książę-kardynał przerwał mu nagle, wołając w najpochlebniejszej chwili jego mowy słodko-ckliwej:

— Ach, to wy nareszcie, mój drogi Fabert. Jakże pragnąłem widzieć się z waćpanem, aby pomówić o oblężeniu.

Generał powitał porywczo i dość niezręcznie kardynała, naczelnego wodza i przedstawił mu oficerów, przybyłych z nim z pola walki. Opowiadał jakiś czas o działaniach przy oblężeniu, a kardynał zdawał się mu do pewnego stopnia nadszakać, aby go przygotować do przyjęcia później jego rozkazów na samem polu walki; mówił do oficerów, którzy szli za nim, nazywając ich po imieniu i zapytując, co słychać w obozie.

Wszyscy stanęli rzędem, aby zrobić przejście księciu d'Angoulême: ten Walezyusz po walce z Henrykiem IV bił czołem przed kardynałem. Prosił go o większe dowództwo, gdyż miał tylko trzeciorzędne przy oblężeniu Roszelli. Za nim ukazał się młody Mazarin, zawsze zręczny i ujmujący, lecz już ufny

w swoje szczęście. Po nich przyszedł książę d'Hal-luin; kardynał przerwał składane im powinszowania, aby rzec do nich głośno:

— Mości książę, donoszę wam z przyjemnością, że król stworzył dla was urząd marszałka Francji; będziecie się podpisywali Schomberg, nieprawdaż? W Leucate, oswobodzonym przez was, tak myślą. Ale przepraszam, oto imci pan de Montauron, który ma mi niewątpliwie coś do powiedzenia.

— Oh, mój Boże, nie, jaśnie oświecony panie, chciałem tylko powiedzieć wam, że ten biedny młodzieniec, którego raczyliście przyjąć na swoje usługi, umiera z głodu.

— Ach, jakto w tej chwili mówicie mi o podobnych rzeczach! Wasz mały Corneille nie chce nic robić; dotąd widzieliśmy tylko Cyda i Horacyuszów; niech pracuje, wiadomo, że jest moim, to nieprzyjemne dla mnie samego. Tymczasem, ponieważ się nim zajmujecie, wyznaczę mu pensję pięćset talarów z mojej szkatuły.

I skarbnik oszczędności odszedł, zachwycony hojnością ministra i udał się do autora, aby przyjąć dość łaskawie dedykację „Cynny,” gdzie wielki Corneille porównywał jego duszę do duszy Augusta i dziękuje mu, że dał jałmużnę kilku Muzom.

Kardynał, zmieszany tem natręctwem, podniósł się, mówiąc, że przyjęcie ranne zanadto się przedłużyło i że czas jechać do króla.

W tejże chwili, kiedy najwięksi magnaci zbliżyli się, aby mu pomódz iść, jakiś człowiek w sukni referendarza w radzie stanu podszedł do niego, witając uśmiechem zachęcającym i śmiałym, który zadziwił wszystkich, przywykłych do wielkiego świata; zdawał się mówić: „Mamy wspólne potajemne sprawy, zobaczycie, jak będzie mi dobrze; jestem u siebie w jego gabinecie.” Jego obejście, ciężkie i niezgrabne, zdradzało przecież istotę najniższą: był to Laubardemont.

Richelieu zmarszczył brwi, widząc go przed sobą, i spojrział piorunująco na Józefa; a zwracając się do tych, co go otaczali, rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Czyż jest jaki zbrodzień koło nas?

Poczem odwrócił się do niego tyłem i zostawił czerwieniącego od swojej sukni; i poprzedzony tłumem osób, które miały mu towarzyszyć w powozie lub konno, zeszedł po wielkich schodach arcybiskupstwa.

Wszystka ludność Narbonne, oraz jej władze, patrzyły z osłupieniem na ten odjazd królewski. Kardynał sam wsiadł do przestronnej i obszernej lektyki, kształtu czworobocznego, i tak musiał podróżować aż do Perpignanu, jego ułomności nie pozwalały mu bowiem ani jechać powozem, ani odbywać tej całej drogi konno. Ten rodzaj izby przenośnej zawierał łóżko, stół i krzesółko dla paza, który miał pisać albo mu czytać. Ten przyrząd, pokryty adamaszkiem barwy purpurowej, był niesiony przez osiemnastu ludzi, luzujących się co mila; byli oni wybrani z jego straży i spełniali tę zaszczytną służbę zawsze z odkrytą głową, czy to było gorąco, czy deszcz. Książę d'Angoulême, marszałkowie de Schomberg i d'Estrées, Fabert, oraz inni dostojnicy jechali konno przy drzwiczkach. Odróżniano kardynałów de La Valette i Mazariniego między najusłużniejszymi, jak również Chavigny'ego i marszałka de Vitry, który starał się uniknąć grożącej mu podobno Bastylii.

Dwie karoce postępowały z tyłu dla sekretarzy kardynała, jego lekarzy i spowiednika; osiem pojazdów i cztery konie dla jego szlachty i dwadzieścia cztery muły dla jego rzeczy; dwustu muszkieterów pieszych towarzyszyło mu po bokach; jego oddział żołnierzy z gwardyi i jego lekka jazda, wszystko szlachta, postępowały z przodu i z tyłu na wspaniałych rumakach.

W takim to orszaku pierwszy minister jechał kil-

ka dni do Perpignanu. Rozmiary lektyki zmusiły wielokrotnie do rozszerzenia dróg i zburzenia murów „kilku miast i miasteczek,” któredy nie mogła przejść, tak, że mówią twórcy rękopisów z owego czasu, wszyscy pełni szczerego zachwytu dla tego zbytku, „tak, że zdawał się zdobywcą, który wchodzi przez wyłom.”

Napróżno szukaliśmy z wielką starannością jakiegoś rękopisu właścicieli lub mieszkańców domów, co się rozstępowały na jego przejście, gdzieby ten sam zachwyt był okazywany i wyznajemy, że nie mogliśmy nic znaleźć.

ROZDZIAŁ VIII.

W I D Z E N I E.

Mój geniusz zdziwiony drży
wobec jego.

Wspaniały orszak kardynała zatrzymał się przy wejściu do obozu; wszystkie wojska pod bronią stały rzędem w najładniejszym porządku i przy huku dział i muzyce każdego z kolei pułku lektyka mijała długie szpaler jazdy i piechoty, utworzony od pierwszego namiotu aż do namiotu ministra, położonego w pewnej odległości od kwatery królewskiej, widocznej zdaleka po okrywającej ją purpurze. Każdy dowódca oddziału otrzymywał znak lub słowo od kardynała, który nakoniec, przybywszy do swego namiotu, pożegnał swój orszak i zamknął się, aby oczekiwać godziny przedstawienia się królowi. Lecz przed nim każda osoba z jego konwoju udała się tam pojedynczo i nie wchodząc do mieszkania królewskiego, wszyscy czekali w długich galeryach, okrytych cwylichem dźwiękowym i rozmieszczonych jak aleje, wiodące do króla. Dworacy spotykali się tam i przechadzali grupami, witali się i podawali sobie ręce, lub spoglądali na siebie wyniośle, według swych stosunków lub ma-

gnatów, do których należeli. Inni szeptali długo i okazywali zdziwienie, przyjemność albo zły humor, co było znakiem, że zaszło coś nadzwyczajnego. Szczególny dyalog, między tysiącem innych, zawiązał się w jednym rogu galeryi głównej.

— Mogę wiedzieć, mości księżu, dlaczego pa-trzycie na mnie w sposób tak śmiały?

— Do licha, mości panie de Launay, dlatego, że ciekaw jestem zobaczyć, co będziecie robili. Wszy-scy opuszczają waszego księcia-kardynała od czasu waszej podróży do Turenii; nie myślicie o tem, po-mówcie więc ze stronnikami brata królewskiego albo królowej; spóźniliście się o dziesięć minut według zegarka kardynała; de La Valette już podał rękę do zgody Rochepotowi, oraz wszystkiej szlachcie niebo-szczyka hrabiego de Loissons, którego będę opłakiwał całe życie.

— To dobrze, mości de Gondi, dość powiedzie-liście, to wyzwanie przynosi mi zaszczyt.

— Tak, panie hrabiol — odparł młody ksiądz, kłaniając się z całą powagą ówczesną — szukałem spo-sobności, aby was wyzwąć w imieniu imci pana d'Atti-chi, mego przyjaciela, gdyż mieliście z nim jakieś zaj-scie w Paryżu.

— Mości księżu, jestem na wasze rozkazy, idę starać się o świadków, wy starajcie się o nich ze swojej strony.

— Konno, pistolet i szpada, nieprawdaż? — do-dał Gondi z taką miną, jakby układał jakąś wy-cieczkę wiejską, otrzepując z pyłu rękaw od sutanny palcem.

— Jak wam się podoba — odrzekł drugi.

I rozeszli się na chwilę, żegnając z wielką grzecznością i głębokimi ukłonami.

Świetny zastęp młodej szlachty chodził tam i z po-wrotem koło nich w galeryi. Złączyli się z nim, aby odnaleźć swoich przyjaciół. Cała wytworność strojów ówczesnych była rozwinięta przez dwór tego rana:

pląszechy wszelkich barw z atlasu lub aksamitu, haftowane złotem lub srebrem, krzyże Św. Michała lub Św. Ducha, kryzy, liczne pióra przy kapeluszach, złote akselbanty, łańcuchy podtrzymujące długie szpa-dy, wszystko świeciło, wszystko iskrzyło się, mniej przecież od błysku oczów tej młodzieży wojowniczej, od ich mowy żywej, ich śmiechów dowcipnych i gło-śnych. Pośród tego zgromadzenia przechadzały się wolno osoby poważne i wielcy magnaci, za którymi szła liczna ich szlachta.

Księżulek de Gondi, krótkowidzący, przechadzał się w tłumie, marszcząc brwi, przysmykając nawpół oczy, aby widzieć lepiej, i podkręcając wasa, bo księ-ża nosił je wówczas. Patrzył każdemu w oczy, aby poznać swych przyjaciół, i zatrzymał się w końcu przy młodzieńcu bardzo wysokiego wzrostu, ubranym czarno od stóp do głowy, bo nawet jego szpada była ze stali brązowanej bardzo czarnej. Rozmawiał z ka-pitanem gwardyi, kiedy ksiądz de Gondi odciągnął go na stronę:

— Mości panie de Thou — rzekł doń — będę was potrzebował za godzinę na sekundanta, konno, pistolet i szpada, jeśli chcecie uczynić mi ten za-szczyt...

— Wasza cześć wie, iż jestem mu oddany zu-pelnie i w każdym wypadku. Gdzie się spotkamy?

— Przy hiszpańskim bastyonie, jeśli łaska.

— Wybaczcie, że wracam do zajmującej mnie bardzo rozmowy.

I de Thou odszedł od niego, aby wrócić do ka-pitana. Powiedział to wszystko głosem nader łago-dnym, z najspokojniejszą zimną krwią i pewnem na-wet roztargnieniem.

Księżulek uścisnął mu rękę z żywą wdzięczno-ścią i udał się na dalsze poszukiwanie.

Nie było mu tak łatwo dokonać układu z mło-dymi magnatami, do których się zwrócił, gdyż ci znali go lepiej, niż imćpan de Thou, i zdaleka widząc, że

nachodzi, starali się go uniknąć, albo śmieli się z nim z niego samego i nie śpieszyli wcale z usługą.

— I cóż! księżę, znów szukasz; założę się, że potrzeba ci sekundanta? — rzekł książę de Beaufort.

— A ja zakładam się — dodał imépan de La Rochefoucauld — że to przeciw komuś od księcia kardynała.

— Macie słuszość obaj, moi panowie; lecz odkąd to śmiejecie się ze spraw honorowych?

— Niech Bóg mnie uchwali! — odparł imépan de Beaufort — my, wojskowi, poważamy zawsze tercję, kwartę i oktavę; ale co do fałd sutanny, nie wiem nic o nich.

— Do kroćset, mości panie, wiecie dobrze, iż ona nie przeszkadza pięści, i dowiodę tego, kto zechce. Czekam zresztą tylko, aby porzucić habit.

— Więc aby go podrzeć, bijecie się tak często? — rzekł La Rochefoucauld. — Ale pamiętajcie, drogi księżę, iż wy jesteście pod nim.

Gondi odwrócił się tyłem, patrząc na zegar i nie chcąc tracić więcej czasu dla złośliwych żartów; lecz nie lepiej powiodło mu się gdzieindziej; gdy bowiem zaczął dwóch szlachciców młodej królowej, sądząc, że są niezadowoleni z kardynała, i będą szczęśliwi, mogąc się zmierzyć z jego stronnikami, jeden odezwał się do niego bardzo poważnie:

— Mości de Gondi, czy wiecie, co się stało? Król powiedział głośno: „Czy nasz rozkazujący kardynał chce, czy nie, wdowa Henryka Wielkiego nie zostanie dłużej na wygnaniu”. Rozkazujący, mości księżę, czy to rozumiecie? Król nie powiedział jeszcze nic tak silnego przeciw niemu. Rozkazujący! to zupełna niełaska. Doprawdy, nikt nie będzie śmiał mówić do niego; opuści dwór zapewne dzisiaj.

— Mówiono mi o tem, ale mam jedną sprawę...

— To szczęśliwie dla was, że na bardzo krótko zatrzymał bieg waszego życia.

— Sprawę honorową...

— Gdy tymczasem Mazarin jest wam...

— Ale czy chcecie, czy nie chcecie mnie wysłuchać?

— Ah! chociaż jest wam przychylny, wasze przypadki nie mogą mu wyjść z głowy, zwłaszcza wasz pojedynek z imépanem de Coutenan i ładna śpilczareczka; mówił nawet o tem do króla. No, no, kochany księżę, bądź zdrow, jesteśmy bardzo zajęci; bądź zdrow...

I wziawszy pod ramię swego przyjaciela, młody szyderca, nie słuchając więcej ani słowa, odszedł szybko wzdłuż galeryi i zginął w tłumie przechodniów.

Biedny ksiądz stanął zafrasowany wielce: nie mógł znaleźć drugiego sekundanta, i patrzył smutnie na uchodzącą godzinę i tłum, gdy spostrzegł jakiegoś młodego szlachcica, siedzącego przy stole i opartego na łokciu, z miną melancholijną. Miał on na sobie ubiór żałobny, nie oznaczający żadnego związku szczególnego z jakimś wielkim domem lub zgromadzeniem; i wyczekując jakby bez niecierpliwości chwili przyjęcia u króla, patrzył niedbale na otaczających, i zdawał się ich nie widzieć i nie znać z nich żadnego.

Gondi, rzuciwszy nań okiem, zaczął go bez wahania:

— Zaprawdę, nie mam zaszczytu znać waszej miłości; lecz partya fechtunku nie może się nigdy nie podobać człowiekowi dobrze wychowanemu; i jeżeli chcecie być moim sekundantem, za kwadrans będziemy na łące. Jestem Paweł de Gondi i wyzwalam imépana de Launay, stronnika kardynała, bardzo goznego zresztą człowieka.

Nieznajomy nie okazał najmniejszego zdziwienia, i odrzekł, nie zmieniając postawy:

— A któż są jego sekundanci?

— Doprawdy, nie wiem nic o tem; ale co was obchodzi, kto jemu służyć będzie? nie wyjdziemy na tem gorzej z jego przyjaciółmi za danie im małego sztychu ostrym końcem.

Nieznamy uśmiechnął się niedbale, pogładził przez chwilę swe długie ciemne włosy i patrząc na duży okrągły zegarek, wiszący mu u pasa, rzekł:

— W rzeczy samej, mości panie, ponieważ nie mam nic lepszego do roboty i nie mam tutaj przyjaciół, idę z wami: wolę to, niż co innego.

I biorąc ze stołu swój szeroki kapelusz z czarnymi piórami, poszedł wolno za wojowniczym księdzem, który śpieszył przed nim i odwracał się, aby go przynaglić, jak dziecko, biegnące przed swym ojcem.

Tymczasem dwóch woźnych w liberyi królewskiej odchyliło wielkie zasłony, dzielące galeryę od namiotu króla, i cisza zapanowała wszędzie. Zaczęto wchodzić kolejno i powoli do kwatery monarszej. Król przyjął łaskawie cały swój dwór i sam oświadczył się z gotowością służenia we wszystkim każdej wprowadzonej osobie.

Przed maleńkim stolikiem, otoczonym złocistymi fotelami, stał król Ludwik XIII, otoczony wielkimi dostojnikami korony; jego strój był bardzo wytworny: rodzaj kaftana barwy szamoa, z otwartymi rękawami i ozdobionymi akselbantami i wstążkami niebieskimi, okrywał go aż do pasa. Spodnie szerokie i fałdujące się spadały mu tylko do kolan, a ich materya, żółta w czerwone paski, była ozdobiona u dołu niebieskimi wstążkami. Jego buty, jak u kniusznych, nie wznoszące się wyżej nad trzy palce od kostki u nogi, były podszyte obficie koronkami, a tak szerokie, że zdawało się, król stał w nich, jak kwiat w wazonie. Krótki płaszczyk z niebieskiego aksamitu, z wyhaftowanym krzyżem Ducha Świętego okrywał lewą rękę króla, opartą na gałce od szpady.

Miał głowę odkrytą i było widać doskonale jego bladą i szlachetną twarz, oświetloną przez słońce, przedostające się z góry do namiotu. Spiczasta bródka, jaką wtedy noszono, przedłużała jeszcze wychudłe jego lica, ale zwiększając także wyraz melancholijny; po wyniosłem jego czole, po starożytnym jego profilu, po orlim jego nosie, można było poznać w nim księcia z wielkiego rodu Bourbonów; miał wszystko po swoich przodkach, oprócz wzroku: jego oczy były jakby zaczerwienione od łez i zaćmione sennością nieustanną, a ta niepewność jego wzroku nadawała mu wygląd trochę błędny.

Ze szczególnem upodobaniem przywoływał w tej chwili do siebie i słuchał z uwagą największych przyjaciół kardynała, którego spodziewał się lada chwila, przechylając się nieco z jednej nogi na drugą, co było dziedzicznym przyzwyczajeniem jego rodziny; mówił dosyć szybko, lecz przerywał sobie, aby uczynić wdzięczny znak głową lub ręką do tych, co przed nim przechodzili, kłaniając mu się nisko.

Już dwie godziny tak defilowano przed królem, a kardynał się nie zjawiał; cały dwór był zgromadzony i skupiony po za monarchą i w galeryach dookoła namiotu; coraz dłuższy przeciąg czasu zaczął przedzierać imiona dworzan, o których oznajmiano donośnym głosem.

— Nie ujrzymyż naszego kuzyna kardynała? — rzekł król, zwracając się i patrząc na Montrésora, dworzanina brata królewskiego, jakby dla zachęcenia go do odpowiedzi.

— Najjaśniejszy panie, przypuszczają, że jest bardzo chory w tej chwili — odparł tenże.

— I zdaje mi się, że tylko wasza królewska mość może go wyleczyć — dodał książę de Beaufort.

— Leczymy tylko ze skrofutów — rzekł król — a choroby kardynała są zawsze tak tajemnicze, że przynajmniej się do zupełnej ich nieznajomości.

Król próbował już zdaleka wyzywać swego ministra, nabierając sił w żartach, aby zerwać lepiej nieznosne jarzmo, tak trudne do usunięcia. Zdawało mu się niemal, że mu się w tem powiodło i podchocony wesołą miną tych, co go otaczali, już sobie winał w duchu, że umiał zagarnąć władzę najwyższą, i używał w tej chwili całej siły, jaką sobie przypisywał. Mimowolny niepokój w głębi serca mówił mu wprawdzie, że po tej godzinie cały ciężar państwa spadnie na niego samego; lecz rozmawiał, aby w sobie zagłuszyć tę myśl natrętą i kryjąc przed sobą samą swą niemoc do panowania, nie pozwał już bujać swojej wyobraźni co do wyniku przedsięwzięć, zmuszając w ten sposób samego siebie do zapomnienia o utrudzających drogach, jakie mogą do nich prowadzić. Szybkie zdania następowały po sobie na jego ustach.

— Weźmiemy wkrótce Perpignan — rzekł zdaleka do Faberta. — I cóż, kardynale, Lotaryngia nasza — dodał do la Valette'a.

Potem dotykając ramienia Mazariniego:

— Nie tak trudno, jak sądzą, rządzić całem królestwem, nieprawdaż?

Włoch nie miał tyle zaufania, co ogół dworzan, do niełaski kardynała, i odparł, nie narażając się:

— Ah! najjaśniejszy panie, ostatnie powodzenia waszej królewskiej mości, wewnątrz i zewnątrz kraju, dowodzą dostatecznie, jak jesteś zręczny w wyborze swych narzędzi i w kierowaniu niemi, oraz...

Lecz książę de Beaufort, przerywając mu z tą ufnością, tym głosem podniesionym i tym wyglądem, przez które zasłużył sobie w następstwie przezwisko „Ważnego”, wykrzyknął głośno:

— Dalibóg, najjaśniejszy panie, trzeba tylko chcieć; naród daje się prowadzić za pomocą ostrogi i cugli; a ponieważ jesteśmy wszyscy dobrymi jeźdźcami, trzeba jeno wybrać z pomiędzy nas wszystkich.

Ten piękny występ zakochanego w sobie człowieka nie zdążył wywołać należytego wrażenia, bo dwóch woźnych oznajmiło jednocześnie:

— Jego przewielebność!

Król zarumienił się mimowolnie, jak złapany na gorącym uczynku; ale wkrótce utwierdzając się w postanowieniu, przybrał minę stanowczej wyniosłości, co nie uszło baczności ministra.

Richelieu, odziany całym przepychem stroju kardynalskiego, wsparty na dwóch młodych paziach, mając za sobą swego kapitana gwardyi i przeszło pięćset szlachty, przywiązanej do swego domu, zbliżał się do króla powoli i zatrzymywał na każdym kroku, jakby odczuwane cierpienia zmuszały go do tego, lecz właściwie dla przyjrzenia się obliczom, które miał przed sobą. Jeden rzut oka mu wystarczył.

Orszak jego został u wejścia do namiotu królewskiego, a ze wszystkich tych, co go wypełniali, ani jeden nie odważył się powitać go albo spojrzeć na niego; La Valette nawet udał, że jest bardzo zajęty rozmową z Montrésorem, a król, chcąc go źle przyjąć, udał, że wita go lekceważąco, i rozmawiał dalej na stronie pocichu z księciem de Beaufort.

Kardynał był więc zmuszony, po pierwszym ukłonie, zatrzymać się, i przejść na stronę tłumu dworzan, jakby chciał złąć się z nimi w jedno; lecz jego zamiarem było wypróbować ich bliżej: cofnęli się wszyscy, jak na widok trędowatego; jeden Fabert przystąpił do niego ze zwykłą sobie śmiałością i porywczością miną, używając w mowie wyrażenń swojego rzemiosła.

— I cóż! monsignorze, robicie wyłom pośród nich, jak kula działowa; proszę was o przebaczenie za to dla nich.

— I opieracie mi się jak nieprzyjacielowi — rzekł książę-kardynał; — nie sprawi to wam przykrości w następstwie, mój drogi Fabert!

Mazarin zbliżył się także, lecz ostrożnie, do kardynała i nadając ruchliwym swoim rysom wyraz głębokiego smutku, złożył mu pięć czy sześć ukłonów bardzo niskich, odwróciwszy się tyłem do grupy królewskiej, tak, że można je było wziąć ztamtąd za owe ukłony zimne i pospieszne, składane osobie, której pragną się pozbyć, a ze strony kardynała za oznaki szacunku, połączonego z dyskretną i milczącą boleścią.

Minister, zawsze spokojny, uśmiechnął się z pogardą, i przybierając ten wzrok stanowczy i tę postawę wyniosłą, co się w nim ujawniała w chwilach blizkiego niebezpieczeństwa, oparł się znów na swych paznach, i nie czekając na słowo lub spojrzenie monarchy, namyślił się nagle i poszedł prosto ku niemu, przebywając namiot w całej jego długości. Nikt nie stracił go z oka, udając, że nie patrzy na niego, i wszystko ucichło, nawet ci, którzy rozmawiali z królem; wszyscy dworzanie pochyłili się naprzód, aby widzieć i słuchać.

Ludwik XIII, zdziwiony, odwrócił się, i przy zupełnym braku przytomności umysłu, pozostał nieruchomy i czekał ze wzrokiem obojętnym, co było jego jedyną siłą, siłą bezwładności, bardzo wielką u panującego.

Kardynał, zbliżywszy się do monarchy, nie ukłonił się, lecz nie zmieniając postawy, z przymkniętymi oczyma i obu rękami opartymi na ramionach dwojga dzieci nawpółschylonych, powiedział:

— Najjaśniejszy panie, przychodzę prosić pokornie Waszą Królewską Mość o udzielenie mi wreszcie zwolnienia, do którego wzdycham oddawna. Zdrowie moje niepewne; czuję, że moje życie skończy się wkrótce; wieczność zbliża się dla mnie, a przed zdaniem rachunku królowi wiecznemu, chcę go zdać królowi chwilowemu. Osiemnaście lat temu, Najjaśniejszy Panie, oddaliście mi w ręce królestwo słabe i podzielone; ja zwracam je wam zjednoczone i silne.

Wasi nieprzyjaciele pobici i upokorzeni. Moje dzieło skończone. Proszę Waszą Królewską Mość o pozwolenie mi usunięcia się do Citeaux, gdzie jestem opatem-jenerałem zakonu, dla dokonania tam dni moich na modlitwie i rozmyślaniu.

Król, dotknięty kilku wyrażeniami wyniosłości tych słów, nie okazał żadnego znaku słabości, której spodziewał się kardynał i którą u niego widział za każdym razem, kiedy mu groził porzuceniem spraw państwa. Przeciwnie, czując się śledzonym przez cały swój dwór, spojrzał na niego po królewsku i rzekł zimno:

— Dziękujemy wam tedy za wasze usługi, mości kardynale i życzymy wam odpoczynku, o który prosicie.

Richelieu był wzruszony do głębi, lecz uczuciem gniewu, nie pozostawiającym żadnego śladu na rysach twarzy. „Oto przez tę właśnie obojętność — rzekł sobie w duchu — pozwoliłeś umrzeć Montmorency'emu, ale ty mi tak się nie wymkniesz.” Tu zabrał znów głos, kłaniając się:

— Jedyną nagrodą, o jaką proszę za swoje usługi, będzie, gdy Wasza Króлева Mość raczy przyjąć odemnie w darze pałac Kardynałski, wystawiony moim kosztem w Paryżu.

Król, zdumiony, uczynił głową znak zezwalający. Szmer podziwu poruszył na chwilę przysłuchujący się bacznie dwór.

— Ściele się także do stóp Waszej Królewskiej Mości, aby raczyła zezwolić na cofnięcie surowego kroku, który uczyniłem (wyznam to publicznie), uważając go może nazbyt pospiesznie za niezbędny dla spokoju państwa. Tak, gdy należałem do tego świata zapomniałem zanadto o swoich najdawniejszych uczuciach szacunku i przywiązania, dla dobra ogólnego; teraz, gdy już korzystam ze światła samotności, widzę, że się myliłem; i żałuję tego.

Uwaga rosła, a niepokój króla stawał się widocznym.

— Tak, jest jedna osoba, Najjaśniejszy Panie, którą zawsze kochałem, pomimo krzywd, uczynionych wam przez nią i wydalenia jej z królestwa, do czego zmusiły mnie jego sprawy; jedna osoba, której zawdzięczam wiele, a która powinna być wam drogą, pomimo jej wypraw zbrojnych przeciwko wam samym; jedna osoba wreszcie, o której powrót z wygnania pokornie was proszę: mówię tu o królowej Maryi Medycejskiej, waszej matce.

Król krzyknął mimowolnie, tak mało spodziewał się usłyszeć to imię. Nagłe wzruszenie ukazało się na wszystkich twarzach. Czekało w milczeniu na słowa królewskie. Ludwik XIII patrzył długo na swego starego ministra nie mówiąc, a to spojrzenie zawyrokowało o losach Francji. Przypominał sobie w jednej chwili o wszystkich niezmordowanych usługach Richelieu o jego poświęceniu bez granic, o jego zdumiewającej zdolności i zdziwił się, że chciał się z nim rozstać; czuł się głęboko wzruszonym tą prośbą, która sięgnęła po jego gniew do głębi jego serca, aby go zeń wyrzucić i wytrącić mu z rąk jedyną broń, jaką posiadał przeciwko swemu staremu słudze; miłość synowska sprowadziła przebaczenie na jego usta i łzy do jego oczów; szczęśliwy, że może spełnić to, czego najbardziej sobie życzył, wyciągnął do księcia kardynała rękę, z całą szlachetnością i dobrocią Bourbona. Kardynał schylił się i ucałował ją z szacunkiem, a jego serce, które powinno było pęknąć z żalu, napełniło się tylko radością dumnego tryumfu. Wzruszony monarcha, pozostawiając mu swą rękę, zwrócił się uprzejmie do swego dworu i rzekł drżącym głosem:

— Mylimy się często, moi panowie, a zwłaszcza gdy chcemy poznać tak wielkiego polityka, jak ten; mam nadzieję, że nie opuści nas nigdy, ponieważ ma serce tak dobre, jak jego głowa.

Natychmiast kardynał de La Valette pochwycił róg płaszcza królewskiego, aby go ucałować z zapalem kochanka, a młody Mazarin uczynił to samo z płaszczem samego Richelieu, przybierając minę jasniejącą z radości i wzruszenia, z zachwycającą zwinnością włoską. Dwie fale pochlebców spłynęły, jedna na króla, druga na ministra: pierwsza grupa, niemniej zręczna od drugiej, chociaż mniej bezpośrednia, składała monarsze tylko podziękowania, które mógł słyszeć minister i paliła u stóp jednego kadzidła, przeznaczone dla drugiego. Co do Richelieu, ten dając znak głową na prawo i śląc uśmiech na lewo, zrobił dwa kroki naprzód i stanął po prawicy króla, jako na zwykłym swoim miejscu. Ktoś, wszedłszy, mógłby raczej pomyśleć, że to król stał po jego lewicy.

Marszałek d'Estrées i wszyscy ambasadorowie, książę d'Angoulême, książę de Châtillon i wszyscy generałowie armii i korony otaczali go i każdy z nich czekał niecierpliwie końca powinszowania innym, aby złożyć swoje, obawiając się przytem, aby nie pochwyciono pochlebnego madrygału naprędce ułożonego, lub obmyślonej przez siebie formuły pochlebstwa. Co do Fabert'a, ten cofnął się w róg namiotu i nie zdawał się zwracać wiele uwagi na tę całą scenę. Rozmawiał z Montrésorem i szlachtą brata królewskiego — zaprzysiężonymi wrogami kardynała, ponieważ nie należąc do tłumu, od którego uciekał, mógł tylko z nimi rozmawiać. To zachowanie się byłoby szczytem niezręczności w każdym innym mniej znanym; ale wiadano, że żyjąc pośród dworu, nie znał nigdy jego intryg i mówiono, że powracał z wygranej bitwy, jak rumak króla z polowania, pozwalający psom pieścić się z panem i dzielić między sobą strawę, nie upominając się o część, jaką miał w tryumfie.

Burza zdawała się więc zupełnie uspokojona, i po gwałtownych zawieruchach poranku nastąpiła cisza bardzo miła; szmer uroczysty, przerywany śmie-

chem wesołości, i wybuch zapewnień przywiązania, oto wszystko, co było słychać w namiocie. Głos kardynała odzywał się od czasu do czasu:

— Ta biedna królowa, наконец ją więc ujrzymy! Nie śmiałbym nigdy spodziewać się tego szczęścia przed śmiercią!

Król słuchał go z ufnością i nie ukrywał swego zadowolenia.

— To doprawdy myśl zesłana mu z nieba! — mówił; — ten poczciwy kardynał, przeciw któremu tak źle mnie usposobiono, marzył tylko o połączeniu mojej rodziny; od urodzin Delfina nie doznałem większego zadowolenia, niż w tej chwili. Opieka Najświętszej Maryi Panny widoczna nad królestwem.

W tej chwili kapitan gwardyi zbliżył się i powiedział monarsze coś do ucha.

— Goniec z Kolonii? — rzekł król. — Niech czeka na mnie w moim gabinecie.

Poczem, nie mogąc się wstrzymać, dodał:

— Idę, idę!

I wszedł sam do małego, czworokątnego namiotu, przylegającego do wielkiej kwatery. Stał tam już młody goniec, z czarną teką w ręce; za chwilę kotary opadły, zastaniając króla i gońca.

Kardynał, zostawszy sam panem dworu, ściągał na siebie wszystkie jego uwielbienia; ale się spostrzeżono, że nie przyjmował ich już z tą samą przytomnością umysłu; zapytywał kilka razy o godzinę i zdradzał pomieszenie, które nie było udanem; jego spojrzenia ostre i niespokojne zwracały się ku gabinetowi; ten otworzył się nagle; król ukazał się sam i stanął u wejścia. Był bledszy niż zwykle i drżał na całym ciele; trzymał w ręce szeroki list z pięciu czarnymi pieczęciami.

— Mości panowie! — rzekł głosem podziemnym, lecz urywanym — królowa matka umarła w Kolonii, i może nie ja pierwszy dowiedziałem się o tem — do-

dał, rzucając surowe spojrzenie na obojętnego kardynała — ale Bóg wie o wszystkim. Za godzinę na koń i natarcie linii. Mości marszałkowie, za mną!

I obróciwszy się nagle tyłem, powrócił z nimi do swego gabinetu.

Dwór rozszedł się po odejściu ministra, który, nie okazując żadnego żalu ani smutku, wyszedł tak samo poważnie, jak wszedł, ale wyszedł jak zwycięzca.

ROZDZIAŁ IX.

O B L Ę Ż E N I E.

Il papa alzato le mani e fatto-
mi un patente crocione sopra la
mia figura, mi disse, che mi bene-
dica e che mi perdonara tutti gli
omicidii che io avevo mai fatti,
e tutti quelli che mai io farei in
servizio della Chiesa apostolica.

Benvenuto Cellini.

Bywają w życiu chwile, kiedy się pragnie go-
rać silnych wzruszeń, aby wybrnąć z małych dole-
gliwości: epoki, w których dusza, podobna do lwa
z bajki i udręczona ciągłymi ukłuciami owadu, pożą-
da silnego nieprzyjaciela i przyzywa niebezpieczeń-
stwa całą potęgą swego pragnienia. Cinq-Mars znaj-
dował się właśnie w takim usposobieniu umysłu, po-
wstajacem zawsze z chorobliwej wrażliwości zmysłów
i z nieustannego wzruszenia serca. Zmęczony odtwa-
rzaniem w samym sobie wypadków, których pożywał,
i tych, których się miał obawiać; zmęczony stosowa-
niem do prawdopodobieństw wszystkiego tego, co jego
umysł był w stanie objąć, przywoływaniem na pomoc

wszystkiego tego, co jego wychowanie dało mu po-
znać z życia znakomitych ludzi, aby je porównać do
obecnego swego położenia, przynębiony swemi stra-
pieniami, swemi snami, przepowiedniami, urojeniami,
obawami i całym owym światem wyobraźni, w któ-
rym żył podczas samotnej swojej podróży, odetchnął,
znalazłszy się w świecie rzeczywistym, tak samo pra-
wie niespokojnym, a uczucie dwóch prawdziwych nie-
bezpieczeństw przywróciło mu krążenie krwi i mło-
dość całej istoty.

Od owej sceny nocnej w obozisku pod Loudunem
nie mógł jakoś odzyskać zupełnej władzy ducha, aby
się zająć czem innem, niż swemi drogami i bolesne-
mi myślami; i opanował go już pewien rodzaj zaniku,
gdy na szczęście, przybył do obozu pod Perpignan i na
szczęście, miał jeszcze sposobność przyjęcie propozy-
cyi księdza de Gondi; bo czytelnik poznał bezwątpie-
nia Cinq-Marsa w osobie młodego, nieznanego
w żałobie, tak obojętnego i tak melancholijnego, któ-
rego, pojedynek w sutannie wziął na świadka.

Cinq-Mars kazał postawić swój namiot, jako wo-
lontaryusz przy drodze obozowej, na miejscu przeznaczo-
nem dla młodych magnatów, którzy mieli być przed-
stawieni królowi i służyć jenerałom za adjutantów;
udał się tam śpiesznie i wkrótce dobrze uzbrojony,
konno i okryty pancerzem według istniejącego jeszcze
zwyczaju, pojechał sam w stronę bastyonu hiszpań-
skiego, gdzie miało nastąpić spotkanie. Przybył tam
pierwszy i rozpoznał, że małe pole, zarosłe murawą,
pod osłoną poczynionych do oblężenia przygotowań,
zostało nader trafnie wybrane przez małego księdza
dla zabójczych jego zamiarów, bo pominawszy, że
niktby się nie domyślił, iż oficerowie będą się poje-
dynkowali pod tem samym miastem, które oblegają,
kadłub bastyonu dzielił ich od obozu francuskiego, za-
słaniając nakształt niezmiernego parawanu. Ostrożność
taka nie była wcale zbyt uczynna, bo można było zapła-

cię głową wtedy za sprawioną sobie przyjemność wystawienia na szwank własnego ciała.

Czekając na swych przyjaciół i swych przeciwników, Cinq-Mars miał czas przyjrzeć się południowej stronie Perpignanu, przed którym się znajdował. Słyszał, jak mówiono, że nie tędy miano uderzyć i na próżno usiłował zdać sobie sprawę z tych zamiarów. Między tym południowym frontem miasta a górami Albère i wąwozem Perthus można było przeprowadzić linie ataku i reduty nawprost miejsca dostępnego; lecz nie stał tam ani jeden żołnierz; wszystkie siły, zdawało się, były zwrócone na północ Perpignanu, od strony najtrudniejszej, naprzeciw fortu Castillet, przewyższającego bramę Najświętszej Maryi Panny. Spozstrzegł, że grunt napozór błotnisty, lecz bardzo twardy, prowadził aż do stóp bastyonu hiszpańskiego; że ten posterunek był strzeżony z całą niedbałością kastylijską i mógł się ostać tylko dzięki swym obrońcom, gdyż jego blanki i strzelnice były zrujnowane i opatrzone czterema działami ogromnego kalibru, osadzonemi na murawie, i przez to unieruchomionemi i niezdadnemi do kierowania przeciwko wojsku, któreby się rzuciło na mury.

Łatwo było poznać, że to wszystko odebrało oblegającym chęć do przypuszczenia szturm w tem miejscu, obleżonym zaś ochotę do powiększenia środków obrony. To też z jednej strony warty i wedety były bardzo oddalone; z drugiej, straża nieliczna i źle utrzymana.

Młody Hiszpan, trzymając długą strzelbę, z widłami zawieszonemi u boku i z zapalonym lontem w prawej ręce, przechodził się niedbale po wałach i zatrzymał dla przyjrzenia Cinq-Marsowi, objeżdżającemu właśnie konno fosy i bagno.

— Senor Caballero! — rzekł do niego — czyżbyś chciał sam zdobyć bastyon, sam jeden i konno, jak don Quixote-Quixoda z la Mancha?

I jednocześnie zatknął widły w ziemi i oparł na nich koniec swojej strzelby, aby go wziąć na cel, gdy wtem jakiś poważny Hiszpan, starszy wiekiem, owinięty w brudny, szary płaszcz, odezwał się do niego w swym języku:

— Ambrosio de demonio, czy nie wiesz, że nie wolno tracić prochu bezużytecznie przed zaczęciem wycieczek i ataków, dla przyjemności zabicia dziecka, które nie warte twojego lontu! Na tem tu miejscu Karol V wrzucił i utopił w fossie śpiącego sztyldwacha. Czyń, co do ciebie należy, jeśli nie chcesz, abym go naśladował.

Ambrosio włożył strzelbę na ramię, rozsochaty swój kij wsadził za pas i zaczął znów przechadzać się po wałach.

Cinq-Mars nie zwracał prawie uwagi na ów groźny ruch i tylko ściągnął cugle swemu rumakowi i przybliżył do niego ostrogi, wiedząc, że jeden skok tego zwierzęcia uniósłby go po za murek lepianki, stojącej w polu, na którym się znajdował, i że schroniłby się przed strzelbą hiszpańską, zanimby przygotowanie z widłami i lontem zostało ukończone. Wiedział nadto, że cichy układ dwóch armij zakazywał tyralierom¹⁾ dawać ognia do straży, co byłoby uważane przez obie strony za morderstwo. Ztąd żołnierz, który się już gotował do takiego napadu, nie znał widocznie rozkazów.

Dlatego młody d'Effiat nie uczynił żadnego widocznego ruchu, i gdy sztyldwach zaczął przechadzać się znów po wałach, uczynił to samo na murawie; gdy wtem spozstrzegł pięciu jeźdźców, jadących ku niemu. Dwaj pierwsi, przybywający w największym pędzie, nie ukłonili mu się, lecz zatrzymali się tuż przy nim, zeskoczyli na ziemię, i Cinq-Mars znalazł się nagle w objęciach imci pana de Thou, który uści-

¹⁾ Tyralier — lichi strzelec, pukający ustawicznie.

skął go czule, gdy książulek de Gondi, śmiejąc się serdecznie, wołał:

— Oto jeszcze jeden Orest, odnajdujący swego Pyladesa i to w chwili zamordowania Iotra, który nie należy do rodziny króla królów, zapewniam was.

— Jakto, to ty, drogi Cinq-Marsie!—zawołał de Thou.—Co! i ja nie wiedziałem nic o twojem przybyciu do obozu? Tak, to ty, poznaję ciebie, choć jesteś bledszy. Czy byłeś chory, drogi przyjacielu? Pisałem często do ciebie, bo nasza przyjaźń z lat dzieciennych pozostała w głębi mego serca.

— Ja zaś zawiniłem bardzo względem ciebie; lecz opowiem ci wszystko, co wprawiało mnie w odrętwienie, będę ci mógł o tem mówić, a wstyd mi było pisać. Ale jakiś ty dobry! twoja przyjaźń nie-strudzona!

— Znam cię zbyt dobrze — odparł de Thou. — Wiedziałem, że nie mogło być pychy między nami i że moja dusza ma odgłos w twojej.

Przy tych słowach uściskali się, mając oczy wilgotne od tych słodkich łez, co tak rzadko bywają przelewane w życiu, chociaż serce zdaje się niemi zawsze obciążone, tyle czynią dobrego, kiedy się je przelewa.

Ta chwila była krótka, a podczas tych kilku słów Gondi nie przestawał ciągnąć ich za płaszcze, mówiąc:

— Na koń, na koń, mości panowie! Eh, dali-bóg, będziecie mieli czas na uściski, gdyście tacy czuli; ale nie zatrzymujcie się i myślmy, aby załatwić się prędko z naszymi dobrymi przyjaciółmi, którzy nadjeżdżają. Jesteśmy w niebezpiecznem położeniu, mając tych trzech chłopów przed sobą, łuczników w pobliżu, a Hiszpanów w górze; musimy stawić czoło na trzy ognie.

Rozmawiał jeszcze, gdy imci pan de Launay, stanawszy w odległości sześćdziesięciu kroków ze swymi sekundantami, wybranymi raczej z pośród jego

przyjaciół, niż stronników kardynała, osadził swego rumaka w małym galopie, według wyrażenia ujeżdżalni i z całą dokładnością otrzymanych w niej nauk, zbliżył się z wielkim wdziękiem do swych młodych przeciwników i skłonił im się poważnie:

— Mości panowie—rzekł—sądzę, że uczynimy dobrze, wybierając sobie i oznaczając miejsce, gdyż mówiono o zaatakowaniu linii i muszę być na swem stanowisku.

— Jesteśmy gotowi!—odparł Cinq-Mars.—A co do naszego wyboru, bardzobym się ucieszył, gdybym się znalazł naprzeciw waćpana, bo nie zapomniałem bynajmniej o marszałku de Bassompierre i lesie Chaumont; wiecie, co myślę o waszej zuchwałej bytności u mojej matki.

— Młodzi jesteście, mości panie! Spełniłem u dostojnej waszej matki obowiązek człowieka światowego; u marszałka—kapitana gwardyi; tu obowiązek szlachcica względem wielbnego księdza, który mnie wyzwiał; a następnie będę miał ten zaszczyt z waćpanem.

— Jeśli wam na to pozwolę!—zauważył ksiądz, siedząc już na koniu.

Odmierzono sześćdziesiąt kroków, bo na tyle starczyło przestrzeni na łące; ksiądz de Gondi stanął między de Thou a jego przyjacielem, który tym sposobem znalazł się najbliżej wałów, z kąd dwóch oficerów hiszpańskich i dwudziestu żołnierzy zaczęło przyglądać się, jak z balkonu, temu pojedynkowi sześciu osób, widowisku dość zresztą zwykłemu. Okazywali te same oznaki radości, jak przy swoich walkach byków i śmieli się owym śmiechem dzikim i cierpkim, nadanym wyrazowi ich twarzy przez krew arabską.

Na znak Gondiego sześć koni ruszyło cwałem i spotkało się, nie uderzając na siebie, podług oznaczonych sznurków; w tejże chwili sześć wystrzałów pistoletowych dało się słyszeć prawie jednocześnie i dym zasłonił walczących.

Kiedy się rozszedł, ujrzano z sześciu rumaków sześciu jeźdźców, tylko trzech ludzi i trzy konie w pomyślnym stanie zdrowia. Cinq-Mars siedział na koniu, podając rękę swojemu przeciwnikowi tak spokojnemu, jak on; na drugim końcu de Thou pomagał się podnieść swojemu, pod którym zabił konia; co do Gondiego i de Launaya, nie było widać ani jednego, ani drugiego. Cinq-Mars, szukając ich z zaniepokojeniem, spostrzegł najprzód konia księżego, jak skakał i harcował, ciągnąc za sobą przyszelego kardynała, który miał nogę uwięzioną w strzemienu i przeklinał, jakby się kiedyś uczył tylko mowy obozowej, miał nos i ręce zakrwawione od upadku i usiłował zahaczyć się o murowę, lecz nadaremnie; koń, którego łechtał mimowolnie swą nogą, już się kierował ku fosie, napelnionej wodą i okalającej bastyon; na szczęście Cinq-Mars, przechodząc między brzegiem kałuży a rumakiem, pochwycił go za uzdę i zatrzymał.

— No, moj drogi księżę, widzę, że nie stało się wam nic złego, bo przemawiacie energicznie.

— Do pioruna! — wołał Gondy, obmywając z ziemi oczy — aby strzelić z pistoletu w twarz tego olbrzyma, musiałem się pochylić naprzód i podnieść w strzemiionach, straciłem więc równowagę, ale sędzę, iż legł także na ziemi...

— Nie mylisz się waćpan wcale! — powiedział de Thou, nadjeżdżając — oto jego koń pływa w fosie ze swym panem, któremu wyszedł mózg na wierzch; trzeba nam uciekać.

— Uciekać, to dosyć trudno, mości panowie! — rzekł przeciwnik Cinq-Marsa, przybывая. — Oto wystrzał armatni, sygnał do ataku; nie myślałem, że nastąpi tak prędko, jeśli wrócimy, spotkamy Szwajcarów i laneknechtów, którzy uderzą z tej strony.

— Imé pan de Fontrailles ma słuszość — zauważył de Thou; — lecz jeśli nie wrócimy, Hiszpanie, chwytający oto za broń, zaczną tu nam świstać kulami nad głową.

— A więc! radźmy — rzekł Gondy — zawołajcie imci pana de Montrésor: napróżno szuka ciała tego biednego de Launaya. Nie raniliście go, mości de Thou?

— Nie, mości księżę, nie wszyscy mają tak szczęśliwą rękę, jak wasza — zawołał gorzko Montrésor, który nadszedł właśnie, kulejąc nieco z powodu swego upadku; — nie będziemy mieli czasu wziąć się już do szpady.

— Uważam pojedynek za skończony, mości panowie — rzekł Fontrailles; — imé pan de Cinq-Mars za nadto szlachetnie postąpił ze mną; mój pistolet zaciągnął, a dalibóg, jego oparł się na moim policzku, jeszcze czuję od niego zimno; był tak dobry, że go cofnął i wystrzelił w powietrze; nie zapomnę o tem nigdy i jestem mu oddany na życie i śmierć.

— Nie mówmy o tem, mości panowie — przerwał Cinq-Mars — oto kula świsnęła mi nad uchem; atak rozpoczęty ze wszystkich stron i jesteśmy otoczeni przez przyjaciół i nieprzyjaciół.

Wistocie, kanonada była ogólna; cytadela, miasto i wojsko zostało okryte dymem; jeden tylko bastyon nie był zaatakowany; jego warty zdawały się mniej gotować do obrony, niż do przyglądania się oblężonym fortyfikacyom.

— Zdaje mi się, że nieprzyjaciół zrobił wycieczkę — powiedział Montrésor — bo dym ustał na równinie i widzę zastępy jeźdźców nacierających pod osłoną dymu.

— Mości panowie — rzekł Cinq-Mars, nie przestając przypatrywać się murom — moglibyśmy coś postanowić, a mianowicie wejść do tego bastyonu źle strzeżonego.

— Dobra myśl — powiedział Fontrailles, lecz jest nas tylko pięciu przeciwko trzydziestu przynajmniej; jesteśmy za nadto na widoku i łatwo nas policzyć.

— Dalibóg, niezła myśl — odezwał się Gondi; — lepiej być tam zastrzelonym, niż tu powieszonym, gdy nas odnajdą; bo musieli się już spostrzedz, że imci pana de Launaya brak w kompanii, cały dwór zresztą wie o naszym pojedynku.

— Do kroćset! moiści panowie — zawołał Montrésor — oto przybywa nam pomoc.

Liczny oddział konny, lecz w wielkim nieporządku, pędził na nich cwałem; zdaleka było widać czerwony ich strój; mieli widocznie zamiar zatrzymać się na tem samym polu, na którym stali zakłopotani nasi pojedynkowiec, bo zaledwie pierwsze konie wjechały na nie, gdy wołania „stój” rozległy się, powtórzone przez dowódców, oraz ich żołnierzy.

— Śpieszmy na ich spotkanie, to żołnierze z gwardyi królewskiej — powiedział Fontrailles — poznają ich po czarnych kokardach. Widzę także wielu szwoleżerów z nimi; skorzystajmy z zamieszania, aby się do nich przyłączyć, bo zdaje mi się, że oni są nawróceni.

Ten wyraz jest przyzwoitem określeniem, które miało oznaczać i oznacza jeszcze ucieczkę w mowie wojskowej. Cinq-Mars, de Thou, Montrésor, Fontrailles i Gondi, poszli do tego żywego i hałaśliwego oddziału i spostrzegli, że to przypuszczenie było nader słusne. Ale zamiast przerażenia, jakiego można się było spodziewać w podobnym wypadku, znaleźli tylko wesołość młodą i hałaśliwą, i usłyszeli tylko wybuchy śmiechu tych obu kompanij.

— Ach! dalibóg, Cahuzac — mówił jeden — twój koń biegł lepiej od mojego; pewnoś go wywiedział na łowach królewskich.

— To dlatego, ażebyśmy się prędzej złączyli, przybyłeś tu pierwszy — odpowiedział drugi.

— Chyba margrabia de Coislin zwaryował, gdy kazał nam czterystu natrzeć na osiem pułków hiszpańskich.

— Ach, ach, ach! Locmaria, twój pióropusz wygląda jak brzoza płacząca! Jeśli tak pójdzie dalej, skończymy na pogrzebie.

— Ech! moiści panowie, mówiłem wam o tem naprzód — odparł ten sam młody oficer w dosyć złem usposobieniu — byłem pewny, że ten kapucyn Józef, wtrącający się do wszystkiego, mylił się, kazać nam natrzeć ze strony kardynała. Ale czy bylibyście zadowoleni, gdyby ci, co mają zaszczyt nami dowodzić, odmówili natarcia?

— Nie, nie, nie! — odpowiedziała wszystka młodzież, wracając znów do swych szeregów.

— Powiedziałem — rzekł stary margrabia de Coislin, który przy swoich białych włosach miał jeszcze młodzieńczy ogień w oczach — że gdyby wam rozkazano konno szturm przypuścić, wybyście to uczynili.

— Brawo, brawo! — wołali wszyscy żołnierze, klaskając rękoma.

— A więc, moiści margrabio — rzekł Cinq-Mars podchodząc — oto sposobność wykonania tego, coście przyrzekli; jestem tylko zwykłym ochotnikiem, lecz właśnie ze swymi towarzyszami oglądałem zdaleka ten bastyon i sędzę, że możnaby się z nim uporać.

— Mości panie, przedewszystkiem należałoby wymiarkować bród dla...

W tejże chwili kula wypuszczona z szauca, o którym mówiono, strzasknęła łeb rumakowi starego dowódecy.

— Locmaria de Mouy, bierzcie komendę i do szturm, do szturm — wykrzyknęły obie kompanie, sądząc, że poległ.

— Zaraz, zaraz, moiści panowie — zawołał stary Coislin, podnosząc się — ja was tam poprowadzę, jeśli łaska; wskazuj nam drogę, moiści wolontaryuszu, bo Hiszpanie zapraszają nas na ten bal i trzeba grzecznie odpowiedzieć.

Zaledwie starzec dosiadł drugiego konia, które-

go mu przywiódł jeden z jego żołnierzy, i dobył swej szpady, gdy nie czekając na jego komendę, cała ta gorąca młodzież, poprzedzana przez Cinq-Marsa i jego przyjaciół, cwałujących na dziarskich swych rumakach przed szwadronami, rzuciła się w bagna, gdzie ku wielkiemu jej, oraz Hiszpanów zdziwieniu, ci ostatni bowiem za bardzo liczyli na ich głębokość, konie zanurzyły się tylko po przegub, i mimo wyrzucenia kartaczy z dwóch największych dział, wszystkie przybyły w nieładzie na małą murawę, rozestaną u stóp nawpół zrujnowanych wałów. W zapale Cinq-Mars i Fontrailles, z młodym Locmarią, puścili swe konie na sam szaniec; ale silny ogień karabinowy uśmiercił i powalił te trzy rumaki, a ich jeźdźcy znaleźli się na ziemi,

— Pieszko, mości panowie — zawołał stary Coislin; pistolet i szpada, i naprzód! porzućcie swoje konie.

Wszyscy spełnili rozkaz i rzucili się tłumnie na wyłom.

Jednakże de Thou, którego zimna krew nie opuszczała nigdy, podobnie jak jego przyjaźń, nie stracił z oczów młodego Henryka i przyjął go w swe ramiona, gdy koń jego padł. Postawił go na nogi, wręczył mu zgubioną szpadę i rzekł do niego z największym spokojem, nie zważając na padające ze-wsząd kule:

— Mój przyjacielu, czy nie jestem śmieszny bardzo wpośród całego tego zgiełku, w moim stroju radcy parlamentu?

— Do licha — odezwał się Montrésor nadbiegając—oto ksiądz, który cię usprawiedliwia dostatecznie.

Rzeczywiście, mały Gondi, roztrącając łokciami szwoleżerów, wołał ze wszystkich sił:—Trzy pojedynki i jeden szturm! Mam nadzieję, iż utracę w nich na koniec swoją sutannę!

To mówiąc, pchał i rąbał pałaszem jakiegoś wielkiego Hiszpana.

Obrona była krótka. Żołnierze kastylijscy nie opierali się długo francuskim oficerom i ani jeden z nich nie miał czasu ani odwagi nabić powtórnie broni.

— Mości panowie, opowiemy to naszym damom w Paryżu — wykrzyknął Locmaria, rzucając swój kapelusz w powietrze.

I Cinq-Mars, de Thou, Coislin, de Mouy, Londigny, oficerowie kompanii czerwonych, oraz cała ta młoda szlachta, ze szpadą w prawicy, z pistoletem w lewej ręce, potykając się, popychając i robiąc sobie tyleż złego, co i nieprzyjacielowi, przez swój pośpiech, rozlała się w końcu po tarasie bastionu, jak tryska nazewnątrz strumieniem woda, nalewana z naczynia o zbyt wąskiej szyi. Nie chcąc zajmować się żołnierzami zwyciężonymi, którzy padali przed nimi na kolana, pozwolili im wałęsać się w warowni, nie rozbrajając ich nawet, i zaczęli biegać uradowani zwycięstwem, jak żacy na wakacjach, śmiejąc się z całego serca, jakby po jakiej wycieczce dla przyjemności.

Jeden oficer hiszpański, owinięty w swój szary płaszcz, patrzył na nich ponuro.

— Cóż to za dyabli, Ambrosio?—mówił do żołnierza. — Nie znałem ich dawniej we Francji. Jeżeli Ludwik XIII ma całą armię taką, to bardzo łaskaw, że nie zawojował Europy.

— Oh! nie sędzę, aby liczba ich była zbyt wielka, to zapewne oddział biednych śmiałków, nie mających nic do stracenia, natomiast wszystko do zyskania przez łupieństwo.

— Masz słuszość—rzekł oficer—postaram się zawrócić któremu głowę, aby umknąć.

I zbliżywszy się powoli, zaczepił jakiegoś szwoleżera, liczącego niespełna lat osiemnaście, który siedział samotnie na uboczu; miał płeć białą i zaróżowioną, jak u dziewczeczki, jego ręka delikatna trzyma-

ła chusteczkę haftowaną i właśnie ocierał nią sobie czoło i srebrzysto-jasne włosy, jednocześnie zaś patrzył która godzina na dużym okrągłym zegarku, wyznaczonym rubinami i zawieszonym na wstążce u pasa.

Hiszpan, zdziwiony, przystanął. Gdyby nie widział go przedtem, jak obalał jego żołnierzy, byłby sądził, że szwoleżer ten jest tylko zdolny do śpiewania czułych romansów. Lecz ostrzeżony przez Ambrosia, pomyślał, iż może ukradł te zbyt kłowne cacka przy rabunku pomieszkania jakiejś damy i zaczepiając go nagle, rzekł:

— *Hombre!* jestem oficerem; czy wrócisz mi wolność, abym mógł zobaczyć znów kraj ukochany?

Młody Francuz spojrzał nań łagodnie i myśląc o swej własnej rodzinie, odparł:

— Przedstawię waćpana margrabiemu de Coislin, który niewątpliwie zgodzi się na waszą prośbę; czy rodzina waćpana pochodzi z Kastylii, czy z Aragonii?

— Twój Coislin będzie żądał innego pozwolenia jeszcze i każe mi rok czekać. Dam ci cztery tysiące dukatów, jeśli pozwolisz mi uciec.

Łagodna, dziecinna niemal twarz młodego Francuza okryła się purpurą oburzenia; niebieskie jego oczy zaiskrzyły się jak błyskawice i wołając: „Chcesz mnie przekupić? mnie? precz, głupcze!” młodzieniec wymierzył Hiszpanowi głośny policzek. Ten bez wahania wy dobył długi sztylet z za pasa i chwytając Francuza za ramię, chciał mu go utopić w sercu, lecz zwinny i silny młodzieniec sam ujął go za prawicę i podniósłszy ją nad swoją głowę, ściągnął z żelazem na głowę Hiszpana, drżącego z wściekłości.

— Eh! eh! eh! powoli, Oliwierze! Oliwierze! — wołali zewsząd jego towarzysze, nadbiegając — dość już Hiszpanów na ziemi.

I rozbroili oficera nieprzyjacielskiego.

— Co zrobimy z tym szaleńcem?... — rzekł jeden.

— Nie przyjąłbym go za kamerdynera — odparł drugi.

— Wart szubienicy; — powiedział trzeci — ale dajlibóg, mościpanowie, nie umiemy wieszać; odesłajmy go do tego szwajcarskiego batalionu, co tam przechodzi przez równinę.

I oto ponury i spokojny Hiszpan, owinawszy się znów w swój płaszcz, ruszył sam w drogę, aby łączyć się z batalionem, mając za sobą Ambrosia, oraz pięciu, czy sześciu owych młodych wartogłowów, trzymających go za ręce i popychających naprzód.

Tymczasem pierwszy oddział oblegających, zdziwiony swem powodzeniem, siedł aż do końca. Cinq-Mars, idąc za radą starego Coislina, okrążył bastyon i wtedy spostrzegli obaj ze smutkiem, że ten jest zupełnie oddzielony od miasta i że tu kończy się ich zwycięstwo. Wrócili więc na taras wolnym krokiem, rozmawiając i połączyli się z de Thou i księdzem de Gondi, którzy zabawiali się właśnie z młodymi szwoleżerami.

— Mielśmy za sobą wiarę i sprawiedliwość, mościpanowie, tryumf nie mógł nas ominąć.

— A to jakim sposobem? więc one walczyły tak dzielnie, jak my!

Umilkli za zbliżeniem się Cinq-Marsa i przez chwilę szepotali, zapytując o jego imię, poczem wszyscy go otoczyli i pochwycili z uniesieniem jego rękę...

— Mościpanowie, macie słusność — rzekł stary wódz — to, jak mawiali nasi ojcowie, prawdziwy bohater dnia. Jest to wolontaryusz, który zostanie dziś przedstawiony królowi przez kardynała!

— Przez kardynała! My przedstawimy go sa-

mi; ah! obyż nie został kardynalistą¹⁾, za dzielny z niego chłopiec na to — mówiła z ożywieniem cała młodzież.

— Mości panowie, ja mu to dobrze obrzydę, ja — zawołał Oliwier d'Estraignes — gdyż byłem jego paziem i znam go doskonale. Wstąpcie lepiej do Kompanii Czerwonych, zobaczycie, będziecie mieli dobrych towarzyszków.

Stary margrabia oszczędził Cinq-Marsowi kłopotu z odpowiedzią, rozkazując grać na trąbach, aby połączyć swoje świetne kompanie. Umilkły działa, gdy gwardzista królewski przybył z oznajmieniem, że król i kardynał obchodzą linie, aby widzieć korzyści osiągnięte z dnia; kazał więc przeprowadzić wszystkie konie przez wyłom, co potrwało dość długo, i stanąć w szyku bojowym dwom kompaniom konnym, w miejscu, gdzie zdawało się było niepodobieństwem przejść jakimukolwiek innemu wojsku, oprócz piechoty.

¹⁾ Francja i wojsko dzieliły się wówczas na rojalistów i kardynalistów.

ROZDZIAŁ X.

NAGRODY.

Śmierć.

Ah! jak chętnie wojacy, chciwi łupu, niosą
Głowy swoje, by złożyć je pod moją kosa.
Napełnijcie wściekłością zmysły onych tłumów,
Bębnie, trąbo, piszczałko, zbawcie go rozumu.
N. Lemercier, Panhypocrysiade.

„Aby nasycić pierwsze uniesienie frasunku królewskiego — wyrzekł Richelieu — aby otworzyć źródło wzruszeń, odwracające od boleści tę niestałą duszę, niechaj to miasto zostanie obleżone, zgadzam się na to; niechaj Ludwik jedzie, pozwalam mu zadać kilku biednym żołnierzom ciosy, którymi chciał, a nie śmie we mnie ugodzić; niech jego gniew zgaśnie w tej krwi ciemnej, ja tego chcę; ale ten wyskok sławy nie przeszkodzi moim niewzruszonym zamiarom, to miasto nie upadnie jeszcze, stanie się francuskim na zawsze dopiero za dwa lata; wpadnie w moje sieci tylko w dniu oznaczonym w mojej myśli. Grzmijcie bomby i armaty, obmyślajcie swoje działania uczeni wodzowie, śpieszcie młodzi wojownicy; każę uciszyć

waszą wrzawę, rozproszyć wasze zamiary, zniweczyć wasze usiłowania, wszystko skończy się na czeczym dymie, i powiodę was, aby sprowadzić z drogi."

Oto, w przybliżeniu, co układał pod swą tysiączką książkę-kardynał przed natarciem, którego część widzieliśmy przed chwilą. Stał konno na północ od miasta na jednej z gór Salces, z tego miejsca mógł widzieć przed sobą płaszczyznę Rousillonu, pochylającą się aż do morza Śródziemnego; Perpignan ze swoimi mурowanemi szancami, bastyonami, cytadelą i dzwonnica, tworzył tam ciemną i owalną masę na tle szerokich i zieleniejących łąk, a wielkie góry okalały je doliną, niby olbrzymim łukiem, pochylonym z północy na południe, gdy morze, przedłużając swą linię białawą na wschód, zdawało się być jego cięciwą srebrzystą. Z prawej strony wznosiła się ta góra niezmierna, którą nazywają Canigou, a której wyloty kąpią się w dwóch rzekach pośród równiny. Granica francuska rozciągała się aż do stóp tej zapory zachodu. Tłum generałów i wielkich magnatów stał konno po za ministrem, lecz w odległości dwudziestu kroków i w głębokim milczeniu. Richelieu objechał naprzód wolnym krokiem linie działań wojennych, poczem wrócił, aby stanąć na tej wyniosłości, z kądem jego oko i myśl unosiły się nad losami oblegających i oblężonych. Wojsko miało go na oczach i zewsząd można go było widzieć. Każdy z bronią w ręku uważał go jako bezpośredniego swego wodza i czekał na jego znak, aby działać. Od dawna Francja była podległa jego jarzmu, a zachwyt uchronił go od śmieszności, która innemu dałaby się nieraz we znaki. Tu, na przykład, nie przyszło nikomu do głowy uśmiechnąć się lub nawet zdziwić, że pancierz okrywał kapłana, a surowość jego charakteru i wyglądu powściągnęła wszelką myśl porównań sztygarskich i obelżywych wniosków. Dnia tego kardynał był ubrany zupełnie po wojskowemu: miał strój barwy zwiędłego liścia, haftowany złotem, pancierz

koloru wody, szpadę przy boku, pistolety w łęgu swego siodła i kapelusz z piórami, który wsadzał rzadko na głowę, przykrytą zawsze czerwonym biretem. Dwóch paziów stało za nim: jeden trzymał jego rękawice, drugi jego hełm, a kapitan jego gwardyi stał przy nim z boku.

Ponieważ król mianował go niedawno naczelnym wodzem swoich wojsk, do niego więc wszyscy generałowie zwracali się po rozkazy; lecz on, znając zbyt dobrze tajne powody obecnego gniewu swego pana, ze szczególnym upodobaniem odsyłał do monarchy tych wszystkich, co chcieli powziąć jakieś postanowienie z jego ust. Stało się, co przewidział, bo regulował i liczył uderzenia tego serca, jak u zegara, i mógłby powiedzieć dokładnie, przez jakie przechodził wzruszenia. Ludwik XIII stanął u jego boku, jak młodziutki uczeń, zmuszony uznać, że jego nauczyciel ma słuszność. Jego postawa była wyniosła i niezadowolona, jego słowa porywane i suche. Kardynał pozostał obojętny. Godne było uwagi, że król używał, zasięgając rady, słów rozkazu, jednocześnie tym sposobem swoją słabość i władzę, brak stanowczości i dumę, nieudolność i uroszczenia, gdy tymczasem minister narzucał mu swe prawa tonem największego posłuszeństwa.

— Chcę, aby przypuszczono szturm zaraz, kardynale—rzekł monarcha, podchodząc—to jest—dodał niedbale — gdy wszystkie wasze przygotowania będą gotowe i o godzinie, co do której porozumiecie się z naszymi marszałkami.

— Najjaśniejszy Panie, gdybym ośmielił się wyrazić swoje zdanie, chciałbym, aby Wasza Królewska Mość uznała za przystojne przypuścić szturm za kwadrans, bo, z zegarkiem w ręku, dość będzie czasu, aby kazać posunąć się trzeciej linii.

— Tak, tak, to dobrze, mości kardynale, myślałem tak samo, sam wydam rozkazy, dokonam

wszystkiego sam. Schomberg! Schomberg! za kwadrans chcę słyszeć salwę armatnią, ja chcę!

Odjeżdżając, aby objąć dowództwo nad prawym skrzydłem armii, Schomberg wydał rozkaz i sygnał został dany.

Baterie, rozmieszczone oddawna przez marszałka de la Meilleraie, zaczęły robić wyłom, lecz bez energii, gdyż artylerzyści czuli, że skierowano ich do miejsc niedostępnych i że przy swem doświadczeniu, a zwłaszcza zdrowym rozumie i bystrym wzroku żołnierza francuskiego, każdy z nich mógłby wskazać miejsce, które należałoby wybrać.

Król był zdziwiony powolnością ognia.

— La Meilleraie — zawołał niecierpliwie — te baterie nie działają; wasi kanonierowie śpią.

Marszałek, dowódca pułku artylerii, byli obecni, ale żaden nie odezwał się ani słowem. Zwrócili oczy na kardynała, stojącego nieporuszenie, jak posąg konny, i poszli za jego przykładem. Należałoby odpowiedzieć, że to nie była wina żołnierzy, a tego, co kazał tak błędnie rozstawić baterie, to jest samego kardynała, który udał, że uznaje za najodpowiedniejsze te miejsca, gdzie się właśnie znajdowały, wobec czego musiały umilknąć wszelkie uwagi dowódców.

Król był zdziwiony tem milczeniem, a bojąc się, czy nie popełnił przez to zapytanie jakiego wielkiego błędu w sztuce wojennej, zarumienił się lekko i zbliżając się do towarzyszących mu książąt, rzekł do nich dla zachowania powagi:

— D'Angoulême, Beaufort, to dosyć nudne, nieprawdaż? stoimy tu jak mumie.

Karol Walezyusz podszedł i rzekł:

— Zdaje mi się, Najjaśniejszy Panie, że nie użyto tu machin inżyniera Pompée-Targona.

— Do licha — powiedział książę de Beaufort, patrząc uporczywie na Richelieugo — dlatego, żeśmy woleli zdobyć Roszellę, niż Perpignan, w chwili przy-

bycia owego Włocha. Tu ani jednej maszyny przygotowanej, ani jednej miny, petardy pod temi murami, a marszałek de la Meilleraie mówił mi dziś rano, że radził sypać pod niemi podkopy. Ani Castilletu, ani tych sześciu wielkich bastyonów zasłaniających, ani fortyfikacyj pierścieniowych nie należało atakować. Jeżeli pójdziemy tym szlakiem, wielka ręka cytadeli będzie nam jeszcze długo pokazywała pięść.

Kardynał, ciągle nieruchomy, nie wyrzekł ani słowa, skinął tylko na Faberta, aby się zbliżył; ten wystąpił z pomiędzy otaczających go oficerów i stanął na swym rumaku po za koniem kardynała, w pobliżu kapitana jego gwardyi.

Książę de la Rochefoucauld, podchodząc do króla, odezwał się:

— Sądzę, Najjaśniejszy Panie, że nasze słabe usiłowanie zrobienia wyłomu rozzuchwala tych ludzi, gdyż oto liczny ich zastęp zwraca się właśnie w stronę Waszej Królewskiej Mości; pułki Birona i de Ponts'a cofają się, dając ognia.

— A więc — zawołał król, dobywając szpady — natrzyjmy na nich i zmuszmy tych łotrów do odwrotu; puść konnicę ze mną, d'Angoulême. Gdzież ona, kardynale?

— Za tym pagórkiem, Najjaśniejszy Panie, stoi w kolumnie sześć pułków dragonów i strzelców La Roque'a, dalej widać moją piechotę i szwoleżerów; proszę pokornie, niechaj Wasza Królewska Mość użyje ich według swej woli, gdyż szwadrony królewskie zostały już naprzód gdzieś zapodzione przez marszałka de Coislin, zawsze nazbyt gorliwego. Józefie, powiedz mu, aby wrócił.

Kardynał pomówił cicho z Kapucynem, który mu towarzyszył, przyodziany dziwacznie po wojskowemu, co go czyniło wielce niezgrabnym; po chwili Józef wyruszył na płaszczyznę.

Tymczasem kolumny, ścięśnione przez starą piechotę hiszpańską, wyszły z bramy Najświętszej Maryi

Panny, jak las ruchomy i ciemny, gdy z innej bramy wysunęła się ciężka konnica i stanęła rzędem na płaszczyźnie. Armia francuska, stojąca w szyku bojowym u stóp królewskiego pagórka, na murawie w pobliżu fortów, po za redutami i faszynami, ujrzała ze strachem piechotę i szwoleżerów wziętych w dwa ognie przez te dwa korpusy dziesięć razy liczniejsze.

— Nacierajcie! — zawolał Ludwik XIII — gdyż inaczej mój stary Coislin zginie.

I szedł z pagórka z całym swym orszakiem, podobnie, jak on, pełnym uniesienia, ale zanim stanął na czele swych muszkieterów, obie kompanie ruszyły naprzód z szybkością pioruna i z okrzykiem: niech żyje król! wpadły na długą kolumnę jazdy nieprzyjacielskiej, jak dwa sępy na wnętrności węża i robiąc szeroki i krwawy wyłom w szeregach, przeszły nawylot, aby się złączyć po za bastyonem hiszpańskim, jakieśmy to widzieli, i pozostawiły konnicę tak zdziwioną tem wszystkiem, że pomyślała tylko o sformowaniu się, a nie o pościgu. Armia klaskała w dłonie, król zdziwiony zatrzymał się, spojrzał dookoła i wyczytał we wszystkich oczach gorące życzenie natarcia, całe męstwo jego rodu odbiło się w jego żołnierzach; pozostał przez chwilę jak w zawieszeniu, słuchając z upojeniem huku dział, oddychając i napawając się wonią prochu; zdawało się, że inne życie wstępuje w niego i że staje się nanowo Bourbonem; wszyscy ci, którzy go wtedy widzieli, czuli, jakby zupełnie inny człowiek nimi dowodził, gdy wznosząc swoją szpadę i oczy ku jaśniejącemu słońcu, zawolał:

— Za mną, dzielni przyjaciele! teraz jestem królem Francyi!

Jego konnica, rozwijając się całkowicie, ruszyła z zapalem, podnosząc tumany kurzu z ziemi, która drżała pod jej kopytami, w jednej chwili zmieszala

się z konnicą hiszpańską, osłoniętą również przez niezmierny i ruchomy obłok.

— Teraz! teraz! — zawołał ze wzgórza kardynał grzmiącym głosem — przesunąć baterie z nieprzydatnych stanowisk. Fabert, wydaj rozkazy: niech wszystkie będą zwrócone na tę piechotę która powoli otoczy króla. Naprzód, dalej, ocalcie króla!

Natychmiast cały zastęp, dotąd niewzruszony, porusza się oto na wszystkie strony; jenerałowie wydają rozkazy, adjutanci znikają i rozchodzą się po równinie, lub przesadziwszy rowy, zapory i okopy, przybywają do celu, prawie tak szybko jak myśl, która nimi kieruje i jak spojrzenie, co biegnie ich śladem. Nagle błyski powolne i przerywane, świecące dotąd nad zniechęconemi bateriami, stają się olbrzymią pochodnią, nie pozostawiającą miejsca na dym, wznoszący się ku niebu w kształcie nieskończonej ilości wieńców lekkich i płynnych; wystrzały armatnie, podobne do oddalonego i słabego echa, zmieniają się teraz w grom straszliwy, którego uderzenia są tak szybkie, jak dobosza, bijącego w bęben do natarcia, podczas gdy z trzech miejsc przeciwnych promienie szerokie i czerwone z paszczy ognistych spływają na ciemne kolumny, wychodzące z obleżonego miasta.

Tymczasem Richelieu, nie schodząc ze stanowiska, lecz z okiem palającym i ruchem rozkazującym, nie przestawał wydawać rozkazów, rzucając na tych, co je otrzymywali, spojrzenie, w którym widzieli wyrok śmierci w razie niedość szybkiego ich wypełnienia.

— Król rozproszył konnicę, lecz piechota opiera się jeszcze; nasze baterie pozabijały, ale nie zwyciężyły. Trzy pułki piechoty naprzód, natychmiast, Gassionie, La Maillaie i Lesdiguières! wziąć kolumny z boku. Zanieście rozkaz pozostałej armii, aby przestała nacierać i pozostała unieruchomiona na całej linii. Papieru, napiszę sam do Schomberga!

Jeden z paziów zbliżył się, trzymając w ręku ołówek i papier. Minister podtrzymywany przez czterech ludzi ze swego orszaku, zsiadł z konia z trudnością, i wydając jęk mimowolny, spowodowany bólami, poskromił je i usiadł na łożu działa; paż ukląkł i poddał mu swe barki, tworząc z nich pulpit, a kardynał skreślił naprędce ów rozkaz, przekazany nam przez współczesne rękopisy, aby go mogli naśladować dzisiejsi dyplomaci, którzy więcej dbają, jak się zdaje, o zachowanie zupełnej równowagi na krańcach dwóch myśli, niż o wyszukanie tych zestawień, co rozstrzygają o losach świata, uważając, że geniusz jest zbyt prosty i jasny, aby iść jego śladem.

„Mości marszałku, nie narażajcie się i rozważcie dobrze, zanim uderzycie. Kiedy wam donoszą, że król życzy sobie, abyście się nie narażali, to nie znaczy, iż Jego Królewska Mość zabrania wam zupełnie bić się, lecz, że zamiarem jego nie jest, abyście wydali bitwę stanowczą, chyba tylko mając pewną nadzieję wygranej w zysku, jaki korzystne położenie mogłoby wam przynieść, gdyż odpowiedzialność za bitwę musi oczywiście spaść na was.”

Po wydaniu tych wszystkich rozkazów stary minister, siedząc ciągle na łożu działa, z opartymi na niem rękami i z podbródkiem na dłoni, w postawie człowieka, biorącego na cel i nastawiającego armatę, przypatrywał się dalej w milczeniu i w spokoju bitwie króla, jak stary wilk, co nasycony ofiarami i osłabiony wiekiem, przygląda się na równinie spustoszeniu lwa pośród stada wołów, na które nie śmiałby napaść; od czasu do czasu jego oko się ożywia, zapach krwi go rozwesela, i aby nie stracić jej smaku, wyciąga rozpalony język z za bezzębnej szczęki.

Dnia tego zauważyła służba (było nią prawie całe jego otoczenie), że od poranku do wieczora nie przyjął żadnego pożywienia i tak zwrócił całą uwagę swojej duszy na sprawy niezbędne do przeprowadzenia, że zwyciężył cierpienia swego ciała i zdawało

się, że je zniweczył przez zapomnienie. Była to owa potęga uwagi i ta nieustanna przytomność umysłu, które go podnosiły prawie do geniuszu. Byłby go dosięgnął, gdyby mu nie brakło wrodzonej wielkości duszy i szlachetnej wrażliwości serca. Wszystko ziściło się na polu bitwy, jak tego chciał, a jego szczęście gabinetu towarzyszyło mu przy armacie. Ludwik XIII zagarnął cheiwą ręką zwycięstwo, przygotowane dla siebie przez swego ministra, i dodał do niego tylko tę część wielkości i męstwa, jaką człowiek wnosi do swego tryumfu.

Przestano strzelać z dział, gdy kolumny piechoty, złamane, zostały odrzucone do Perpignanu, reszta uległa temu samemu losowi, i było widać na płaszczyźnie tylko błyszczące szwadrony króla, które szły za nim, formując się nanowo. Powracał on wolnym krokiem i spoglądał z zadowoleniem na pole walki, całkiem oczyszczone z nieprzyjaciół; przeszedł dumnie pod samym ogniem dział hiszpańskich, które, czy to przez niezręczność, czy to dzięki tajemnemu układowi z pierwszym ministrem, czy też przez skromność, aby nie zabić króla Francji, posłały mu tylko kilka kul, te zaś przeleciawszy na dziesięć stóp nad jego głową, zaryły się w pobliżu linii obozowych i przyczyniły do większego wstawienia jego męstwa.

Jednakże w miarę zbliżania się do pagórka, gdzie czekał na niego Richelieu, jego wyraz twarzy zmienił się widocznie: tracił ów rumieniec, który wywołała walka, a szlachetny pot tryumfu wysychał na jego czole. Zwykła bladość wracała na jego lica, jakby ona jedna miała prawo zasiadać na królewskim czole; jego wzrok tracił swe płomienie chwilowe i w końcu głęboka melancholia ściągnęła jego rysy. Odnalazł kardynała tak, jak go zostawił. Richelieu, na koniu, zawsze pełen chłodnego uszanowania, uklonił się, i po kilku słowach powinszowania, umieścił się przy Ludwiku, aby objechać z nim linie i zobaczyć korzyści dnia, podczas gdy książęta i wielcy magnaci, postę-

pując z przodu i z tyłu w pewnej odległości, tworzyli dookoła nich jakby chmurę.

Przebiegły minister nie wyrzekł ani słowa i nie uczynił żadnego ruchu, mogącego wywołać podejrzenie, że wziął jakikolwiek udział w wypadkach dnia i, rzecz godna uwagi, że ze wszystkich tych, co przyszli zdać sprawę, nie było ani jednego, któryby nie zdawał się odgadywać jego myśli i nie umiał uniknąć narażenia jego potęgi tajemnej przez jawne posłuszeństwo; o wszystkim zdano raport królowi.

Kardynał objechał więc, towarzysząc monarsze, prawą część pola walki, której nie miał na oczach z wyniosłości, gdzie się umieścił, i zobaczył z zadowoleniem, że Schomberg, znający go dobrze, działał właśnie tak, jak pan napisał, wystawiając na szwank tylko kilka mniejszych oddziałów i walcząc dostatecznie, aby nie spotkać się z zarzutem nieczynności, a niedostatecznie, aby osiągnąć jakikolwiek skutek. To postępowanie zachwytiło ministra i podobało się królowi, którego miłość własna lubowała się myślać, że on sam tego dnia zwyciężył. Chciał nawet przekonać się i wmówić w siebie, że wszelkie usiłowania Schomberga musiały być bezowocne i powiedział mu, że nie gniewa się o to na niego, ponieważ doświadczył sam na sobie, że miał przed sobą nieprzyjaciół mniej godnych pogardy, aniżeli z początku sądzono.

— Aby wam dowieść, że tylko zyskaliście w naszych oczach — dodał — mianujemy was kawalerem do szczególnych naszych poruczeń i dajemy wam wolny wstęp na pokoje królewskie.

Kardynał uściśnął mu czule rękę, a marszałek, zdziwiony tą powodzią łask, jechał za monarchą ze spuszczoną głową, jak winowajca, i musiał się pocieszać wspomnieniem wszystkich świetnych czynów, dokonanych w ciągu swego zawodu, a które poszły w niepamięć, przypisując im w myśli te nagrody niezastużone, aby się pogodzić ze swym sumieniem.

Król zamierzał już zawrócić, gdy księżę de

Beaufort, z nosem w górę zadartym i ze zdziwioną miną, wykrzyknął:

— Ale, najjaśniejszy panie, czy mam jeszcze ogień w oczach, czy też oszalałem z porażenia słowniczego? Zdaje mi się, że widzę na tym bastyonie konnicę w czerwonych strojach, wściekle podobną do waszych szwoleżerów, o których myśleliśmy, że polegli.

Kardynał zmarszczył brwi.

— To niemożliwe, mości panie — rzekł — nierozwaga imcipana de Coislin zgubiła piechotę jego królewskiej mości i tę konnicę; dlatego właśnie ośmieliłem się powiedzieć królowi przed chwilą, że gdyby zniesiono te korpusy bezużyteczne, mogłyby wypłynąć ztąd wielkie korzyści, mówiąc po wojskowemu.

— Na Boga, wasza przewielebność mi wybaczy — odparł książę de Beaufort — lecz nie myślę się wcale, gdyż oto siedmiu, czy ośmiu pieszo prowadzi przed sobą wziętych do niewoli.

— A więc, idźmy obejrzeć to miejsce — odezwał się król niedbale; jeśli znajdę tam mego starego Coislin'a, ucieszy mnie to bardzo. Trzeba było być posłusznym.

Z wielkimi ostrożnościami konie króla, oraz jego orszaku przeszli wpoprzek bagno, pośród szczątków pozostałych z bitwy, lecz z jeszcze większym zdziwieniem ujrano w górze dwie kompanie czerwone w szyku bojowym, jak w dniu parady wojskowej.

— Na Boga żywego! — wołał Ludwik XIII — zdaje mi się, że nie brak ani jednego. A więc marszałku, dotrzymujecie słowa, zdobywacie mury konno.

— Zdaje mi się, że to miejsce zostało źle wybrane — zauważył Richelieu z miną pogardliwą — nie przyczynia się w niczem do zdobycia Perpignan, a musiało kosztować wiele życia ludzkiego.

— Zaprawdę, macie słuszość — odparł król, zwracając się po raz pierwszy do kardynała tonem mniej suchym od chwili widzenia po otrzymaniu wia-

domości o śmierci królowej — żal mi przelanej tu krwi.

— Najjaśniejszy panie, tylko dwóch z naszej młodzieży zostało ranionych przy tem natarciu — rzekł stary Coislin — a zyskaliśmy przy niem nowych towarzyszków broni w ochotnikach, którzy nas poprowadzili.

— Któż oni są? — zapytał monarcha.

— Trzech z nich usunęło się na bok skromnie, najjaśniejszy panie; ale najmłodszy, którego widzicie, był pierwszy przy szturmie i poddał mi myśl o nim. Obie kompanie proszą o zaszczyt przedstawienia go waszej królewskiej mości.

Cinq-Mars, na koniu po za starym wodzem, zdjął kapelusz i odsłonił swoją młodą i bladą twarz, swoje wielkie czarne oczy i długie ciemne włosy.

— Te rysy przypominają mi kogoś — powiedział król — jak myślicie, kardynale?

Zapytany rzucił już pierwszej okiem badawczem na nowoprzybyłego i rzekł:

— Myle się, lub ten młodzieniec to...

— Henryk d'Effiat — rzekł głośno wolontaryusz, kłaniając się.

— A więc, najjaśniejszy panie, to ten sam, o którym mówiłem waszej królewskiej mości, gdyż miał być jej przedstawiony przezemnie drugi syn marszałka.

— Ah! — zawołał Ludwik XIII z ożywieniem — miło mi go widzieć przedstawionym przez ten bastyon. To łaska Boża, moje dziecko, dostąpić takiego zaszczytu, kiedy się nosi nazwisko naszego starego przyjaciela. Będziecie nam towarzyszyli do obozu, gdzie mamy wam dużo do powiedzenia. Ale co widzę? wy tutaj mościł panie de Thou! kogo przyszłicie tu sądzić?

— Zdaje mi się, najjaśniejszy panie — odparł Coislin — że on raczej skazał na śmierć kilku Hiszpanów, bo wszedł drugi przez wyłom.

— Nie zabiłem nikogo, mościł panie — przerwał de Thou, rumieniąc się — to nie jest wcale mojem rzemiosłem; tu niema żadnej mojej zasługi, towarzyszyłem imcipanu de Cinq-Mars, swemu przyjacielowi.

— Lubimy waszą skromność tak, jak tę odwagę, i nie zapomnimy tego rysu charakteru. Kardynale, niema tam jakiej prezydencji wolnej?

Richelieu nie lubił imcipana de Thou; a ponieważ jego nienawiść miała zawsze przyczynę tajemniczą, daremnie szukano do niej powodu; zdradziło ją jedno słowo okrutne, które mu się wyrwało z ust. Tym powodem nieprzyjaźni było jedno zdanie historyi prezydenta de Thou, ojca tegoż, gdzie ten osławił w oczach potomności stryjecznego dziadka kardynała, naprzd mnicha, potem odszczepieńca, skalanego wszelkimi występkami ludzkimi.

Richelieu, nachyliwszy się do ucha Józefa, rzekł do niego:

— Widzisz dobrze tego człowieka, to ten, którego ojciec umieścił moje imię w swojej historii; a więc ja umieszczę jego w mojej.

I rzeczywiście wpisał je tam później piórem umoczonem we krwi. W tej chwili, aby nie dać królowi odpowiedzi, udał, że nie słyszał jego zapytania i że popiera zasługi Cinq-Marsa, oraz życzenie, aby go umieścić na dworze.

— Przyrzekłem wam z góry mianować go kapitanem w mojej gwardyi — rzekł monarcha — każcie go mianować od jutra. Chcę poznać go lepiej i zachowam dla niego coś lepszego na później, jeśli mi się będzie podobał. Wracajmy; słońce zaszło i jesteśmy daleko od naszej armii. Powiedźcie moim dwóm pocziwym kompaniom, aby szły za nami.

Minister, nakazawszy ogłosić ten rozkaz, z którego usunął starannie pochwałę, stanął po prawicy króla, i cały orszak opuścił bastyon, powierzony straży Szwajcarów, aby powrócić do obozu.

Dwie kompanie czerwone przeciągnęły przez wyłom, który zrobiły z takim pośpiechem; ich zachowanie było poważne i milczące.

Cinq-Mars zbliżył się do swego przyjaciela.

— Oto bohaterowie bardzo źle wynagrodzeni — rzekł do niego — żadnej łaski, żadnego zapytania pochlebnego!

— Natomiast — odpowiedział prosty i szczerzy de Thou — ja, co przyszedłem trochę mimowoli, otrzymuję powinszowania. Oto sądy i życie; ale nad nami jest prawdziwy Sędzia, którego się nie oszuka.

— To nam nie przeszkodzi dać się zabić jutro, gdy będzie potrzeba — rzekł młody Olivier ze śmiechem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



„GAZETA POLSKA”

Daje wszystkim swoim prenumeratom w roku 1901

JAKO PREMIUM BEZPŁATNE

pomnikowe
dzieło p. t.

„HISTORIA XIX STULECIA”

(blizko 3000 ilustracyi)

Dzieło to prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ otrzymują w formie zeszytów albumowych, stanowiących bezpłatne Dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej.“

„Historia XIX stulecia“ z 3000 ilustracyi wychodzi od 1-go Stycznia roku bieżącego we wspianiem wydaniu na welinowym papierze w formie wielkiej 8-ki, z pięknymi ilustracyami, z tekstem opracowanym przy współudziale gro-
na uczonych. Obejmuje ono wszystkie objawy życia upły-
nionego wieku: wojny i dyplomacyę, wynalazki i udoskonalenia techniczne, podbój innych części świata przez Europę, roz-
wój pojęć filozoficznych i historyę nauk, literaturę, sztukę i mu-
zykę, przemysł i handel, obyczaje, mody i t. d. Wszystko, czer-
kiemkolwiek ludzkość interesowała się w ciągu tego stulecia,
wszystko, co osiągnęła, odbije się na kartach tego dzieła w świe-
tnych opisach i doskonałych ilustracyach, a na rzeczy polskie
zwrócona będzie szczególna uwaga.

Cena „Gazety Polskiej“ wraz z „Historią XIX stulecia“
w bezpłatnych Dodatkach tygodniowych

W Warszawie. Rocznie rb. 9.60, półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40 miesięcznie kop. — 80. **Z przesyłką pocztową** Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie 3.

Kto nie prenumeruje „Gazety Polskiej“, może nabywać całość lub zeszyty „Historji XIX stulecia“ osobno; w takim razie opłata wynosi:

[illegible]

Opłacający za całe dzieło z góry nie ponoszą kosztów przesyłki.

Adres wydawnictwa „Gazety Polskiej” i „Historii XIX stulecia z 3000 ilustracji”: **Warszawa, Warecka 14.**